



320283

I

IV 236



142

WOLNYE PRAKTYKOWSKI  
WYDZIAŁ

L. 14

461

11  
22

# ZMARNOWANI.



**Helena Pawlikowska.**

# WYDAWNICTWA KSIĘGARNI GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA.

	złr. ct.
Barański A. Dr., Chów koni, z rysunkami najcenniejszych ras, zaé rasy w Polsce znanych koni przez Juliusza Kossaka . . .	6 80
Biliński Leon Dr., System ekonomii społecznej 2 t. 1881 . . .	10 —
Kraszewski J. I. Król i Bondarywna, powieść historyczna . . .	2 40
— Nad modrym Dunajem, nowella . . .	2 40
— Pamiętnik panioza, powieść . . .	2 40
— Dajmon, Fantazyja . . .	2 40
Kretowicz P. Kucie koni z 40 rycinami . . .	1 50
Kubala L. Dr. Jerzy Ossoliński, 2 tomy . . .	7 69
Liske X. Cudzoziemcy w Polsce Podróże i pamiętniki . . .	4 20
Monumenta historiae polonicae Pomniki dziejowe Polski, tom III. 12 zł., tom IV. 14 zł. tom V . . .	15 —
Patzig. Praktyczny rzadca ekonomii dla właścicieli dóbr, dzierżaw. i rzadców, według 10 wyd. przedłożył H. Turczyński, 2 t. . .	4 20
Przewodnik dla leśniczych Zbiór Wiadomości gospodarstwa lasowego i nauk pomocniczych, 2 tomy . . .	6 60
— I. Wiadomości pomocnicze przez pp. Romera, Dra T. Staneckiego i W. Tynieckiego . . .	
— II. Gospodarstwo lasowe H. Strzeleckiego . . .	
Ustawa lasowa. Zbiór ustaw i rozporządzeń dotyczących się ochrony lasów i polownia . . .	1 —
Ustawy o księgosuszu wraz z odnośnemi rozporządzeniami dla Galicyi wydanemi . . .	1 80
Wilezyński A. Kłopoty starego komendanta, 3 tomy . . .	5 40
— czasów wydanie drugie z rysunkami E. Błotnickiego, 3 tomy . . .	5 40
— Misyja familijna. Opowiadanie . . .	2 40
— Wspomnienie obywatelskie, 1880 . . .	2 60
— Medytacye kawalerskie . . .	2 40
— Z pamiętników plotkarza, 2 tomy . . .	4 20
Wrótnowski A. Przemysł fabryczny w Galicyi . . .	— 72
Biblioteka polska. Każdy tom brosz. 1 zł. 80 ct., w opraw. . .	2 80
T. I. II. KRASIŃSKI Z. Pisma. Wydanie z przedmową St. hr. Tarnowskiego, 2 tomy. — III. VI. MICKIEWICZ, Ad. Dzieła. Wydanie zupełne przez dzieci autora dotonano 4 t. VII—X. ZALESKI B. Poezye. Wydanie przejrzane przez autora. — XI. PAMIĘTNIKI PASKA. Wydanie nowo krytyczne, przejrzane przez dra Węclewskiego. — XII. NIEMCEWICZ J. Jan z Tęczyna. Powieść histor. — XIII—XVI. SŁOWACKI JULIUSZ. Dzieła. Wyd. przez prof. dra A. Małeckiego. — XVII—XIX. E. LY (Asnyk Adam) Poezye, 3 tomy XX—XXII. MAŁECKI A. Życie i pisma Juliusza Słowackiego, wydanie drugie znacznie pomnożone, 8 tomy XXIII. J. WYBICKI. Pamiętniki. — XXIV—XXV. MICKIEWICZ A. Dzieła tom V. i VI. — XXVI. XXVIII. MICKIEWICZ A. Korespondencya, 3 t. — XXIX. XXXI. KITOWICZ X. Pamiętniki i pisma histor 3 t. XXXII—XXXIII. KITOWICZ X. Opis obyczajów i zwyczajów za panowania Augusta III., 2 t. — XXXIV—XXXVII. ROMANOWSKI. M. Pisma 4 t. — XXXVIII   XXXIX. SŁOWACKI J. Listy, 2 t., wydanie II. znacznie pomnożone. XL—XLII. SŁOWACKI J. Pisma pośmiertne, 3 tomy, wydanie II. znacznie pomnożone XLIII—XLV. KRASIŃSKI Z. Pisma tom 3—4. XLV. KRASZEWSKI J. I. Poezye, wydanie trzecie.	

## DZIEŁA ADAMA MICKIEWICZA

WYDANIE STEREOTYPOWE ułożone w chronologicznym porządku według wskazówek prof. Dra A. Małeckiego

Cena 4 tomów zbroszurowanych 4 zł. 60 cnt.,

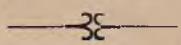
w oprawie w płótno 6 złr., ze złotymi wyciskami 6 złr. 60 ct.

z przesyłką pocztową o 40 ct. więcej.

142



Adam Krchowiecki.



*Barita.*

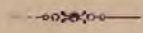
*Lorenzo.*

*Posąg.*

*Wieczór*

*wigilijny.*

ZMARNOWANI.



L W Ó W.

NAKLADEM KSIĘGARNI GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA.

1888.



h. pod. 114.

320283  
I



---

Z DRUKARNI LUDOWEJ WE LWOWIE.

Bibl. Jag.

1954 D 9848



## SPIS RZECZY.

	Str.
Banita . . . . .	1
Lorenzo . . . . .	89
Posąg . . . . .	117
Wieczór wigilijny . . . . .	231

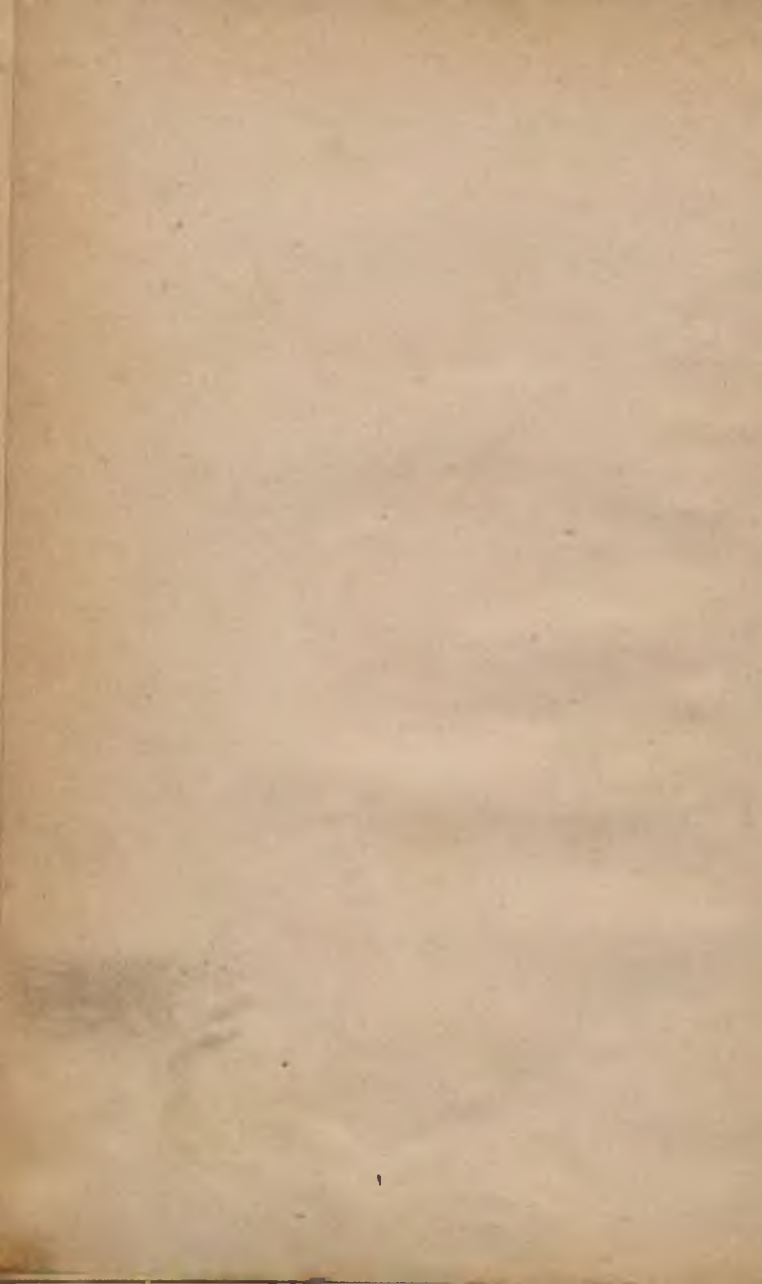
1215





WOMEN'S ...  
WIDENING ...  
L. de ...

BANITA.



Przedemną niezmierna, okiem nieobjęta przestrzeń ukraińskiego stepu, pokrytego śniegu całunem; nademną miliardy gwiazd wyiskrzonych przy kilkunastostopniowym mrozie. Cisza dokoła — przerywana dalekiem psów ujadaniem i bliższem, monotonnem a przeciągłym jęczeniem dzwonka, zawieszzonego u szyi jednego z trzech małych ale szybkoconogich koni, które wprężone do lekkich sanek pocztowych, mknęły jak strzała po ubitej drodze, zachęcane co chwila do skorszego biegu wołaniem woźnicy:

— O... hej!..

Echo wołania tego rozchodziło się daleko... daleko... po stepie, a perekładna, na której, otulony w szubę niedźwiedzią, siedziałem pograżony w dumaniach, leciała jak szalona z głuchym chrzęstem po ubitej drodze, w tę nieskończoną przestrzeń białą, wśród której czasem tylko mignęły światełka wiosek przydrożnych i nikły jak błędne ogniki w oddali.

Lat kilkadziesiąt, więcej niż pół wieku, od tej chwili minęło, a pamiętam ją tak, jakby to było wczoraj. Serce młodzieńcze drżało radością na myśl rychłego powitania swoich; jechałem bowiem na święta Bożego Narodzenia do rodzicielskiego domu z Dorpatu, gdzie przeszło rok na studiach uniwersyteckich spędziłem.

Myślą też wyprzedzałem pocztowe rumaki i niecierpliwie dążyłem do kresu podróży. Co chwila zapytywałem izwoszczyka, czy daleko jeszcze do stacyi, ostatniej już z rzędu na trakcie pocztowym, zawsze jednakową otrzymując odpowiedź:

— Jeszcze niemnożko!... O... hej!..

I lecieliśmy znowu bez przerwy.

Mród się wzmagął, a wicher od stepu podnosić zaczynał gęste śniegu tumany, zasypując mi twarz i oczy.

Pomimo szuby niedźwiedziej zacząłem uczuwać przejmujące zimno i z obawą spoglądałem w około, czy też zrywająca się zadymka nie przeszkodzi mi w dalszej podróży i nie zmusi do noclegu na stacyi pocztowej, o kilka mil zaledwie od rodzicielskiego domu

Wkrótce jednak konie, czując bliskość stacyi, rażno parskać zaczęły, a niebawem

zabłyły przed nami światła miasteczka i stacyjnego budynku i perekładna zatrzymała się przed nim. Tu się urywał gościniec pocztowy; wyskoczyłem więc z sanek, aby się rozgrzać w ciepłej izbie i prosić naczelnika stacyi o wynajęcie dobrych koni do dalszej podróży.

W izbie stacyjnej, niewielkiej, słabo oświetlonej jedną lampą, zawieszoną u sufitu, było kilka osób podróżnych, czekających na zmianę koni; furmani i parobcy wnosili i wynosili pakunki, gwar panował tu wielki, nawoływania, często niezbyt wykwentne, dawały się słyszeć, a wśród nich dominował groźny głos naczelnika, wydającego rozkazy.

— Semen! a cóż ty stoisz, jakby paraliżem tknięty? napadła cię znowu zaduma! — krzyczał właśnie naczelnik, gdym wchodził, do jednego z fernali, stojącego nieruchomo w kącie izby i pogrążonego w ponurem milczeniu.

Mężczyzna to był lat czterdziestu, wysoki i barczysty; promień lampy, padając wprost na niego, oświetlał twarz dziwnie blada, o wyrazistych i charakterystycznych rysach. Nie był piękny, ale w całej postaci, w każdym ruchu niemal, przebijał się wyraz jakby wyniosłości jakiejś i dumy, coś nieuchwy-



tnego zresztą i niedającego się dokładnie określić, ale zwracającego zaraz uwagę na tego człowieka, odzianego w prostą siermięgę pocztowego woźnicy.

Rysy jego twarzy dość regularne, ocienione bujnym włosem, siwiejącym już nieco u skroni, nosiły wybitne piętno głębokiego smutku, który się przebijał w nieruchomości wzroku, w zamglonem i jakby nieświadomem siebie spojrzeniu dużych, ciemnych oczu, w kątach ust zaciśniętych kurczowo, w matowej bladości całego oblicza.

Pierwsze napomnienie naczelnika nie zdało się wywierać wielkiego na Semenie wrażenia; potrzeba było dopiero silniejszych wezwań, popartych epitetem bardzo drażliwej natury, aby go wyprowadzić z ponurej zadumy. Na obelżywe wyrazy naczelnika blada twarz Semena ożywiła się nagle, oczy jakby gniewnym strzeliły blaskiem; z zaciśniętymi pięściami rzucił się naprzód tak, że sądziłem, iż chce na obelgę, czynną odpowiedzieć znie wagą. Ale uniesienie to trwało za ledwie jedno mgnienie oka; przelotny rumieniec znikł wnet z bladej twarzy, wzrok roziskrzony pochylił się ku ziemi i Semen, widocznym woli wysiłkiem stłumiwszy wewnętrzne wzburzenie, zbli-

żył się powolnie do naczelnika, mówiąc pokornym, niemal błagalnym głosem:

— Darujcie, panie! wezmę się zaraz do roboty, ale nie zatrzymujcie mnie tu dzisiaj... pozwólcie jechać...

— Gdzie? — zapytał naczelnik ostro, ale już widocznie ułagodzony pokorą Semena.

— A gdziekolwiek... byle na miejscu nie siedzieć... gdzie każecie, pojedę.

W tej chwili zbliżyłem się do naczelnika, prosząc go o konie do Leszczynówki, celu mojej podróży.

— Semen, trzy kasztany do Leszczynówki! — ozwał się naczelnik do stojącego jeszcze obok nas fornała.

— Ja mam do Leszczynówki jechać? — spytał Semen, z pewnem wahaniem w głosie i z przenikliwą jakąś ciekawością zwrócił wzrok swój ku mnie.

— Nie pytać, ale iść zaprzęgać konie! — krzyknął znów groźnie naczelnik.

Semen nie odrzekł już nic, ale wciąż patrząc na mnie, poszedł zwolna ku drzwiom i wkrótce znikł za niemi.

— Dziwny chłop! — rzekł do mnie naczelnik — pracowity, obrotny, ale hardy, a czasem jak go napadnie zaduma, dniami ca-

łemi milczy i wówczas trzeba go do roboty napędzać, bo zapatrzony bezmyślnie przed siebie, godzinami stać będzie na miejscu...

— Chory jest może?

— A pewnie — ale niech się pan nie obawia niczego; furman to wyborny i w najgorszą zamieć można mu się powierzyć; drogi zna doskonale, chociaż woźnicą jest od niedawna.

— Więc nie tutejszy?

— O, nie... z Kurskiej gubernii podobno. Będzie temu zaledwie rok, jak przybył do mnie, biedny, obdarty, mrący z głodu i zimna. W tej okolicy snuł się on już od pewnego czasu, ale nigdzie miejsca nie zagrzał; mówiono, że pije... Podobał mi się jednak z twarzy, żał mi go się zrobiło i przyjąłem go na stację; od kiedy też został izwoszczykiem, od roku, ani razu się nie upił; pewny jest, wierny i uczciwy. Tylko ta nieszczęsna zaduma, która go od czasu do czasu napada.. widać ten dawny nałóg tak go gnębi; wówczas prosi zwykle, aby go w podróż wyprowadzić, na miejscu usiedzieć mu trudno...

W tej chwili wszedł Semen, oznajmiając, że konie czekają.

Pożegnałem uprzejmego naczelnika stacji

i za chwilę byłem już znowu wśród pustego stepu i głuchej ciszy nocnej, przerywanej jęczeniem pocztowego dzwonka i przeciągłym poświstem wichru, który miółł tumany śniegu przed nami i dławił oddech w piersi.

Przeszło godzinę jechaliśmy w milczeniu. Wicher nieco ustawał; niebo, zasnuwane dotychczas jedną czarną powłoką, zaczęło się trochę wyjaśniać, gdzieś ukazywały się gwiazdy i nagle wydobył się na widownię księżyc, wśród chmur w najdziwaczniejsze poszarpanych kształty. Chmury te pędziły jak szalone, jakby na wyścigi z nami: to zakrywały księżyc i pograżały nas w ciemnościach, to znów, rozbite, leciały naprzód, gromadząc się u krańców widokregu w jedną olbrzymią a groźną masę.

Ponuro dotychczas milczący Semen, zaczął się widocznie ożywiać pod wpływem księżyca, który błękitnym swym promieniem rozjaśniał nam drogę. Tęskna ukraińska piosnka wybiegła mu na usta:

Łutsze buło moja maty  
W kupeli zalaty,  
Niż takuju syrotoju  
Na świti łyszaty!

Jęk dzwonka wtórował piosnce, której echo rozległo się nagle wśród ciszy stepowej.

Znaną mi dobrze była ta dumka; niańki śpiewały mi ją nad kołyską, śpiewałem ją sam nieraz i spowszedniała mi tak, że nie robiła już na mnie żadnego wrażenia; rzewna tęsknota nuty i słów straciła dla mnie wszelką siłę i cały urok. Ale nagle teraz, czy to wskutek fizycznego zmęczenia, czy pod wpływem otaczającej mnie poezyi tej nocy zimowej wśród stepu, czy może siłą prawdziwego uczucia, jakie dźwięczało w śpiewie Semena, objawiła mi się w całej pełni i przeniknęła do głębi.

— Czy w Kurskiej gubernii śpiewają także tę dumkę? — spytałem Semena.

— A z kąd pan wie, że ja z Kurskiej gubernii? — dość szorstko odparł Semen, nie zwracając się ku mnie.

— Naczelnik stacyi mi mówił...

— Naczelnik źle mówił. Urodzony tu jestem.

— Tu, w tych stronach?

— A tak. Znam Leszczynówkę i całą okolicę. — Pan pewno na święta jedzie? — zapytał po chwili.

— Jadę do domu, po roku przeszło niebytności...

— To pan taki z samej Leszczynówki... może syn dziedzica?

— Tak jest...

Po raz drugi uczułem na sobie wzrok Semena przenikliwy, ciekawy. Zwrócił się na koźle prawie całą postacią ku mnie i chciał widocznie coś więcej powiedzieć, o coś więcej pytać, lecz po chwili namysłu machnął biczyskiem w powietrzu i odwrócił się do koni.

— O, hej!... — zawołał. Konie parsknęły i pomknęły rażno dalej.

Księżyc znowu zatonął w chmurach; ciemność i cisza zaległy do koła, a tylko zdala dochodziły nawoływania stróża nocnego ze wsi niedalekiej, przeciągłe, tęskne, ponure.

Z cicha, tłumiony poświstem wichru, który znów wzmacniać się począł, grożąc zawieją straszliwą, ozwał się ponownie śpiew Semena..

Czom ty mene moja maty  
W cerkow ne nosyła!  
Czom ty meni w Pana Boha  
Szczastia ne wprosyła?...

Jeszcze nigdy to rozpaczliwe pytanie dumki nie zabrzmiało mi z taką prawdą i rzeczywistością skargą. Czułem mimowolnie, że tym razem śpiewający wypowiada własną, krwawą serca żalobę. Chciałem się zapytać Semena



jaka to ciężka. boleść przygniotła swym ciężarem jego duszę, gdy on nagle znów zwrócił się ku mnie:

— A ojciec dziedzica z Leszczynówki, pan Podkomorzy, żyje jeszcze?

— Żyje .. ale z kąd znasz go?

— Ja go nie znam, ale ot pytam, bom wiele słyszał o nim. Dobry to pan, to i nie dziw, że wiedzą o nim wszyscy, choć go nie znają...

— Ale ty przecie od roku dopiero w tych stronach?

— Mowiłem panu, że się tu urodziłem.. — odrzekł Semen szorstko, jakby gniewnie i odwrócił się do koni, pomrukując coś ponuro.

Nie śpiewał już, bo też w tej chwili głosu nie potrafiłby wydobyć z piersi. Wicher, uspokojony na chwilę, powiał nagle z całą gwałtownością; niebo zasnuło się ponownie chmurami, miotając na nas tumanami śniegu.. Konie niespokojnie parskać poczęły, walcząc z wichrem, który z każdą chwilą szalał coraz groźniej... Zerwała się straszna, nieubłagana zawierucha stepowa; w jednej chwili gościniec ubity zniknął pod zaspami śnieżnemi... konie zapadły w nie i stanęły.

— A co będzie baryń? — szyderskim jakby głosem przemówił Semen, zwracając się ku mnie.



Wyznaję, że dreszcz trwogi przejął mnie mimowoli. W ciemnościach nocy czułem na sobie palące spojrzenie Semena, który wydawał mi się szaleńcem a może i zbrodniarzem, chcącym korzystać ze sposobności, zamordować mnie i obedrzeć.

— Co będzie? — powtórzył — zawierucha straszna, do Leszczynówki jeszcze trzy mile drogi stepowej, konie nie dojdą, bo za chwilę i śladu drogi pod zaspami widać nie będzie...

— Słuchaj no, Semen — przemówiłem siląc się, aby nadać słowom moim ton spokojny i surowy — naczelnik zaręczył mi...

— Co tam nczelnik! — przerwał Semen — wobec zawieruchy takiej nie ma naczelnika, tylko jeden Bóg!... — Bogu oddaj się, baryń...

— Semen! — zawołałem z nietajoną już gwałtownością, nie żartuj, bo mnie nie nastrasysz, a jeśli w tej chwili konie z miejsca nie ruszą, jak mi Bóg miły, ty zginiesz, ale ja się potrafię ocalić!...

To mówiąc wyskoczyłem z sanek, zrzuciłem szubę, gotując się stoczyć z Semenem walkę o śmierć lub życie...

— Ha, ha, ha! — rozśmiało się Semen — cóż to się wam zdaje, baryń? to nie zemną walczcie, ale z tym wichrem, co hula po stepie... Wasze

życie na nic mi niepotrzebne, a gdyby nie ja, to zabrałby je wam ten wicher mroźny, co krew ścina w żyłach i w pól martwego człowieka zasypuje białym śniegu całunem. . Ale nie bójcie się.. Semen zginać wam nie da...

I po chwili innym już głosem, jakimś rzewnym i tęsknym dziwnie, dodał:

— Gdyby nie wy, kto wie? może by mi różniej było zginać tak wśród stepu, we dwóch — ale wam przepaść nie dam. Jutro wigilia i wam spieszno do uścisku swoich... Hej, hej! i ja także kiedyś miałem wigilię. .

Zeskoczył z kozła, podszedł do koni i odpręgać je zaczął.

Wstyd mi było mego uniesienia; czułem, że się zdradziłem przed Semenem z dziecinną prawie trwogą, wziąłem więc napowrót szubę na siebie i czekałem w milczeniu, co Semen dalej przedsięweźmie. Wicher tymczasem szalał z coraz większą gwałtownością; czułem zimno przejmujące na wskrós, a napróżno wytężyłem wzrok i zwracałem się na wszystkie strony, czy nie dojrzę jakiego światełka, lub nie posłyszę ludzkiego głosu.

Nieprzebita ciemność panowała dokoła, a przeraźliwy świst wichru nie dawał mi nawet dosłyszeć słów Semen, którymi przema-

wiał do koni. Odprzągłszy je, zbliżył się do mnie i rzekł:

— Teraz, panoczku, siadajcie spiesznie na konia, ten drugi powiezie wasze rzeczy, a na trzecim ja pojedę i wskazywać wam będę drogę...

— Drogę, dokąd? — sprtałem.

— No, nie do Leszczynówki, bo tam dziś nie dojedziemy, — daj Boże jutro. Ale jest tu niedaleko karczemka pusta, pod laskiem; tam musimy noc przebyć, o świtaniu zobaczymy co robić..

— A sanki?

— Co wam się troszczyć o nie:... jeśli ich śnieg nie zagrzebie, to jutro powrócimy do nich.

Nie było czasu do namysłu; wsiedliśmy na konie, jednego z nich objuczylśmy niewielkim moim pakunkiem podróżnym i puściliśmy się przez śnieg na przełaj ku owej karczemce, o której mówił Semen.

Podróż to była straszliwa. Co chwila konie zapadały po brzuchy w przepaście śniegowe; postępowaliśmy krok za krokiem: Semen naprzód, ja w ślad za nim, nie widząc nic przed sobą.

Naraz koń Semena zatrzymał się... szum

i łoskot gałęzi drzew wichrem miotanych, wyraźnie słyszeć się dawał, odróżniając się od przeraźliwego świstu zawieruchy wśród stepu i zwiastując bliskość lasu.

— Otóż i karczemka! — zawołał Semen.  
— No, sława Bohu, baryń!... możecie być spokojni.

Niełatwo jednak i nie od razu zdołaliśmy wejść do niej. Wielka brama wjazdowa, na pół zawiana śniegiem, zatarasowana była drągiem tak mocno, że we dwóch zaledwie zdołaliśmy go odważyć. Nareszcie, po długich wysileniach otworzyliśmy bramę i weszliśmy do sieni. Semen, jako wierny woźnica, naprzód pomyślał o koniach; zamknawszy napowrót bramę, wykrzesał ognia z krzesiwa, zapalił małą latarkę, którą miał przy sobie i ustawił konie przy żłobach, zrujnowanych wprawdzie, ale jako tako jeszcze do użytku służyć mogących. Nieco owsa i garstkę siana zabrał był z sanek, a zaopatrzwszy potrzeby koni, zwrócił się do mnie, mówiąc z wesołym prawie uśmiechem:

— A teraz, baryń, trzeba o sobie pomyśleć... chodźmy do izby!

Izba ta, gorszą może była od sieni. Okna pozabijane były deskami, a te nie szczególnie

do siebie przystając, dawały przystęp szalonym podmuchom wichru i tumanom śniegu, który całą podłogę grubą warstwą pokrywał. Na wielkim kominie, w kącie izby, widać było szczątki niedopalonego ogniska; zresztą pustki, ani ławy, ani stołu.

— Trudno tu będzie noc przebyć..... — rzekłem do Semena.

— Poczekajcie no, baryń, jest tu jeszcze alkierz, a tam będzie pono lepiej.

Rzeczywiście, w głębi izby były drzwi małe, za którymi ukazał się nam, przy migoczącym świetle latarki, mały alkierzyk bez okna, rodzaj spiżarki na przechowywanie zapasów.

— Ot widzicie — rzekł Semen — tu będziecie mogli przespać się zacisznie. Ale przedtem trzeba rozniecić ogień na kominie, abyście się ogrzać mogli.

To mówiąc, wyszedł do sieni i wkrótce powrócił ze sporą wiązką gałęzi i kawałków drzewa, zbieranych na ziemi.

Za chwilę też na kominie buchnął spory ogień, do którego zbliżyliśmy się obaj, na wpół skostniali z zimna.

Semen znów spochmurniał i wzrokiem ponurym patrzył w ognisko, które miotane

podmuchem wichru, hulającego po pustej izbie, to przygasało, to znów jasnym płomieniem buchało wysoko.

— Karczemka ta od niedawna widać stoi tak pustką? — spytałem, aby przerwać milczenie.

— A już ze dwa miesiące minęło, jak żyda, który tu siedział, zakuli w kajdany i odprowadzili do turmy.

— Za co?

— Rabuś był i ludzi mordował. Kogo zawierucha nie zgłodziła ze świata na stepie, to go Hersz obdarł. Siedział on tu lat kilka i z początku niby końmi handlował w ten sposób, że skradzione przechowywał przez noc i później uprowadzał dalej. Był w zmowie z całą szajką koniokradów i uchodziło mu to długo, ale potem wziął się i do ludzi. To mu się raz nie udało; złapano żyda z trzema współnikami na gorącym uczynku, gdy napaśli podróżnych w noc taką, jak dzisiejsza i oto już dwa miesiące, jak siedzą w turmie a odtąd karczma pustką stoi.

— Ale wy, panoczku — rzekł po chwili Semen — jeśliście się już ogrzali, to idźcie do alkierza, obwińcie się w szubę i spijcie z Bogiem, bo skoro świt, pojedziem dalej.



— A ty Semenie, nie spoczniesz?

— Ja? o mnie się nie troszczcie — odrzekł chmurno — na mnie teraz taki czas, że spać nie mogę... wy spijcie!

Posłuchałem rady Semena i za chwilę, zawinięty w moją szubę niedźwiedzią, wyciągnąwszy się na podłodze alkierza, drzemać zacząłem. — Przez drzwi otwarte od izby widziałem, zasypiając, migocące światło ogniska, łamiące się w fantastyczne kształty na okopconych murach karczmy, a przed kominem siedzącego na ziemi Semena, ze wzrokiem nieruchomo utkwionym w dogorywające ognia płomienie.

— Jakaż to ciężka chmura smutku zaległa biedną duszę tego człowieka?...

To była ostatnia myśl moja, z którą usnąłem...

Obudziło mnie przenikliwe zimno; wicher, coraz gwałtowniejszy z przeraźliwym jękiem dobijał się do bramy i szarpał wściekle desk okien, broniące mu przystępu do wnętrza izby; zdawało się, że lada chwila zerwie dach karczmy i słabe, chwiejące się mury powali, grzebiąc nas pod gruzami.... Ognisko, prawie już zupełnie wygaste, od czasu do czasu tylko buchało jeszcze żywszym płomieniem, z jakiejś



utajonej w popiele iskierki, podmuchem wichru nagle rozdmuchanej... W pół śnie, w pół jawie, zdrętwiały od zimna, obojętny byłem na niebezpieczeństwo, jakie mogło nam grozić w tej walącej się karczemce, wystawionej na szalone szturmy stepowego huraganu.

Ale zdawało mi się, że w tym półcieniu w odbłyaskach dogorywającego ognia na kominie, dostrzegam postać Semena klęczącą.... Nie bacząc na śnieg, który wichrem miotany, dobywając się przez okien szczeliny, obryzgiwał mu twarz i zasypywał siermięgę, klęczał z twarzą podniesioną ku niebu...

Nie słyszałem ani westchnień, ani słów modlitwy, ale zdawało mi się, że widzę strumień łez płynący z jego oczu i spadający cicho na śnieg, białym całunem rozścielony na ziemi.

Dziwne, niepojęte współczucie ogarnęło mnie całego na widok tej niemej boleści. Chciałem się zerwać, pobiedz ku niemu, pochwycić go w objęcia i pytać sercem brata słowem przyjaciela:

— 'Co ci jest? czego cierpisz? podziel się boleścią swą ze mną!...

Jakaś nieprzemierzona siła przykuwała mnie do tej podłogi, na której leżałem; czułem się

martwy, zniechęcały, niezdolny zupełnie do ruchu. Z całą siłą wyteżąłem wzrok przed siebie... ale ognisko wygasło już zupełnie, całkowita ciemność ogarnęła izbę i alkierz... nie widziałem nic — w umyśle moim pomieślało się wszystko... zasnąłem.

— Wstawajcie, panoczku! już dawno dzień biały! — obudził mię nagle głos Semena, stojącego nademną.

Zerwałem się na równe nogi i pospieszyłem ku oknu. Rzeczywiście dzień już był wielki, ale wicher nie ustawał i na dwa kroki z powodu zawiei widać nie było.

— A cóż, baryń... siedzieć tu nie możemy; jechać trzeba. Jest tu niedaleko wioska; pomimo zawieruchy dobijemy się do niej i przeczekamy lichy... około południa wicher ustać powinien.

Tak też i zrobiliśmy. Z wielkim trudem dotarliśmy do owej wioski, gdzie przynajmniej mogliśmy się ogrzać i posilić trochę.

Rzeczywiście też z południa wicher ustawać zaczął; natychmiast więc, wynajawszy sanki, puściliśmy się w dalszą podróż, która ani łatwą, ani krótką nie była. Zaczęło się już ściemniać i wieczór wigilijny zapadał, gdyśmy zajężdżali przed dwór Leszczynowiecki.

W wielkim niepokoju oczekiwano mnie tam od wczoraj. Na spotkanie moje wybiegli też wszyscy na ganek: i matka z wyciągniętymi ramionami a łzami w oczach i ojciec uradowany wielce i dziadek ośmdziesięcioletni staruszek, uśmiechnięty pogodnie i rodzeństwo całe i krewni dalsi, a w pierwszym rzędzie obok matki mojej, ta, która kilkadziesiąt lat wierną służką była, a stała się jakby krewną najbliższą, ta, która wypiaستowała mnie z dzieciństwa na rękach swoich, kochała prawie jak matka a pieściła więcej...

I nie było końca uściskom, pytaniom i radości wielkiej. Beładna rozmowa trwała godzin parę, zanim wniesiono światło i dano znać, że wieczerza wigilijna na stole.

W jadalnej sali, oświetlonej rzęsiście, przy stole zastawionym suto, a nakrytym po dawnemu na sianie, zasiadło liczne grono z którego dziś zaledwie mała czątką została na świecie...

Pierwsze miejsce u góry zajął dziadek — pan Podkomorzy humański, obok niego po obu stronach rodzice moi, potem według starszeństwa rodzeństwo całe i krewni, a na samym końcu, naprzeciw pana Podkomorzego, owa piastunka moja ukochana, pochylona.

wiekiem staruszka - panna Malicka — przyodziana w szaty odświętne i strojny wielki czepiec z żółtymi wstęgami, a spoglądająca wciąż na mnie ze łąą radości w oku.

Wieczera trwała długo — a po niej, jak zwykle gawęda i tradycyjne opowiadanie pana Podkomorzego o czasach dawnych. Podkomorzy, za lat młodszych znamienity orator, lubił mówić i mówił pięknie, a w wieczór wigilijny występował zwykle z przydłuższą opowieścią, której z zajęciem słuchali wszyscy, nietylko krewni i goście, ale nawet domownicy i słudzy, którzy się zwykle, przy takiej okazji, we drzwiach jadalnej gromadzili sali.

Zasiedliśmy tedy i tym razem w około i słuchali z uszanowaniem a pan Podkomorzy tak mówić zaczął z powagą wielką:

Czasy te, do których teraz pamięcią wracam, dziwne i coraz dziwniejsze wydawać się wam muszą. Mnie samemu, gdy spojrzę baczniej na to życie dzisiejsze, tak całe od dawnego odmienne, to zda mi się, że to sen i złudzenie ten świat młodości mej, ci ludzie, z którymi żyłem, którzy mnie otaczali i poszli w wieczność przedemną. Nie żeby to życie i ludzie ci koniecznie lepszymi byli — bywało różnie, jak zwykle: byli lepsi, bywali i

gorsi — ale to pewna, że silniejsi byli i hartu ducha mieli więcej. Z dawnego rycerskiego żywota pozostało było w narodzie do ostatnich czasów wiele animuszu, wiele fantazyi, która, skierowana na fałszywe drogi, nieraz wybujała zanadto i przekraczała miarę. To co w innych epokach, w okazyach prawdziwie rycerskich, objawić się mogło jako bohaterstwo wielkie, w czasach upadku przeradzało się w szalone wybryki, w karygodną nieraz swawolę. Z jednej strony zniechęcenie i brak woli do pracy, z drugiej szaleństwa rozbujającej fantazyi szlacheckiej — oto smutny stan kraju za pamięci mojej. Ale przyznając, że tak było, że było źle pod niejednym względem, niepodobna nie uznać, że w tej powszechności podupadłej moralnie, nie brak było charakterów imponujących rzeczywistą siłą, że nawet, powiedziawszy szczerze, w złem czy w dobrem, mało było indywiduów zwykłych, poziomych, ale w obydwu kierunkach widziałeś niepospolitość często, jakąś cechę odrębną zawsze. Dziś — sprzeczać się nie będę — świat lepszy może, przede wszystkim spokojniejszy, czy też na pozór więcej się miarkujący, ale tak jednakowo dziwnie, że zda się, iż ktoś jakby linię



z wierzchu położył i wszystkie głowy według jednej miary porównał.

Więcej też było w naszym gminie szlacheckim zobopólnej miłości, więcej poszanowania zasług. Dziś, widzę, ktokolwiek wyrósł nieco nad innych, wnet przygotowany być musi, że go kamienować będą, że przy lada okazji, z ulicy czy z kamienicy, padnie nań grad pocisków srogich, że pracy jego poddadzą myśl samolubną, jego przedsięwzięciom sobkowstwo i dybanie na cudzą krzywdę, a tak zakrzyczą i tak zahukają straszliwie, że choćby czystym był jak krzyształ i o swej niewinności głosem całej duszy wołał, to głos ten i wszelka obrona przebrzmia niedosłyszane wśród pocisków potwarzy i chyba trąba archanioła na ostatecznym sądzie da świadectwo prawdzie... Zdarzało się to i dawniej, że ktoś bezimiennym paszkwilem obluzgał cudzą sławę, ale paszkwil ten, chociażby nawet miał jaką rację, kryć się musiał po zaułkach, jeśli zaś niesłusznym był, to nie znalazł nigdy odgłosu i oburzenie jeno wywołał, a każdy uczciwy wzdragał się przed taką bronią i ją potępiał. Rozpłatać głowę kordem była rzecz codzienna, ale sławę bliźniego i współobywatela niweczyć na drukowanej bibule, wrzeko-

mo dla naprawy obyczajów, a właściwie ku zgorszeniu swoich i obcych, by ją tłum szarpał po wiekuiste czasy, toć sprawa nieszlachecka i niehonorowa, której imali się tylko ci, którzy już nic do stracenia nie mieli.

Że zaś zasługi poważano i zacność obywatelską, toć chcę wam przykład przytoczyć, blizki, bo z rodziny waszej, a w przykładzie tym znajdziecie równie dowód, jako w czasach ostatnich, w czasach upadku, najlepsi nawet ulegali tej nieposkromionej fantazy szlacheckiej która, że na bohaterstwo rycerskie nie było już miejsca, przechodziła w dziką nieraz swawolę...

Kto w ostatnich lat dziesiątkach ubiegłego stulecia znał chełmską ziemię, ten nie mógł nie słyszeć o panu Chorążym Ignacym na Wielobyczach Skarbkę Wielobyckim. A nie tylko ziemianie chełmscy, lecz i całe województwo znało i szanowało pana Chorążego. Był też to rzeczywiście mąż niepospolity i słuszny, nie uczony na książkach po dzisiejszemu, ale mądry eksperyencyą publicznego życia, w różnych kolejach nabytą, bo za młodu i o dwór królewski się ocierał i na sejny od braci szlachty chełmskiej posłował, a w czasach wojennych nie żałował krwi swojej, za przykła-



dem antenatów swoich, Skarbków Wielobyckich, o których sprawach rycerskich opowiadają stare kroniki i konstytucye rozliczne: jako o owym Tomaszu Wielobyckim, którego męstwo na ekspedycyi moskiewskiej sławi konstytucya z roku 1611, a który w tejże za Zygmunta III okazyi, na obu rękach srogie rany poniósł, dwaj zaś bracia jego, życie dla ojczyzny na placu położyli. W konfederacyi barskiej, już nie młodym będąc, p. Choraży brał żywy udział, ale powrócił z niej rozczarowany wielce i chmurny straszliwie...

— Złe jest, asindziejmu mój — mówił. — Doszło już wszystko *ad extrema*... Siła jest takich, którzyby radzi *in turbido piscari*, a na to rady nie ma, jeno chyba modlitwa a pokuta sroga.

Toż odtąd zamknął się pan Choraży w swym dworze w Wielobyczach i do spraw publicznych cale się nie męszał; w duszy tylko, gdy mu powiadano co się dzieje, żył się a gniewał, a potem modlił się na klęczkach i praktyki nabożne odprawiał. Trzeba zaś wam wiedzieć, iż dla jego rozumu wielkiego, stateczności i powagi w województwie, niejednokrotnie czyniono zabiegi, aby go wyprowadzić z zacisza i ofiarowywano

różne godności i dostojęstwa, których on wszelako nigdy przyjmować nie chciał.

— A na co mi to, asindzieju... Jeśli ojczyzna potrzebować będzie, stanę do apelu, jako jestem — w szeregach.

Dla tej też bezinteresowności jego a wielkiego dla spraw publicznych poświęcenia, szanowano go i poważano wielce i udawano się zewsząd po radę, nawet w zatargach prywatnych lub familijnych. Pan Choraży był dla całego województwa generalnym rozjemcą, a taką był powagą, iż nie zdarzyło się, by ktokolwiek przeciw wyrokowi jego protestować chciał lub go nie usłuchał.

Dwór w Wielobyczach stał też dla wszystkiej braci szlachty otworem; a że zamożność była wielka i pan Choraży suto podejmować lubił, było tu codzień gwarno i ludno, pełno zawsze bliższych i dalszych sąsiadów, którzy, zjechawszy, tygodniami całemi w Wielobyczach siedzieli. Krewniaków też zawsze było mnóstwo, a wśród nich wielu takich, którzy rozmaitemi drogami chodząc po świecie, spokojną przystań znaleźli w wielobyckim dworze i tu zamieszkali, nie zawsze wszelako płacąc wdzięcznością panu Chorażemu za gościnny przytułek.

— Wiem ja, asindzieju, że to nicpoń — mawiał Chorąży, gdy mu przedstawiano, że niewdzięcznika karmi — ale ma się gdzie walać po świecie i ujmę nazwisku szlacheckiemu a krwie swojej przynosić, to wolę, asindzieju, niech siedzi tu i na mnie złość wywiera — po cichu.

To pewnie, że po cichu; — bo na pozór wszyscy najkorniej kłaniali się panu Chorążemu i jego cnoty sławili. Lękali się go bowiem okrutnie, ile że impetyk był wielki a w gniewie na wszystko był gotów. Zwłaszcza po obiedzie, gdy podpił węgrzyna — od kieliszka zaś nie zwykł był stronić — niebezpiecznie go było rozdrażniać. Gdy się rozgniewał a krząknął, mury się trzęsły i piekło robiło się w domu; uciekali wszyscy z przed oczu Chorążego, czekając, aż się uspokoi. W takich chwilach twarz jego, zwykle poważna, jeszcze surowszą się stawała i zmieniała się nagle; oczy zabiegały krwią, policzki nabrzmiwały, a żyły na czole występowały grube jak postronki, układając się wyraźnie w wielką literę W, która, jak wiecie, tworzy zamię herbowe Wielobyckich — Abdank.

— Ostrożnie, bo Abdanka zobaczysz! — przestrzegano we dworze, gdy kto zbyt śmiało

sobie wobec Chorążego poczynął i na gniew się jego narażał niebacznie.

Jeden tylko człowiek z całego dworu, nawet w takich okazyach, nie obawiał się do Chorążego przystąpić. Był to także rezydent-krewniak, *bene natus*, familiant, ale zubożały, nazwiskiem Paweł Rudnicki herbu Lis. Herb nie mógł być właściwszy, bo też w istocie imćp. Rudnicki chytrym a przebiegłym był jak owo długoogoniaste zwierzę. Toż umiał tak się wkraść w łaski p. Chorążego, że w każdym momencie i o wszelkiej porze miał do niego przystęp, że pan Choraży bez p. Pawła obejść się już nie mógł, a ufał mu i wierzył jako najlepszemu przyjacielowi. We dworze zwano Rudnickiego krótko „Lisem«, albo też „dyabłem kulawym“, bo nalegał na jedną nogę; nienawidzono go też powszechnie. Gdy go poznałem, starzec to już był podeszły, wzrostu małego, przygarbiony szpetnie, o twarzy straszliwie pooranej zmarszczkami i jakby pozszywanej; wydawał się też z pozoru znie-doleżniały zupełnie, ale umysłu był zawsze wielce bystrego i pochopnego ku podejrzliwości; nie brakło mu też w razie potrzeby siły i energii niezwykłej. Zimą i latem, odzia-ny w kubrak krótki, popielatej barwy i buty

wysokie, chodził o lasce powoli, ale od świtu do nocy ustawicznie. W każdy kącik zaglądnął, we dworze, na gumnie, na folwarku, wszędzie był i wszystko widział, a to wszystko potem, w wieczornej pogadance, panu Chorażemu komunikował.

Pan Choraży, kiedy go poznałem, był jeszcze silny i krzepki, chociaż już szósty krzyżyk na barkach dźwigał. Wzrostu był słusznego, barczysty i dość dobrej tuszy; twarz piękna, prawdziwie męzka, ozdobiona sumiastym wąsem, miała wyraz surowy; z oczu, w pół zasłoniętych krzaczastymi brwiami, strzelały blaski ognia i bystrości wielkiej. Ubierał się krótko, z węgierska, zawsze dość suto i strojnie; ruchy też miał młodzieńcze prawie i żywe a wytworne zarazem, pełne majestatu jakiegoś i imponującej godności. Mówił zawsze głośno, dobitnie, tonem rozkazującym niemal.

Poznałem go, gdy był już wdowcem. O małżonce swej wyrażał się zawsze z afektem i uszanowaniem, a wolę jej we wszystkim tak sobie ważył, że cały porządek domowy rozkazał wiernie chować tak, jak go umierając pani Chorażyna pozostawiła. Miejsce gospodyni w domu, po śmierci Chorażyny,



zajęła siostra jej, wdowa, pani Starościna Żarnowska, osoba wielce jak na owe czasy uczona, a przedziwnej łagodności i słodczy charakteru. Ona to zajmowała się wychowaniem dwóch pozostałych sierot: Pauliny i Jadwigi Wielobyckich. Śliczne to były dziewczątka, choć urodą całe od siebie różne. Starsza, ośmnastoletnia, blondynka, wysoka, smukła, miała w oczach błękitnych wyraz takiej anielskiej dobroci, że pod ich spojrzeniem najtwardsze serce stopnieć jak wosk musiało... Młodsza o rok Jadwiga, nieco niższa wzrostem od siostry, ale okazalsza postawą, ciemniejszą też miała barwę włosów, rysy wybitniejsze, większe, a w ciemnych oczach i w twarzy wyraz nieco surowy, znamionujący siłę woli niezwykłą w niewieście; była więcej do ojca podobna. Pan Chorąży też szczególnie ją miłował; wola jej często przemagała, a w domu dla wszystkich chcących się panu przypodobać, była wyrocznią.

— Rozum ma, asindziej, ekstraordynaryjny, ta dziewczka — mawiał Chorąży na ucho, patrząc na córkę z miłością wielką — co powie, to tak asindziej, jakoyś z księgi czytał.

Na wiosnę roku pańskiego 1773 przybyłem do Lublina z dalekiej Ukrainy w celu



windykowania sukcesyi po zmarłym bezdziednie bracie matki mojej, która, jak wiecie, była z lubelskiego, a że to nawet jakaś kolidacja daleka łączyła ją z panem Chorażym, więc też, będąc w tych okolicach, nie mogłem jego gościnnych progów pominąć.

Przyjął mnie z taką serdecznością szczerą, o jakiej trudno by dziś nawet dać pojęcie; zniknęła bowiem ona z obyczajów dzisiejszych, jak wiele innych tradycji; grzeczność wyszukana, piękna na pozór, ale wykonywana jako obowiązek nieraz ciężący, zastąpiła to, co dawniej było prawdziwą oznaką węzłów, braci szlachtę łączących.

Nie będę też opowiadał wam ani przyjęcia tego, ani historyi kilku następnych miesięcy, podczas których zostałem narzeczonym a potem szczęśliwym małżonkiem Pauliny Wielobyckiej. Rodzice moi i cała bliższa rodzina zjechała na gody weselne, a wszystkich podejmował pan Choraży z serdecznością i hojnością wielką. Całe też niemal województwo brało udział w tych godach, które kilka dni trwały, a stały się początkiem całego szeregu lat nieprzerwanie szczęśliwych, jakie z Paulisią moją przeżyłem... Trzydzieści lat przeżyłem z nią w miłości i zgodzie; trzy-

dzieści lat niezamąconego pokoju, aż do tej straszliwej godziny, w której na rękę mojem Bogu czystego ducha odddała...

Smutnie zamyślił się p. Podkomorzy, — zamilkł i głowę siwowłosą pochylił na piersi, a usta szeptały pobożnie :

— *Requiem aeternam donu ei Domine!..*

Pochyliliśmy także głowy, łącząc się w duchu z tą modlitwą żałobną starca. Ojciec mój ocierał łzy płynące mu po twarzy, a i wśród domowników, skupionych we drzwiach jadalni, widziałem widoczne wzruszenie. Rzuciwszy okiem w tę stronę, na tę gromadkę sług wiernych, z których wielu pamiętało jeszcze czasy przez Podkomorzego wspominate, ujrzałem nagle bladą twarz Semena. Stał w dali i słuchał z natężoną uwagą.

Po chwili, wśród ogólnego milczenia, pan Podkomorzy mówił dalej:

-- Otóż w czasie tych godów weselnych, wśród tłumów gości, pojawił się nagle, ku ogólnemu zdziwieniu imćp. Gozdawa, szlachcic zamieszkały w Krasnymstawie a znany powszechnie z nienajlepszej strony. Z nim przybył niejaki imćp. Jaromir, od niedawna w tych okolicach bawiący, a o którym zaraz będzie mowa. Ów zaś Gozdawa reputację miał brzy-

dką, mówiono o nim, że sknera był wielki, a krzywda ludzką dorobił się znacznej fortuny w gotowiźnie. Ziemi nie posiadał, a że jurysta był pono biegły, więc się w procesa bawił, rozliczne sprawy zawile wyszukiwał, nabywał je, lub też w imieniu mocodawców działając, na poły zyskiem z nimi się dzielił. Pieniacz był słowem zawołany, a nie było prawie w całym województwie szlachcica, któregooby jakimś pozwem nie zaczepił i o stratę nie przeprowadził. Z p. Chorażym także od pewnego już czasu spór rozpoczął, wprawdzie nie sam, ale w imieniu panów Wyszpolskich, sąsiadów Wielobyecz, którzy z dawnien dawna rościli sobie pretensye do sporego kawałka lasu, będącego od wieku attynencyą dóbr wielobyckich. Musiała to być pretensya niezbyt pewna, skoro, jakkolwiek pamiętano o niej i nawet dawnemi czasy proces rozpoczęto, za życia Chorażego sporu zaniechano, a sąsiedzkie stosunki z panami Wyszpolskimi były nader uprzejme. Dopiero Gozdawa, wyszperawszy jakoweś dokumenta, rozpoczął nową akcyę; Wyszpolskich z Chorażym poróżnił a ustawicznymi pozwami niepokoił go i drażnił. Oburzony też był srodze p. Choraży na owego Gozdawę, ile że zerwa-

nych a miłych niegdyś stosunków sąsiedzkich z panami Wyszpolskimi wielce żałował, sama zaś sprawa, wlokąca się długo a bądź co bądź grożąca ustawicznie utratą pięknej części majątności jego, dojmowała mu również mocno.

Toż łatwo przedstawić sobie z jakim zdumieniem i nieukontentowaniem ujrzał Chorąży wchodzącego owego Gozdawę. Nieukontentowanie to wzmogło się jeszcze, gdy za Gozdawę ukazał się imćp. Jaromir, niedawno dopiero, jak się wyżej rzekło, przybyły w te strony. Przed dwoma miesiąca niespełna pojawił się on jakoś niby przypadkiem w Wielobyczach a rekomendował się p. Chorążemu, jako szlachcic herbu Korczak z województwa kijowskiego, mający interesa i krewnych w Lubelskiem. Opowiadał, jako walczył w konfederacyi pod Zarembą, a postawę miał iście rycerską. Chłop był rosły, smukły, twarzy niezwykle urodziwej; mówił pięknie, jakby z książki czytał, a na białogłowy spoglądał tak czule, że kraśniały i mieniały się pod siłą jego spojrzenia. Od kiedy po raz pierwszy przybył do Wielobycz, nie było niemal tygodnia, aby nie zaglądnął tam pod jakimś pozorem. Raz to, drugi raz owo sprowadzało go

do p. Chorążego, który, zrazu nie podejrzewając nic zgoła, rad był gościowi, przywozającemu zawsze świeże wiadomości *ex publicis*. Wiadomości te coraz były smutniejsze, toż p. Chorąży, mając przed kim użalić się, do syta nagadać i nawymyślać na tych, których zdrajcami i nieprzyjaciółmi być mienił, zawsze chętnie przyjmował owego Jaromira u siebie, a nawet go sam zapraszał. Jaromir wtórował mu też zawsze w tych wyrzekaniach, a tak zręcznie umiał zająć p. Chorążego owemi relacyami swemi, że ten nie uważał zgoła, jako przybysz coraz częściej i czulej w ciemne oczy panny Jadwigi zagląda, a ta również nie zdaje się być mu przeciwną. Bawiąc się też dobrze i animując wielce na takich z p. Jaromirem politycznych konwersacyach, nie badał go cale p. Chorąży, co zaczęło i poco siedzi w okolicy. Wystarczyło mu to, że Jaromir sam wyznał, jako krewnych ma w Krasnymstawie i rozmaite familijne sprawy do załatwienia.

Ale podejrzliwe oko p. Rudnickiego nie darmo sześć lat dziesiątków z rozmaitych stron na świat patrzyło. Spenetrował on od razu, co się święci i jał badać a śledzić. Czy go skłaniało do tego rzeczywiście do p. Chorą-



żego przywiązanie, czy też wrodzona do podejrzliwości inklinacya, rozstrzygnąć trudno; dość, że Lis stary dopóty jeździł do Krasnegostawu, dopóty myszkował, dopóty to z tym to z owym, przy kieliszku miodu rozprawiając, wypytywał a śledził, dopóki nie dowiedział się, że imćp. Jaromir żadnych spraw lub interesów, ani rodziny w tych stronach nie ma, jeno jednego krewniaka, owego nienawistnego Chorążemu Gozdawę.

Prócz tego pozbierał Rudnicki siła innych cale brzydkich wiadomości o tym Jaromirze i z niemi pewnego wieczora, jakoś na tydzień przed mojem weselem, przybył do sali jadalnej, gdzie oprócz rodziny, tj. pani Starościny Żarnowskiej, p. Chorążego, Jadwigi, Paulisi mojej i mnie, był też i Jaromir, który od dwóch dni już siedział w Wielobyczach, opowiadając wciąż Chorążemu o bolesnych wypadkach sejmu w Warszawie, o konfederacyi Ponińskiego i Radziwiłła, o bohaterskiem zachowaniu się Rejtana, o limicie sejmu i obradach ustanowionej delegacyi... Mówił pięknie, jak kaznodzieja jaki, a pan Chorąży słuchał a słuchał i to pięście zaciskał z gniewu, to zamyśliwszy się, wzdycha ciężko. Z wielkiego frasunku i alteracyi wewnę-



trznej, na czole jego wystąpiło wyraźnie znamię herbowe.

— Straszne rzeczy! straszne rzeczy! opowiadasz nam asindzieju.. — powtarzał Chorąży. Cóż tu jeden człek, chociażby najmężniejszego animuszu, począc zdoła.. *Calamitas!* asindzieju. Jeśli nie zła wola, to demencya... *quem Deus perdere vult — dementat!*

I bił pięścią w stół, aż się szyby trzęsły, lub wzdychał głośno a biadał.

W tej chwili, krokiem cichym, pomaleńku wsunął się do komnaty Rudnicki. Ręce jakby z ukontentowania zacierał, a twarz, zwykle i tak pomarszczona szpetnie, jeszcze mu się bardziej kurczyła, składając niby do uśmiechu. Zwyczajną to było oznaką wewnętrznej satysfakcyi, której Lis utaić nie umiał, ilekroć udało mu się coś tajnego uchwycić lub dośledzić.

Usiadłszy opodał, przysłuchiwał się z wielką attencyą opowiadaniom Jaromira, a wreszcie. skorzystawszy z chwili milczenia, ozwał się cichym, łagodnym głosem:

— Wracam z Krasnegostawu i tam także konsternacya wielka i smutek... Mówił mi właśnie imćp. Gozdawa...

— Gozdawa? — ofuknął się Chorąży — a pocóż asindziej u rozprawiasz z tym...

Zanim Chorąży zdołał wyrzec pomyślany już zapewne obelżywy wyraz na Gozdawę, Rudnicki jakby zapobiedz chcąc, by stąd nie wyniknęła obraza gościa, przerwał spiesźnie.

— Jmćp. Gozdawa jest podobno bliskim krewnym p. Jaromira i obligował mnie właśnie...

— Gozdawa krewny asindziej u? — spytał ostro Chorąży, zwracając się ku Jaromirowi.

Ten zmieszał się widocznie, ale negować nie mógł. Chorąży zaś spochmurniał jeszcze bardziej, przeciw Gozdawie nie rzekł już nic, tylko palcami po stole bił, co było oznaką rozdrażnienia i nieukontentowania wielkiego.

Jaromir próbował jeszcze przedłużyć dyskusję, ale już mu nie szło, a gdy znów o sprawy polityczne potracił, przerwał mu naraz Rudnicki.

— A co tam — mój mości — słychać o księciu Prymasie Podoskim?

Naturalne to było pytanie, a jednak dziwne, niemal przerażające zrobiło na Jaromie - rze wrażenie.

Zachnął się, jakby go co ukłuło i z wi-  
oczną niechęcią odparł:

— Książę Prymas w Gdańsku jest... od  
czasu awantury z Saldernem urzędu nie spra-  
wuje; na sesjach delegacyi prezyduje zastę-  
pca jego ks. biskup kujawski Ostrowski...

— Wart Pac pałaca, asindzieju — krzy-  
knął Chorąży. — I na takich ludziach opie-  
rają się rządy Rzeczypospolitej!

— A cóż tam porabia ks. Prymas w Gdań-  
sku? pytał znów po chwili milczenia, z fizyo-  
gnomią uśmiechniętą złośliwie Rudnicki.

— A niech robi, co chce! — ofuknął Cho-  
rąży. — Skąd tobie, asindzieju, ta ciekawość  
o tego... tego... Zaciął się i splunął.

— Duchowna osoba — mruknął — nie  
godzi się rzec właściwego słowa, ale *traititor*  
*ecclesiae et patriae*, to pewna ..

Jaromir milczał.

— Ja pytam, mój mości — ozwał się sło-  
dziuchno Rudnicki — boć to zawsze pierwsza  
persona po Królu Jegomości, a zda mi się,  
że p. Jaromir winienby wiedzieć, jak tam  
stoją sprawy z Prymasem, bo brzydkie rzeczy,  
mój mości, gadają...

— Ja wiedzieć mam? coraz jawniej zalte-

rowany ozwał się Jaromir — wiem tyle, co inni... nic więcej!

— Nic więcej? — podniósł Rudnicki - to dziwna, mój mości...

Choraży przerwał dalszą rozmowę i widocznie wzburzony powstał z miejsca, dając tem hasło do odwrotu, poczem Jaromir pożegnał się i odjechał, wszyscy się rozeszli, a do sypialni Chorażego wsunął się niepostrzeżenie Rudnicki.

Rozmowa była długa i jak mi mówiono, burzliwa. Nazajutrz dowiedziałem o jej treści z ust samego Chorażego, który z wielką alteracją opowiadał mi, jako Rudnicki, pojechawszy do Krasnegostawu, dowiedział się, iż ów Jaromir był dworzaniem Podoskiego Prymasa, używanym przezeń do najnikczemniejszych usług i intryg, a gdy po zejściu z Saldernem Prymas cofnął się od spraw publicznych i w Gdańsku zamieszkał, Jaromir odprawiony, jako niepotrzebne narzędzie, tułał się po rozmaitych kątach i przybył w końcu do Lublina, a ztąd do Krasnegostawu, gdzie krewniak jego, ów Gozdawa, miał dworek na przedmieściu Zakręcie. Jaromira miano powszechnie za indywiduum niebezpieczne, przed którym trzeba się było strzedz z mową, aby

jakie niestrożne słówko za jego pośrednictwem nie obilo się za daleko, ze szkoda mówiącego. Miał on wrzekomo badać opinię kraju po ostatnich wypadkach i donosić o niej tym, którzy mu za to żołąd wypłacali. Przytem hulaka i kostera wielki; co miał, przegrywał lub przetracał na hulanki.

— Niezbyt ja Lisowi dowierzam, asindzieju — mówił Chorąży — aleć to zawsze nie dobrze jest, że takie o tym Jaromirze chodzą relacye. Coś tu prawdy może być, bo po co on tu tak często zajeżdża, a zawsze prawie wonczas, gdy tu sąsiedzi się zjadą a rozprawiają głośno to o tem, to o owem. Wprawdzie Lis stary inną mi jeszcze podawał przyczynę częstych odwiedzin owego Jaromira, ałem go, asindzieju, sfukał i milczeń nakazał..

— I jakąż to przyczynę? — spytałem.

— Et! głupstwo jest i nawet supozycya taka wydaje mi się być śmieszną. Lis twierdzi, asindzieju, jakoby ów imćp. Jaromir do Jadwini zaglądał i zamierzał o jej rękę deklarować się...

— A to może być.. — wyrwało mi się mimowoli — bo i ja zauważałem...

— Co i waść, asindzieju, to samo śmiesz prawić! — z krzykiem wielkim porwał się

pan Chorąży. — A to byłby piękny *casus*, gdyby taki nicpoń pomyśleć śmiał.. Dam ja mu Chorążankę, że ruski miesiąc, asindzieju, pamiętać będzie!

I z wielkim ferworem jął biegać po komnacie, z Abdankiem na czołe, żem go uspokajać i mitygować musiał.

Minęło tak dni kilka, aż do terminu wesela, a przygotowania do niego odwróciły myśl p. Chorążego od Jaromira i Rudnickiego doniesień. Gdy oto, jako się wyżej rzekło, na drugi czy trzeci dzień godów weselnych, gdy licznie zebrani goście zabawiają się żywą przy węgrynie rozmową, zjawia się nagle ów pan Gozdawa ze swoim krewniakiem. Było to tem więcej dziwnem, że Gozdawa nigdzie zwykle nie bywał, chyba w sądach a trybunałach; z nikim też relacyi nie miewał i nikogo nie przyjmował u siebie, chyba w interesach prawnych. Mówiono, że nawet z synem jedynakiem rzadko się widywał, bo syn ten księdzem był i przy kościele Bonifratrów w Krasnymstawie jakąś funkcję sprawował, stary zaś Gozdawa jako farmazon do kościoła nie chodził, a synowi długi czas nie dawał sukni przywdziać duchownej.

Pojawienie się tych ichmościów cale dzi-



wne i niemiłe wywarło wrażenie i wszyscy znacząco spojrzeli po sobie, a pan Choraży, zajeżdżających pod ganek zoczywszy, rzucił się ku drzwiom tak gwałtownie, że w aprehensyi, aby się nie uniósł zbyt, znowum go mitygować i uśmierzać zaczął.

— Nie lękaj się, asindziej! Gość w dom, Bóg w dom...; pod dachem moim włos im z głowy nie spadnie, ale wiedzieć się godzi, co mi ten niezasażony zaszczyt sprowadza.

W tej chwili otwarły się podwoje i wszedł naprzód imćp. Gozdawa, figurka mała, suchą, zgarbiona i przyodziana nędznie. Za nim szedł posuwisto Jaromir, przybrany suto a wyglądający niby senator w kontuszu pięknym, jedwabnym, ciemno turkusowym, żupanie złocistym, z karabelą przy boku, drogiemi kamieniami nabijaną.

Zaczem przybyli submitowali się kornie p. Chorażemu; lecz ten, na ukłon odpowiedziawszy ukłonem, stał w miejscu milcząc, jakby wyczekiwał wyjaśnienia tych niespodzianych nawiedzin.

— Dzieląc powszechne uczucia konsyde-racyi dla osoby jw. Chorażego i jego dostojnej rodziny — począł uroczyście p. Gozdawa — przybyliśmy, ja i mój krewniak, oto tu obe-

cny imćp. Korczak Jaromir, złożyć powinne hołdy nasze, wraz z życzeniami dla nowożeńców, których związek, kojarząc dwa zasłużone w Rzeczypospolitej rody, łącząc starożytnego Abdanka...

— Dziękuję, asindzieju, dziękuję.. przerwał impetycznie p. Chorąży, nie zasłużyłem na tyle względów, ile że ani ja, ani mój zięć, nie mieliśmy okazji..

— To nasza, a głównie moja wina, *mea maxima culpa!*.. — przerwał słodziuchno pan Gozdawa — iżem dotąd, prowadząc iście pustelniczy żywot, nie starał się pozyskać względów jw. Chorążego..

— Zbytek łaski! asindzieju, zbytek łaski! z widocznym impetem przerwał znów Chorąży. Hamował się w gniewie, który jednak lada chwila mógł groźnie wybuchnąć; twarz mu czerwieniała, oczy krwią zabiegały, a na czole Abdank w całej pełni wystąpił.

Na to jednak nie zdawał się zważać pan Gozdawa, a pomimo znaków Jaromira, który stał przy nim skonsternowany widocznie, nie objawiał wcale zmięszania z powodu tak niezwykłego w gościnnym Chorążego domu przyjęcia. Ja tymczasem w wielkiej aprehensyi, łamałem sobie głowę, co też za myśl ukrytą a niefor-

tuną miał Jaromir, sprowadzając owęgo Gozdawę w czasie godów weselnych. I po namyśle przyszedłem do tej konkluzji, że w ten sposób zamierzał on właśnie naprawić to, co popsuło wydanie jego się pokrewieństwa z nienawistnym Chorążemu Gozdawą, przyprowadzając zaś do skutku zgodę między nimi, a może i porozumienie w owym o las procesie, utrować sobie drogę do łaski rodzica Jadwigi. Zauważałem też w tej chwili, że oczy Jaromira zwracały się ustawicznie w stronę, gdzie siedziała Jadwiga, śliczna w stroju druchny, ale także dziwnie pomieszana i blada.

Gozdawa prawił jeszcze jakieś komplimenta, na które Chorąży odpowiadał głośno, ale zwięźle i niechętnie, a wreszcie, czyniąc z widocznym przymusem zadość obowiązkowi gościnności, skłonił się i wskazał ręką przybyłym miejsce przy stole, gdzie liczni biesiadnicy siedzieli. Wnet zaczęły znów krążyć kielichy węgryzna i wrzawa na nowo się podniosła wielka, i szlachta byłaby już zapomniała o nieproszonych gościach, gdy naraz P. Gozdawa, któremu stary węgryzn śnać rychło we łbie zakręcił, wstał i z podniesionym kielichem oracyę zaczął:

— Szczęśliwa fortuna... — przemówił.

— Która, mój mości, na manowce wiedziesz, bo ślepa... — przerwał głos jakiś ze złośliwym chichotem.

Wszyscy zwrócili się, szukając, ktoby to przemówił, ale mała postać Lisa Rudnickiego, którego głos poznałem, utonęła gdzieś wśród tłumy, że jej i dojrzeć nie można było.

Gozdawa się zmięszął, ale po chwili znów zaczął:

— Szczęśliwa fortuna sprawia, iż oto nie w inną okazyę, ale w tę uroczystą godów weselnych chwilę, pod dach gościnny jw. Chorażego przybywam, aby mieć zaszczyt w licznej gronie mnie wielce miłościwych panów a braci, spełnić ten puhar na pomyślność młodej nowożeńców pary...

— Niech żyją państwo młodzi! — ozwało się ze wszech stron wołanie, i poszedł puhar kolejną, ale p. Gozdawa, spełniwszy go duszkiem, nie siadał jeszcze, a gdy się uciszyło, a służba znów napełniła kielichy, tak dalej prawił:

— Toast, któryśmy spełnili, nie byłby zupełnym, gdybyśmy wnet nie połączyli go z innym, na cześć czcigodnego panny młodej rodzica, na cześć tego, którego każdy z was, miłościwi panowie a bracia, głęboko weneruje...

— A ja procesuję... — przerwał znowu głos niewidzialnego Lisa

Choraży zachnął się gniewnie.

— Nie przerywać proszę! — krzyknął.

Na bladą, wynędzniałą a okrytą zmarszczkami twarz Gozdawy, wybiegły dwa rumieńce jakiegoś ceglatego koloru; błyszczącymi z wewnętrznej alteracyi oczyma szukał dokoła ukrytego przeciwnika, który mu przerywał, a drżącą ręką szarpał frędzle pasa.

— Po raz wtóry — zawołał donośnie — głos jakiś wpada mi w słowo, gdy chcę oto wyrazić, co czuję dla godnej osoby gospodarza tego domu i jego przezacnej rodziny. Odkładając przeto, co powiedzieć miałem, gdy już wspomniano o procesie, przedewszystkiem nadmienić muszę...

Choraży porwał się z krzesła.

— Obliguję asindzieja, wszelkie sprawy odłożyć na później... Nie pora mówić o tem...

— Chciałbym uczynić zadość woli jw. Chorażego — odparł potulnie Gozdawa, ale widocznie gniew nim miotał wielki, a parę wypitych kielichów starego węgrzyna miarkować się nie dawało.

— Wszelako — kończył siadając — wobec czynionych nieznanych mi głosem zarzu-



tow i śmieszków, jakie słyszę, oświadczyć wieniem, jako procesu żadnego już nie ma, ile że dziś właśnie, wyjeżdżając z Krasnegostawu, złożyłem w imieniu mocodawców moich panów Wyszpolskich deklarację, że odstępuję..

— A to dlaczego?.. — przerwał impetycznie Chorąży — przyjaźń przyjaźnią a proces procesem... czyja racya, ten wygra! jeśli las nie mój, to go sobie bierz, asindziej! Ja łaski nie akceptuję!

— Nie łaska to żadna, panie Chorąży — odparł Gozdawa, który, że pieniacz był, a ustępować nie lubił, rozdrażniony przymówkami Lisa i tłumionemi śmiechami niechętej mu szlachty, zmilknąć już nie chciał, pomimo rozpaczliwych znaków Jaromira. W całym gronie biesiadnym zaległo milczenie; każdy czuł mimowoli zbliżającą się burzę.

— Nie łaska to żadna — powtórzył Gozdawa — jeno słaby dowód głębokiej czci, jaką wszyscy dla osoby jw. Chorążego przejęci jesteśmy. Mocodawcy moi, panowie Wyszpolscy, byli mniemania, że mają słuszną pretensję, wszelako więcej niż wygranę ceniąc sobie względy jw. Chorążego, zamiast wszczynać spór z tak godnym obywatelem, wola



zaniechać sprawy, do czego też ja, skromną radą moją, niemało się przyczyniłem....

— Żleś uczynił, asindzieju! ja takiego ustępstwa nie akceptuję!... Dość już się nasłuchałem o tej sprawie i teraz chcę końca i stanowczego wyroku... chyba, że pp. Wyszpolscy złożą deklarację, jako uznają, iż niesłusznie mnie napastowali...

— Tak jest! tak jest! — ozwały się głosy. Gozdawa zachnął się niecierpliwie.

— Napastowali.... — powtórzył — srogi to wyraz i pomimo wysokiej czci dla osoby p. Chorążego, takiego żądania mocodawcom moim przedstawiać nie mogę. Sądziłem, że p. Chorąży łaskawem sercem przyjąć raczy wiadomość, jaką mu zakomunikować spieszyłem tem żywiej, ile że jeszcze inne mam do niego poselstwo...

— Oho, wyłazi szydło z worka! — mruknął znowu głos Lisa, tym razem niedosłyszany przez Gozdawę.

— A cóż to, asindzieju! — zawołał Chorąży z nietajonym gniewem — wybrałeś sobie czas ten, który ja pragnałem spędzić w gronie rodziny i przyjaciół, na jakieś poselstwa od obcych?...

— Posłów nie ścinają.... — odparł Go-

zdawa, coraz widoczniej zalterowany i tem śnać mniej do milczenia skłonny — a ja, spełniając włożony na mnie obowiązek — prawili dalej — nie mogłem wybrać stosowniejszej pory jak właśnie tę oto chwilę, w której godna starsza córka takiego rodzica zawiera śluby małżeńskie z niemniej szanownym obywatelem..

Tu Jaromir, jakby przyprowadzony do ostateczności niepowściągliwością języka Gozdawy, usiłował mu przerwać, wstając z miejsca i zbliżając się ku niemu. Ale Gozdawa machnął tylko ręką z gniewem, mruknął coś niewyraźnie i powstawszy, prostując się:

— Przystępuję *ad rem* — rzekł. — Oto krewniak mój obecny tu a zacny młodzieniec imćp. Stefan Korczak Jaromir, którego przymiotów i rycerskiego animuszu chwalić mi się nie godzi, zapłonawszy szczerym a gorącym afektem do młodszej córki jw. Chorażygo, panny Jadwigi, ośmiela się niniejszem..

Gwałtowne uderzenie o stół pięścią, że aż się kilka puharów z winem obaliło i stoczyło z brzękiem na ziemię, przerwało mowę Gozdawie.

— Niech się nie ośmiela! — wrzasnął z pełnej piersi Choraży, wstając i porywając się z za stołu, z nadzwyczajną furją. — Ani

słowa więcej, mości Gozdawo, bo zapomnieć mogę, iżeś gościem w moim domu!

Rumor stał się wielki, wszyscy powstali, a Jaromir blady jak chusta, miał się już ku drzwiom.

Podbiegłem ku Chorążemu, chcąc go reflektować, ale wszystko już było nadaremno. Nie posiadał się teraz z gniewu, który, tłumiony długo, wybuchnął z całą gwałtownością, zwłaszcza, że Gozdawa, równie do żywego dotknięty, nie zamilkł, ale głosem drżącym z alteracyi dogadywał wciąż, wołając:

— To obraza! proszę o powody...

— Powody, asindzieju! — krzyknął Chorąży — przytoczę, gdy będziesz, mości Gozdawo, wraz z imćp. Jaromirem za granicami Wielobycz! Co aby rychlej nastąpić mogło, przepraszając moich łaskawych gości, wychodzę sam, prosząc imćp. Gozdawę z p. Jaromirem z sobą!...

Nie słuchając perswazyj moich, p. Chorąży porwał czapkę i karabelę i szedł ku drzwiom, gdy w tem ozwał się krzyk niewieści i panna Jadwiga, blada jak chusta, runęła z krzesła na ziemię.

Wszyscy podbiegli ku niej, a pierwszy Jaromir, który był już przy drzwiach. Zanim

jednak dobiedz potrafił, żyłasta prawica p. Chorążego pochwyciła go za ramię i precz odtrąciła, że się zatoczył i o mało nie runął na ziemię.

Krzyk i rumor stał się wielki. Jaromir rwał się do korda, ale go inni wzięli między siebie i uprowadzili wraz z Gozdawą...

Dzień, tak pięknie rozpoczęty, skończył się jak najsmutniej. Goście rozjeżdżać się zaczęli, p. Chorąży chodził gniewny po swojej komnacie, nie dopuszczając nikogo do siebie, a Jadwiga we łzach tonęła, nie tając już przed siostrą i panią Starościna Żarnowską, swej dla Jaromira skłonności.

Chorąży mówić z nią nawet nie chciał, jeno wieczorem, zawezwawszy do siebie Starościna, długą z nią odbył konferencyę, z której Starościna wyszła zalterowana wielce i zapłakana, oznajmiając nam, że nazajutrz do świtu ma odjechać z Jadwigą do Lublina, aby ją tam na czas dłuższy umieścić w klasztorze u panien Brygidek, których ksieni była cioteczną p. Chorążego.

Stało się, jak Chorąży rozkazał. Nazajutrz, za ledwo dzień robić się zaczął, zajechała przed ganek karoca, a ze dworu wyszła pani Starościna, podtrzymując bladą, splakaną i z wiel-

kiej żałości słaniającą się Jadwigę. Na ganku stał Chorąży chmurny i zamyślony. Z płaczem wielkim upadła mu do nóg Jadwiga; on ją podniósł, ale nie ucałował, jeno znak krzyża św. na czole położył i powiedział surowo:

— Módl się wacpanna, a pomnij, że wola rodzica to wola boża!

Karoca zniknęła już w oddali, unosząc z sobą niewiasty gościńcem ku Lublinowi, a Chorąży stał jeszcze i smutno patrzył a patrzył w tę stronę... poczem głowę pochylił na piersi i chodzić począł, szepcząc poranne pacierze.

W tem wiekiem strapieniu, nie mogliśmy według zamiaru wyjechać z żoną do siebie na daleką Ukrainę, lecz, stosując się do woli Chorążego, którą nam wyraźnie objawił, zostaliśmy z nim na dłużej, ile że pogrzebiony był wielce całym tem zajściem, wyjazdem ukochanej córki i jej niestosownym dla owego Jaromira afektem. Wbrew oczekiwaniu jednak, że kawaler ten za doznaną obrazę satysfakcyi żądać będzie, minęło dwa całe tygodnie bez żadnej od niego wieści.

---

Od czasu owego zajścia nie mógł się uspokoić p. Chorąży. Często do Lublina wyjeź-

dzał ale jak powiadał, ani razu z córką się nie widział, jeno z matką przeoryszą konferował, wywiadując się pilnie o zdrowie a stan duszy ukochanego dziecka. Pan Chorąży, jako się już wyżej rzekło, dla obu córek jednako dobrym był i sprawiedliwym, ale dla młodszej Jadwigi mimowoli preferencyę okazywał, a gdy jej w domu nie stało, spochmurniał wielce, milczącym był i widocznie ciężki kamień leżał mu na sercu.

Ze swej strony p. Rudnicki nie zasypiał sprawy. Nienawidząc zdawna Gozdawy, któremu słusznie czy nie słusznie zarzucał, iż go niegdyś w jakimś procesie był ukrzywdził, a mając anse jakąś do Jaromira, którego szkaradnie przezywał i hańbił, czy też folgując naturze swej do podejrzliwości a intryg pochopnej, od czasu zajścia owego także rady sobie dać nie mógł i na wieczornych z p. Chorążym konferencyach, zamiast upakajać go, podburzał a drażnił, raportując, jako Gozdawa siarczyscie na p. Chorążego odgrażać się miał i knuł coś potajemnie wraz z krewniakiem swym Jaromirem. Po każdej konferencyi takiej p. Chorąży wpadał w gniew i wzburzenie wielkie, że aż zmieniać się i na zdrowiu podupadać zaczął. Zawezwałem tedy do siebie



starego Lisa i jałem przedstawiać mu, aby zaniechał owych praktyk, któremi jeno do ognia oliwy dolewa bez potrzeby żadnej.

— Święty obowiązek sumienia, mój mości, skłania mię do tego — tłumaczył się Rudnicki — obowiązek wdzięczności dla jw. Chorążego, który od lat tylu daje mi u siebie przytułek, odkąd ten pieniacz obrzydły Gozdawa z ostatniej piędzi ziemi mię wyzuł. — A jakże by to mogło być? — wołał unosząc się — żeby ten Gozdawa z krewniakiem swoim najczarniejsze plany zemsty knuli przeciw dobroczyńcy memu, a ja siedział i milczał, zagrożonego nie uprzedziwszy?

— Ale jakie plany? — przerwałem niecierpliwie — podejrzujesz bez podstawy, mości Rudnicki, a to grzech jest i rzecz brzydka.

— Jeszcze, mój mości, w pieluchach byłeś — opryskliwwie odparł Rudnicki — gdy ja siła już różnych wypadków widziałem i przebyłem. Powiadam ci, *periculum* jest bliskie, a ja nawet wszystkiego Chorążemu nie mówię, bo gniewny jest i lękam się o niego.

Stary Lis mówił to z takim przeświadczeniem, że aż mnie samego lękiem i obawą przejął.

— O jakim niebezpieczeństwie prawisz,

mości Radnicki — mów jaśniej, mów wszystko, co jeno wiesz, przedemną, a może znajdziem radę, by zapobiedz złemu, jeśli ono w rzeczywistości zagraża.

— Trudna tu rada, mój mości — odrzekł z westchnieniem Rudnicki — gdzie z jednej strony przebiegłość i mściwość Gozdawy wraz z młodzieńczą krewkością Jaromira, a z drugiej białogłowskie sentymenta w ścisłym sojuszu działają, cóż my poradzić możemy?

— Co tobie, panie Rudnicki, do głowy przychodzi! — zawołałem oburzony — mógłżebyś posądzać Jadwigę..

— Nie posądzam... ale co wiem, to wiem. Wiem, że Jaromir biegły jest w sztuczkach tego rodzaju: nie darmo na dworze księcia Prymasa Podoskiego lat kilka przebywał, a do różnych praktyk używany był i w stosunkach z imćpanią Emkinową, jak mówią, bywał zwykłym medyatorem..

— Ale cóż za związek?....

— Bardzo prosty.... Wyćwiczywszy się w intrygach na cudzy rachunek, rozpoczyna działać na swój własny. Panna Chorążanka kąsek to nie lada dla takiego hołysza bez kondycyi uczciwej; więc wraz z p. Gozdawą, który despektu, jaki go tu spotkał, w rychle

nie zapomni, a mścić się pragnie, uknułi plan i są już na drodze do urzeczywistnienia... Mają relacje w klasztorze... — dodał Lis ciszej, nachylając mi się do ucha.

Strach mnie dziwny ogarnął na te słowa Lisa, który widocznie, i zdaje się, szczerze zaniepokojony był, a tym razem nie z wrodzonej mu złośliwości, jeno z rzeczywistego przywiązania działać chciał, aby nieczne spiski Jaromira i plany pokrzyżować zawczasu.

— Skąd wiesz o tem? mów, na miłość Boga! — zawołałem.

— Skąd wiem, to wiem — mruknął Lis ponuro — jutro będę miał dowody i powiem wszystko.

— Jutro może być zapóźno... — przerwałem — trzeba działać zaraz, bez zwłoki.

— A cóż waść poczniesz? Są jeno podejrzania, których sprawdzić niepodobna na razie. To waści powiedzieć mogę, iż jestem na tropie, jako do zmowy należy także ksiądz, syn Gozdawy. On ma dać ślub Jaromirowi, skoro jeno powiedzie się uprowadzić Jadwigę z klasztoru.... W klasztorze zaś przekupiono służbę kościelną, która ma ucieczkę ułatwić.

— Ależ Jadwiga! Jadwiga! byćże to może, aby się zgodziła wbrew woli rodzica?...

— Cha, cha, cha! — zaśmiał się stary Lis szydersko. — Waść jej nie znasz, to charakter nieugięty, wola niezłamana! skoro rzekła raz: ten a nie inny będzie mym mężem, to chociażby p. Choraży i dziesięć klasztornych bram zamknął za nią, to nic nie wskóra. Słyszałem jako ustawicznie płacze i ręce łamie w desperacyi wielkiej, że w klasztorze już na to rady nie widzą.

Długo jeszcze deliberowaliśmy z panem Rudnickim i postanowili nazajutrz do świtu obydwaj wyjechać: ja do Lublina, on do Krasnegostawu, aby się tam dokładnie o wszystkim wywiedzieć. Ja miałem zbadać stan rzeczy w klasztorze i uprzedzić ksienię; Lis zaś miał wywiedzieć się o manewrach Jaromira. Wracając z Lublina miałem zatrzymać się w Krasnymstawie i odbyć z Rudnickim walne *consilium*, a gdyby niebezpieczeństwo groziło, przedsięwziąć zaraz, choćby bez wiedzy Chorażego, stanowcze kroki, w ostateczności zabrać Jadwigę z klasztoru i odwieść do rodzicielskiego domu.

Nazajutrz tedy, wymyśliwszy sobie nagłe sprawy do Lublina, wyjechałem z Wielobycz z wielką aprehensją w sercu, tem jeszcze pomnożoną, iż zauważałem w panu

Chorażym niezwykły niepokój, którego utaić nie umiał. Gdym wyjeżdżał, nie spał już i ponuro zamyślony chodził po ganku. Niezwykłe też serdecznie żegnał się ze mną, ścisnął oburącz i z wielką czułością po dwakroć ucałował w głowę.

Mógłłem przypuszczać, że to po raz ostatni widziałem go w Wielobyczach, że go żegnałem w tej chwili na długo — na zawsze prawie!

Przerwał opowiadanie swe p. Podkomorzy i widocznie temi wspomnieniami wzruszony, pochylił głowę na piersi.

— Zacny to był człek i prawości a szlachetności serca nadzwyczajnej — przemówił po chwili. Bóg w miłosierdziu swem przebaczył mu pewno, bo nie w intencji złej, jeno w rozpaczycy wielkiej i zapalczywości dopuścił się strasznego czynu.... Niech odpoczywa w pokoju! .i

— Amen!... — wymówił głos jakiś a raczej szept stłumiony, ale tak wyraźny, że wszyscy zwrócili się ku drzwiom, gdzie w skupieniu stali domownicy i słudzy, słuchając opowiadania. Spojrzawszy także w tę stronę, dostrzegłem niezwykłe wzruszenie na twarzy Semena. Zdawał się nie widzieć ni-

kogo, a z oddalenia, w jakim stał z początku, wysunął się na plan pierwszy, roziskrzone spojrzenie utkwivszy w twarz Podkomorzego. Byłem pewien, że to on owo »Amen« wymówił.

Po chwili przerwy Podkomorzy mówił dalej:

...W Krasnymstawie, dokąd z Wielobycz było mil dwie, zostawiłem Rudnickiego, a sam, nie zatrzymując się wcale, podążałem do Lublina, odległego jeszcze o mil sześć blisko. Jesień to już była, dżdżysta, więc drogi szkaradnie popsute, tak że zaledwie w noc późną dobiłem się do Lublina. Zajechałem do gospody pod Orłem na ulicy Złotej, gdzie stawał zazwyczaj p. Chorąży i gdzie, jak w ogóle wszędzie w całej okolicy, miano dlań szczególne attencye i uszanowanie.

To też, skoro jeno dowiedziano się, że przybył ktoś z Wielobycz, wnet gospodarstwo oboje wybiegli na spotkanie, a zoczywszy mnie, witać jęli z wielką serdecznością, jakkolwiek od razu tknęło mnie pewne zakłopotanie i jakby frasunek na obliczu gospodarza.

Skoro wszedłem do izby, gospodarz, niejaki p. Wilk, zbliżył się do mnie i kłaniając się a pozdrawiając, zagadnął:

— A pan Chorąży? czy przybędzie także?..



— Pan Chorąży jest u siebie — odrzekłem, zdziwiony nieco owem zapytaniem, — i nie miał wcale zamiaru wyjeżdżać, ile że teraz podróż niezbyt miła po takiej drodze, a gdyby nie ważna sprawa, to i jabym się z Wielobycz nie ruszał.

Gospodarz spoglądnał na żonę, a ona na niego i milczeli.

— Co tu słyhać nowego? — spytałem po chwili.

— Co słyhać? — powtórzył p. Wilk coraz wyraźniej zalterowany. — To pan nic nie wie? — dodał ciszej, zbliżając się ku mnie.

— Cóż mam wiedzieć? cały czas siedziałem w Wielobyczach, ani na krok się nie ruszając.

— To pan nie wie, że panna Jadwiga...

— Jezus! Marya! krzyknąłem, porywając się z miejsca — Co się stało!

— Nieszczęście, panie! nieszczęście!.. Wczoraj w nocy panna Jadwiga zniknęła z klasztoru... Ucieczkę ułatwił jej zakrystyan, który umknął także. Na wszystkie strony rozesłano gońców i do p. Chorążego posłano z zawiadomieniem...

Ośłupiałem z przerażenia. Przyszło mi na myśl, że Chorąży musiał już otrzymać to

zawiadomienie właśnie w chwili, gdy mnie nie było i że w nieobecności mojej mogło się tam stać jeszcze gorsze nieszczęście. — W Lublinie nie było już co robić. Według relacji p. Wilka, Jadwiga zniknęła wczorajszej nocy, a opatrzone się dopiero dziś z rana i nie wiadomo zgoła, dokądby się udać mogła. Przewodnikiem jej musiał być ów zakrystyan, który także umknął, a dla mnie nie było wcale tajem, gdzie się schroniła. Niewątpliwie Gozdawa musiał jej dać przytułek, a prawdopodobnie o tej porze ślub z Jaromirem był już dokonany.

Przerażony tą niespodziewaną wiadomością, truchlejąc na myśl o Chorążym, chciałem jechać natychmiast. Ale noc była ciemna, choć oko wykół, droga haniebna, koniska zmęczone, musiałem więc rad nierad czekać do rana. Z rana pokazało się znów, że koń jeden zakulał i zachorzał, a zanim zdołałem wyszukać innego i zanim w deszcz ulewny, po najokropniejszej drodze, dowlokłem się do Krasnegostawu, krótki dzień jesienny miał się już ku schyłkowi.

Gozdawa mieszkał na przedmieściu Zakręcie w dworku małym, który ze starości tak wlaź w ziemię, iż we drzwi wchodząc,

trzeba się było do pól zginać. Gdym tam dojeżdżał, dostrzegłem ruch niezwykły, ludzie biegli czegoś z pospiechem wielkim, a przed nimi w mroku wieczornym pędził poczet z kilku jeźdźców złożony. Lecieli oni co koń wyskoczy, bryzgając błotem na wszystkie strony, a krzycząc i wywołując straszliwie. Wśród krzyków tych a wrzawy doszedł wyraźnie uszu moich głos Chorążego... Struchlałem, bom się dorozumiał, co się święci. Chorąży, odebrawszy snąc wiadomość o ucieczce córki, pędził zbrojno do dworku Gozdawy, suponując, że tam zbiegła odnajdzie.

Kazałem jechać woźnicy, co sił koniom starczyło, ale zanim do dworku dotarliśmy, już Chorąży wraz z towarzyszami swymi był wewnątrz, z kąd gwar straszny aż na ulicę dochodził.

W nieopisanej trwodze wpadłem do środka izby, w której paliło się już światło, jasny swój promień rzucając na twarz Chorążego do niepoznania zmienioną. Jeszcze go takim nie widziałem nigdy. Oczy miał całe krwią nabiegłe i wielkie, jak gdyby całkowicie na wierzch wydobyć się chciały, włos najeżony, usta drgały konwulsyjnie, całą twarz przebiegały jakby dreszcze dziwne, kurcząc ją i krzy-

wiać szpetnie, a na czole żyły, znak herbowy tworzące, granatowe były, iż zdawało się, że krew z nich lada chwila wytryśnie....

U progu stało ośmiu hajduków, a przy stole naprzeciw Chorażego Gozdawa, zgarbiony jeszcze bardziej jak zwykle, a trzęsący się jak w febrze z gniewu, czy też z trwogi wielkiej.

Obok niego, w cieniu, stała jakaś osoba w sukni duchownej, a domyśliłem się, że to być musi ów ksiądz, syn Gozdawy.

— Gdzie moja córka? — krzyczał Choraży zachrypniętym głosem. — Oddaj mi córkę. kanalio, bo cię kijem ubiję!

Karabeli też nie dobywał, ale groził Gozdawie kijem wielkim, mocno okutym, a zamast rękojeści mającym rodzaj toporka.

-- Ja nie wiem. . — bąkał Gozdawa. — Ale co to jest? najazd, napad, rozbój!

— Milcz, kanalio! — wrzasnął Choraży — a słowa mu z trudem wychodziły z gardła, jakby się krztusił — oddaj mi córkę!

I coraz bliżej przystępował do Gozdawy, wywijając toporkiem.

Poskoczyłem ku niemu i do nóg mu przypadłem...

— Precz, asindzieju! — krzyknął Choraży —

niech psa tego ubiję! — i wyrywał się mnie z całym impetem.

Zoczywszy mnie ksiądz ów, który stał dotychczas milczący w mniemaniu, że we dwóch zdołamy łącniej umitygować Chorążego, przystąpił bliżej i, ujmując go za rękę:

— Panie Chorąży.... — przemówił.

Na widok duchownej osoby, Chorąży cofnął się nieco i zamilkł, ale wnet, odtrącając go silnie:

— A waść kto jesteś? — krzyknął — czego chcesz? a jeśliś duchowna osoba, co robisz w tej jaskini zbójckiej?

— Panie Chorąży — powtórzył ksiądz łagodnie — umityguj się na rany Chrystusa! Co się stało, odstać się nie może... Jeśli Waszmość wiedzieć chcesz, co się dzieje z córką waszą, to wam powiem, a to serce wasze, jako rodzica, uspokoić winno.

Chorąży milczał, czem ośmielony ksiądz ów mówił dalej:

— Otóż panna Jadwiga, słuchając inklinacyi serca, bez której prawdziwego szczęścia nie masz, wyszedłszy wczoraj z klasztoru, poślubiła imćp. Stefana Jaromira i udała się wraz z nim na Ukrainę...

Gdyby w tej chwili grom spadł z nieba, nie byłby wywarł większego wrażenia, jak te słowa owego księdza...

Pan Choraży zachwiał się na nogach, żem go podtrzymać musiał, aby nie upadł, wstrząsł się cały, zbladł straszliwie i przez długą chwilę ani słowa wyrzec nie mógł. Poczem nagle, wyrwawszy się z mych objęć z niehumanym krzykiem, porwał się naprzód i z podniesionym toporkiem leciał na Gozdawę. Ten przycupnął ku ziemi, kryjąc się za księdza...

Toporek z całą siłą ugodził w głowę księdza, drzuzgocąc czaszkę tak, że mózg sufit i ściany obryzgał.

Książd całym ciężarem zwałił się na ziemię, przygniatając sobą Gozdawę..

— Jezus! Marya!... — wyjąknął padając i — skonał.

Jak skamieniały stał w miejscu Choraży, patrząc na zamordowanego, który ostatniem drganiem dawał jeszcze znaki życia. I obecni wszyscy skamienieli z przerażenia, żeśmy tak stali w miejscu niezdolni do żadnego czynu.

Pierwszy oprzytomniał Choraży; jęknął boleśnie, obie ręce podniósł do góry, wypuścił z dłoni toporek, który padł z brzękiem na podłogę — poczem, wzdrygnawszy się,



jakby się obudził ze snu ciężkiego, podniósł głowę i szedł prosto ku drzwiom, a zwracając się ku mnie i hajdukom:

— Ratować, jeśli można... — rzekł podniesionym głosem — a za mną iść niech się nikt nie waży!...

I wyszedł, drzwi zatrzasnąwszy za sobą.

Rzuciliśmy się ku leżącemu nieruchomo księdzu, ale tu wszelki ratunek był daremny. Ksiądz już nie żył.... Kazałem więc złożyć ciało jego na łożu, a zemdlonego Gozdawę, poruczywszy opiece hajduków Chorażego i sług domowych, którzy się na ów krzyk i hałas tłumnie zbiegli, wyszedłem spiesźnie, chcąc spenetrować, gdzie się udał Choraży.

Widziano go, jak szedł wolnym krokiem przez miasto, aż do klasztoru Augustyanów. Nikt go zatrzymać nie śmiał, więc szedł spokojnie, a skoro do klasztoru przybył, zadzwonił u furty i znikł za nią...

Odtąd lat wiele minęło, a ludzkie nie widziało go oko.

Rozmaite chodziły wieści: że umarł, że do klasztoru wstąpił, że do Rzymu pielgrzymował — ale były to tylko pogłoski, nie potwierdzone niczem. Księża Augustyanie, których badałem, mówili, jako p. Choraży, przy-

bywszy do nich, zabawił niedługo i wyszedł z klasztoru, nie mówiąc zgoła, dokąd się udaje.

Tymczasem wieść fatalna rozniosła się lotem błyskawicy po całym województwie i straszne wywarła przerażenie. Żal był ogólny, jakkolwiek nie brakło i takich, którzy, puszczając wodze swej dawno tajonej zawiści, wymyślali straszliwe herezye na nieobecnego Chorążego, któremu dawniej najuniższej się kłaniali. Sprawa tymczasem, wytoczona w trybunałach zaocznie, szła swoim trybem; biorąc obrót najgorszy.

O Chorążym zaś nie było i słychu...

Zamilkł p. Podkomorzy, znużony opowiadaniem długim i widocznie **wzruszony** wspomnieniami, jakie ono w jego obudzało duszy.

Po chwili przerwałem milczenie, pytając, co się z Jaromirami stało i gdzie się podział Rudnicki, który owego fatalnego dnia był właśnie w Krasnymstawie.

Na to pytanie Podkomorzy się uśmiechnął.

— Rudnicki — rzekł — i tu, jak zawsze, okazał się Lisem, chociaż przyznać należy, że w tej okazji kierował nim, być może, nie tylko własny interes, ale i szczerze przywiązanie do Chorążego. Przybywszy do Krasnegostawu, od razu dowiedział się co się stało: dowiedział

się, że Jadwiga, przybywszy do Lublina, schroniła się do dworku Gozdawy, gdzie na nią oczekiwał Jaromir, i że zaraz ów ksiądz, syn Gozdawy, który tak okropnie z ręki Chorążego poledz miał, dał im ślub w kościele farnym; poczem państwo młodzi natychmiast wyjechali, jak mówiono, do rodziny Jaromira gdzieś aż w Humańszczynę...

Nie bacząc na okropną ulewę, drogi straszliwe i swoje stare lata, Rudnicki jeszcze tego samego dnia wyruszył z Krasnegostawu i puścił się w pogoń za Jaromirami. Oczywiście doścignąć ich nie zdołał i późno w noc, zziębnięty, do nitki przemokły, obłocony okrutnie, wrócił do Krasnegostawu i tu zaraz dowiedział się o katastrofie w dworku Gozdawy. Gdy, po daremnem poszukiwaniu Chorążego, zaszedłem do znanej mi gospody, zastałem tam już Lisa, trzęsącego się z zimna i kłapiącego zębami jak w febrze, a zmienionego do niepoznania z wielkiej alteracyi. Siedział w bieleźni i ogrzewał się przy sutym ogniu, na kominie rozłożonym; przed nim stał gospodarz z miną zafrasowaną wielce i coś mu prawił, a Lis milczał, jeno od czasu do czasu spluwał głośno i stękał.

Gdym wszedł, nie podniósł głowy, jeno ramionami dźwignął, machnął ręką i rzekł:

— A co, mój mości, nie mówiłem!... Rudnicki łże, Rudnicki plotki nosi, Rudnicki taki, Rudnicki owaki... i ot masz, co się stało, piękny *casus!*

Nie miałem wcale ochoty do dyskusyi, a zgnębiony i przerażony tem, czego byłem świadkiem przed chwilą, niespokojny wielce o Paulisję moja, która w wielkiej trwodze sama w Wielobyczach pozostała, milczałem.

Gospodarz, widząc alteracyę moja, wysunął się z izby na palcach, a ja zostałem sam z Lisem, który ustawicznie spluwał a stękał.

— Chory jesteś, panie Rudnicki? — spytałem w końcu, bo mnie to ciągle stękanie dojmować już poczynało.

— Dyabeł by tam zdrów był w takiej alternacie — odburknął — ale co mi tam! nawarzyliście sobie piwa, to go wypijcie.. Po co ja głupi gryzę się i alteruję tak, że aż wątroba puchnie!... Mówiłem, perswadowałem, prosiłem: Mój Choraży, mój dobroczyńco, weź tego Jaromira z pod ciemnej gwiazdy za kark i wyrzuć za próg, aby zaleciał tam, gdzie pieprz rośnie... Nie i nie, teraz macie! Widziałem od razu, co się święci i mówiłem

Chorażemu, ale jeszcze mnie sfukał okrutnie i milczeń kazał. A teraz co? piękny *casus*, nie ma co mówić: Jadwiga z Jaromirem świątami, że ich i wiatr nie dogoni... z księdza trup... a biedny Choraży... banita!...

Tu zaciął się Lis stary, głos mu jakoś zadrział, ton gniewny, z jakim zrzędził, zmienił się naraz w żalowaną skargę, a łyzy jak groch polały się po twarzy...

Rzuciłem się ku niemu i począłem ścisnąć a całować; spłakaliśmy się obaj jak bobry, bo w takiej straszliwej chwili już na nic innego, jeno na łyzy zdobyć się można było.

Stary Lis ocierał oczy rękawem od koszuli, ale w zrzęczeniu nie ustawał, ciągle pomrukiwał a stękał.

— Co teraz będzie?... — zagadnął w końcu,

Na to pytanie trudna była odpowiedź. Przedewszystkiem należało wracać do Wielobycz, przygotować Paulisę na straszny cios, jaki ją miał spotkać, i starać się odnaleźć ślad Chorażego. Trzeba też było szukać jakiegoś ratunku, poruszyć możnych kolliгатów a krewnych Chorażego, aby odwrócić wyrok banicyjny.

— A co waść myślisz — rzekł po chwili Rudnicki — gdzie mógł się udać Choraży?

— Albo ja wiem?

— No wiedzieć, juści i ja nie wiem, ale suponować mogę... — mruknął stary, już zwykłym swym lisim tonem.

— Cóż waszmość suponujesz?

— Suponuję, że nie gdzieindziej, jeno śladem za Jadwigą się udał. Okrutnie miłował on tę dziewczkę i na kraj świata za nią podąży, a dałby Bóg, aby drugiego jakiego nieszczęścia nie było, gdyby ich dogonił...

Mysł Lisa zdała mi się trafną a obawa niepłonna.

— Co począć! co począć! — wołałem, biegnąc po izbie w wielkiej alteracyi.

— Hm... hm... — mruknął Lis, zacierając ręce przy ogniu — miałbym ja radę jedną, mój mości... ale widzisz waść... goły jestem jak turecki święty, a tu *de quibus* koniecznie trzeba.. Dasz waść pieniądze? spytał i spojrział na mnie z podełba.

— Dam oczywiście! ale mów waszmość, co czynić?

— Otóż widzisz waść — uśmiechając się już, mówił Lis dalej — ty jedź jutro świtem do Wielobycz, powiedz co się stało twojej magnifice, sprawy, jako się da, ureguluj, pojedź do Warszawy, choćby do Króla Jego



Mości, czyń słowem wszystko, co można będzie i co ci eksperci w takiej okazji poradzą. Ja tymczasem podążę stąd wprost na Ukrainę i tam będę się trzymał śladu Jaromira; odnajdę go, choćby się w myszą jamę zaszył, a nie chybi przybędzie tam i pan Choraży.. Możesz być spokojny, że do żadnego nieszczęścia w takim razie nie dopuszczę, a kto wie, może i zgodę, jako Bóg przekazał, sprowadzę.

Znałem ja dobrze wpływ Lisa na Chorażego, a gdyby sprawdzić się miały przewidywania nasze, to jest, gdyby Choraży udał się rzeczywiście w pogoń za zbiegłymi, nikt lepiej od Rudnickiego nie mógłby spełnić trudnej misji umitygowania rozżalonego rodzica i zapobiedz nowej katastrofie; nikt też z pewnością nie zdołałby odszukać zbiegów. Jadwigi i Jaromira.

Nie wahając się przeto, zgodziłem się na wszystko, dałem pieniędzy, ile sam chciałem, i nazajutrz rano wyprawiłem w podróż daleką. Lis kontent był, śmiał się i różne krotochwile prawił, że mnie ta jego wesołość drażnić już zaczynała.

— Zobaczysz waść, że będzie wszystko dobrze! wołał, siedząc już na wózku. — Znajdę ja pana Chorażego i pogodzę z Jaromirem,

skoro już ten nicpoń zięciem jego został... Staraj się jeno, aby tam w trybunałach lichu kark skrócić....

Pojechał Rudnicki, a ja z ciężkiem sercem wróciłem do Wielobycz. Straszne to były chwile, gdym patrzeć musiał na rozpacz i łzy mojej ukochanej Paulisi, sam jej żadnej otuchy i nadziei podać nie mogąc.. Od Rudnickiego żadnej wieści nie było, a sprawy szły niefortunnie. Crimen był straszliwy, z gwałtem i premedytacją na duchownej osobie spełniony; to też pomimo przemożnych instancyj. sprawiedliwości zadość stać się musiało.. I zapadł wyrok, skazujący pana Chorążego na wieczystą banicję, z pozbawieniem praw i przywilejów wszelkich. Wielobycze, wiekowe siedlisko antecesorów Chorążego, objął p. Starosta grodowy, a ja z Paulisią moją, chorą i zmizerowaną okrutnie, wyjechałem tu do Leszczynówki ..

Długa to była i ciężka podróż z pod Lublina, aż w Humańszczyznę, ale przebyliśmy ją bez przypadku, szczęśliwie. I jakież było zdziwienie nasze, gdy zajechawszy przed dwór leszczynowiecki, ujrzelśmy na ganku starego Lisa, śmiejącego się i witającego nas z serdecznością wielką. Roztasował się on tu był

i rozgospodarował na dobre, urządziwszy sobie mieszkancko w oficynie i zainstalowawszy się całkowicie na resztę żywota, jak to sam otwarcie wyznawał. Widocznie Lis stary przewidywał od razu że z Chorążym i Wielobyczami źle się skończy i całą tę podróż na Ukrainę wykoncypował, aby, zanim co będzie, upatrzyć sobie siedlisko. Nie miałem ci ja mu tego za złe i kąta nie żałowałem pewno, jeno złość mnie brała, że tak chytrze postąpił, nie mówiąc otwarcie, o co mu idzie.

— Jaromir tu jest.. — szepnął mi zaraz po przywitaniu na ucho.

— Gdzie? — spytałem w przerażeniu, sądząc, że w samej Leszczynówce.

— A no, w Humaniu... — mruknął stary i ręką machnął.

— A Chorąży?

— Ani śladu... kamień w wodę...

Na razie nie rozpytywałem go więcej, bo Paulisia posłyszeć mogła, a z miny Lisa widziałem, że wiadomości miał nieucieszne wcale. Jakoż, gdy wieczorem zostaliśmy sam na sam w mojej komnacie, opowiedział mi, jako Jaromir przesiadywał ciągle w Humaniu, nie robiąc nic, jeno pijąc i hulając okrutnie. Żeniąc się z Jadwigą, spodziewał się on wido-

cznie fortuny i krescytywy, toż gdy się dowiedział o straszliwej katastrofie i banicy Chorążego, a stąd o utracie majątku i znaczenia, wpadł w złość wielką i z frasunku pić zaczął okrutnie, ostatni grosz topiąc w kieliszku. Matka jego, uboga wdowa, miała tam jakiś pono fundusik i dworek w Humaniu, gdzie też oboje młodzi siedzieli; ale nędza miała tam być wielka i lada dzień grosza na chleb dla biednej Jadwigi zabraknąć mogło. Jaromir też całe zdawał się jej nie kochać, a często, upiwszy się, brutalem był.

— A cóż ona? — spytałem.

— Tfu! — splunął Rudnicki — gadajże tu z białogłową; ty jej do rozumu mów, a ona za serce się chwyta... O rozstaniu się z tym nicponiem ani słyszeć chce... «Ślubowałam mu, — powiada — jaki jest. to jest... Kocham go i wierną mu będę do śmierci».

I dotrzymała słowa... zbłądziła srogo, to prawda, nie szanując woli rodzica i tak wielkie sprowadzając nieszczęście, ale przyznać trzeba, jako wielkiego hartu była to niewiasta, umiejacą znosić ciężką życia pokutę. A ta pokuta iście straszliwą była. Cztery lata przebyli Jaromirowie w Humaniu, cztery lata ciężkiej niedoli, a z ust jej ani jednej nigdy nie

■ *lib. Jag.*

słyszałem skargi. W osamotnieniu — bo mąż grał ustawicznie w karty lub hulał po nocach całych — nad kołyską małego synka, którego im dał Pan Bóg, siedząc a pracując, znajdowała jeszcze uśmiech wesoły i tańc zdołała przed nami ciężką swoją niedolę... Prosiliśmy ją, ja i Paulisia moja, na klęczkach, aby się do nas przeniosła, ale nawet słuchać o tem nie chciała.

Z Jaromirem trudna była rada, żadne perswazyje nie pomagały; rozpił się w końcu do reszty. W tym czasie matka jego umarła, on dworek sprzedał i, jednego dnia, gdym do Humania przybył, oznajmiono mi, jako oboje wraz z dzieckiem wyjechali w świat, podobno w głąb Rosyi. I rzeczywiście, w kilka miesięcy potem otrzymała Paulisia, gdzieś aż z Kurskiej gubernii, pismo od Jadwigi, w którem czule ją przeprasza, że bez jej wiedzy i pożegnania wyjechała i tłumaczy się, jako wiedząc, iż los jej srodze na sercu siostrze ciąży, nie chciała widokiem swej niedoli być dłużej powodem jej boleści, i poszła w świat z mężem, pragnąc do końca pozostać mu wierną, a odważnem znoszeniem niedostatku i cierpień błęd swój i nieposłuszeństwo woli ojcowskiej odpokutować...



O p. Chorążym tymczasem ani wieści nie było. Minęło lat wiele i byliśmy pewni, że już od dawna nie żyje. Modliliśmy się codziennie za jego duszę, a Paulisia moja rok i sześć niedziel żałobę po rodzicu nosiła. Mieliśmy już troje dzieci i wiodło się nam szczęśliwie; jeno wspomnienia tych przejść okropnych i niepewność losu Chorążego dotykały nas nieraz boleśnie.

Jednego roku zima była równie sroga jak terazniejsza, a w dzień wigilijny zerwała się taka sama jak dzisiaj zawierucha, lecz pomimo to krewni, nawet z dalszych okolic, przybyli do nas i liczniejsze niż zwykle grono zebrało się w tej oto samej jadalnej sali. Na dworze wył okrutny wichur, ale jeszcze dzień był i choć stół wigilijny już był przygotowany, czekano z podaniem wieczerzy na zmrok zupełny i pierwszą gwiazdę.

Gdy tak czekając, zebrani w sali jadalnej, gawędzimy wesoło, a Paulisia moja, otoczona dziećmi, krząta się około stołu, psy okrutnie ujadać poczęły na dziedzińcu, a wkrótce usłyszeliśmy, iż ktoś wchodzi na ganek.

— Kogoż to pan Bóg sprowadza nam w taką zawieję? — ozwałem się spoglądając przez okno.



— To pewnie ksiądz proboszcz — rzekła Paulisia.

— Wtem drzwi się otwarły a na progu stanęła postać przygarbiona i cała zasypana śniegiem. Z pod tej białej powłoki śnieżnej widać było rodzaj siermięgi, czy habitu mniszego; głowę i pół twarzy przybysza okrywał kaptur tak, że rysów dojrzeć było niepodobna. W ręku miał wysoki kij, jakby kostur pielgrzymi, na którym się opierał.

— *Laudetur Jesus Christus!* — ozwał się głos stłumiony z pod owego kaptura.

— *In saccula saeculorum!* — odrzekliśmy chórem, a ja pospieszyłem na powitanie gościa, który zdał mi się być duchowną osobą.

— Amen! — wyszeptał przybyły i jeszcze ciszej, tak, że ja jeden tylko dosłyszeć mogłem, dodał:

— Do pierwszej gwiazdy... *silentium!* — i począł szeptać pacierze.

Wszyscy zbliżyli się ku owemu tajemniczemu gościowi, który, jeszcze bardziej kryjąc twarz pod kapturem, schronił się w kąt izby i ukląkłszy, modlić się począł, kornie pochyliwszy głowę.

Zdumieli się wszyscy; dzieci zalęknione ukrywały się za matką, a ja, wyznając, nie

wiedziałem też co począć z owym milczącym mnichem, który, jak to ze słów jego do mnie wyrzeczonych wynikać się zdawało, dopiero od pierwszej gwiazdy przemówić mógł. On tymczasem, jakby nie widział nikogo, bił się w piersi tak mocno, że się aż echo rozchodziło i szeptał pacierze:

— *Miserere mei Deus secundum magnam misericordiam tuam!*

Skupieni staliśmy w milczeniu, a wśród ciszy rozlegał się grobowy głos modlitwy mnicha:

— *Si iniquitates observaveris Domine, quis sustinebit!*

Wtem do komnaty wniesiono światło; mrok bowiem zupełny już zapadał i pierwsza gwiazda, niewidoczna wśród zawiei, musiała już zabłysnąć.

Równocześnie powstał i ów mnich z kłęczek, a stając na środku izby, zrzucił kaptur z głowy...

I ukazało się nam oblicze starca, poorane zmarszczkami, z oczyma zapadłemi, od których biegły wzdłuż po licach dwie głębokie bruzdy, jakby od łez wypłakane. Brodę miał siwą i długą i włosy długie a białe, przerażająco zaś chudy był i wynędzniały.

— Nie poznajecie mnie! — zawołał. — Synu! córko!... — i wyciągnął ku nam obie ręce a łzy, snąc długo wstrzymywane, wytrysły z oczu strumieniem....

Na czole pielgrzyma żyły ze wzruszenia nabiegłe utworzyły dobrze nam znany znak herbowy...

Był to Choraży... banita!

Z krzykiem wielkim a płaczem rzuciliśmy się z żoną ku niemu i przypadliśmy do stóp jego...

Chwili tej ani opowiedzieć, ani opisać niepodobna. Wszyscy obecni płakali; jeno Choraży, po chwili wzruszenia, ochłonał w rychle, a tylko ilekroć na dziatki nasze spoglądał, odwracał się i łzy rękawem ocierał...

Długo w noc opowiadał nam swoje koleje: jako do Rzymu najpierw pielgrzymował był u Ojca Śgo i tam odeń absolucyę otrzymał z popełnionej zbrodni; jako potem szedł do Ziemi świętej i był u Grobu Zbawiciela, gdzie ślubował kilkuletnie milczenie, do pierwszej gwiazdy w dzień wigilijny... Ślub ów się skończył i Choraży przybył do nas, aby przed zgonem ujrzeć córkę swą i wnuczęta. O Jadwigę pytał, a gdym wykręcać się począł, by mu nie wyjawiać wszystkiego i ojcow-

skiego serca nową nie krwawić boleścią, ofuknął mnie po dawnemu, mówiąc:

Mówże asindziej prawdę! chcę wiedzieć wszystko... Przeczuwałem, że nieszczęśliwa jest i modłę się za nią... Widzieć jej nie mogę... nie będę do śmierci. Nadtom ją miłował, nad wszystko, nad duszę własną i pokarał mnie Bóg jej niedolą... toż chcę wypić mój kielich do dna i wiedzieć wszystko...

Mówiłem tedy, a Chorąży słuchoł milcząc i tylko wargi poruszały mu się czasem, jakby w niemej modlitwie, i łzy spływały z oczu na siwowłosą brodę, po tych bruzdach głębokich...

Ileż to łez musiało przelać się niemi w czasie owego pielgrzymstwa i srogiej pokuty!...

Na drugi dzień Chorąży wybierał się w drogę. Nie pomogły nalegania nasze i prośby. Stanowczym, rozkazującym tonem, wzbronił nam śledzić nawet, gdzie idzie, mówiąc:

— Nie godzi mi się tu być... Jam banita, *civiliter mortuus*... Dla świata Chorąży umarł dawno. W klasztorze miejsce moje; tam umrzeć chcę, a gdzie osiadę, doniosę wam później...

I poszedł, tak jak przyszedł, piechotą, żegnany łzami naszemi, sam płacząc a błogosławiąc nas i dzieci nasze...

Osiadł w berdyczowskim klasztorze Karmelitów i tam, we dwa lata później, pokutniczego żywota dokonał.

Pogrzebać się kazał w swym pielgrzymim habicie, u wejścia przed kościołem, a na grobowym kamieniu, bez wymienienia nazwiska, polecił wyryć te tylko wyrazy:

»Ktokolwiek deptać będziesz złożone tu kości wielkiego grzesznika, módl się o miłosierdzie boże dla niego«.

— *Requiescat in pace!* — ze wzruszeniem przemówił Podkomorzy i ręce do modlitwy złożył, zamilkłszy.

Gdy skończył się modlić a odpoczął nieco, spytałem o dalsze losy Jadwigi i Lisa.

— Rudnicki — odrzekł Podkomorzy — na rok jeszcze przed powrotem Chorażego zaniemógł i umarł. W ostatnich latach spochmurniał wielce i za Chorażym tęsknił bardzo, wspominając go ustawicznie. Z jego też imieniem na ustach skonał.

O Jaromirze i żonie jego, od owego listu, o którym wyżej wspomniałem, nie mieliśmy już żadnej wieści... Co się z nimi stało, nie wiem dotychczas, bośmy ich ślad całkowicie stracili, a wszelkie poszukiwania były bezowocne... Biedna, nieszczęśliwa Jadwiga już

dawno z ojcem połączyć się musiała... A była to, powtarzam, niewiasta hartu wielkiego, że umiała bez skargi znieść srogą swoją niedolę. Życie też musiało być dla niej coraz cięższe, iż wśród trosk a nędzy i o nas zapomniała...

— Nie zapomniała, panie Podkomorzy... o, nie zapomniała! — zawołał nagle głos jakiś ode drzwi i równocześnie ujrzałem Semena, jak cały wzburzony, blady, z oczami łez pełnemi, biegł ku Podkomorzemu i z głośnym łkaniem do nóg mu się rzucił..

— Co to jest? co to znaczy? — pytano dokoła...

Podkomorzy, pomięszany bardzo, drżący, powstał z miejsca i osłupiałym wzrokiem patrzył na klęczącego przed nim Semena...

— Boże mój... — szeptał — czyżby to być mogło?...

I wskazując palcem na czoło Semena:

— Patrzcie — rzekł do nas głosem stłumionym — czy widzicie na jego czole... Abdank, znak rodowy... to wnuk Chorążego, Jadwigi syn!..

I rzeczywiście widzieliśmy wszyscy, jak na czole Semena żyły ze wzruszenia nabrzmiące, układały się najwyraźniej w literę W., znak herbowy Wielobyckich...



— Tak — mówił Semen — jam syn Jadwigi, która, lat temu pięć, w nędzy i opuszczeniu umarła.

Podkomorzy ujął klęczącego przed nim w objęcia i rozplakał się rzewnie, powtarzając:

— Dziwna rzecz... dziwne zrządzenie boże! Lat temu tyle dziad... a dziś wnuk... w tym samym dniu, niemal o tej samej godzinie...

Gdy się uspokojono nieco a ochłonięto z pierwszego wrażenia, Semen w krótkich słowach opowiedział smutne dzieje swego dzieciństwa i niedoli rodziców.

Jaromir ojciec, żył długo, ale z nałogu do hulanki i pijatyki nie otrząsł się nigdy; każdy grosz, ciężko zapracowany, topił na dnie kieliszka, a biedna żona i syn nieraz marli głodem. Jadwiga jednak do rodziny zgłaszać się nie chciała, bo tem samem musiałaby oskarżać męża i na los swój się użalać. Gdy Semen dorósł, matka biedna spodziewała się po nim pomocy i pociechy, ale i tej nie doznała. Syn poszedł w ślady ojca, i dopiero śmierć matki obudziła w nim sumienie.

— Gdym ujrzał ją martwą, zimną, skostniałą — mówił Semen — leżącą wśród nagich ścian pustej izdebki i najstraszliwszej nędzy, poczułem w sercu gryzący wyrzut, żem

to ja ją dobił... ja, co przez tyle lat ciężkiego życia, przez tyle nocy bezsennych, na moje wyżywienie pracowała, płacząc... I opanowała mnie wówczas taka rozpacz szalona, że, złożwszy martwe szczątki matki mej w cztery proste deski i pochowawszy ją w grobie własną wykopaną ręką — bo nie było czem opłacić grobarza i pogrzebu — rzuciłem się w świat szukać zapomnienia i ulgi. Byłem sam jeden, bez rodziny, bez przytułku, bez dachu... I włóczyłem się z kąta w kąt, z wioski do wioski, z miasta do miasta; czasem pracując na kawałek chleba, częściej przepijając ostatni grosz zarobiony, byle zapomnienie znaleźć... Ale go nigdzie i nigdy nie znalazł; pamięć matki konającej w opuszczeniu i nędzy ścigała mnie wszędzie. Siła jakaś nieprzewyciężona ciągnęła mnie do tych stron, w których się urodziłem, o których matka moja wspominała mi często w dzieciństwie, mówiąc ze łzami o siostrze i o was, panie Podkomorzy... Umierając, kazała mi iść do was, do Leszczynówki i dała nawet pismo, które na piersiach noszę... Ale pomimo, że od kiedy tu jestem w tych stronach, zwalczyłem nałóg dawny i pracuję uczciwie, ile razy — a było to często — tum się zbliżył i pod oknami snuł

jak szalony, tyle razy wracałem, nie śmiejąc waszego progu przestąpić, bojąc się, byście nie odepchnęli tego, który na łaski wasze i serce nie zasłużył wcale...

Podkomorzy zaczął znowu ścisnąć i całować Semenę i ze łzami odczytał pismo Jadwigi, konającą już ręką kreślone, w którym polecała syna swego opiece i łasce rodziny.

I tak wśród powszechnego rozrzewnienia, zakończył się ten pamiętny dla mnie wieczór wigilijny. Gdyśmy się rozchodzili, kury już piałły, zwiastując święto Narodzenia Bożego...

Semen pozostał w Leszczynówce na zawsze.

---



LORENZO.







Lorenzo był rybakiem. Od lat kilkunastu znany był wszystkim mieszkańcom uroczej Casamiccioli i wszystkim podróżnym zwiedzającym wyspę Ischię. Mówił biegle po włosku ale z cudzoziemskim akcentem; zapytywany o swe pochodzenie, Lorenzo nie odpowiadał zwykle nic, a czasem odrzekł tylko: »Z dalekich stron jestem» — i ręką machał. Mówiono wszakże i twierdzono na pewno, że Lorenzo nie był ani Francuzem ani Niemcem, lecz Polakiem, może dlatego, że na obczyźnie najwięcej spotkać można Polaków, kolejami losu zagnanych w dalekie strony i zarabiających na kawałek chleba bardzo ciężko, a kryjących pilnie swą przeszłość inną, świetniejszą, przed ciekawością natrętnych.

To ukrywanie się a raczej to milczenie, jakim odpowiadał Lorenzo na niedyskretne pytania, było zapewne pierwszym powodem, że postać biednego rybaka otaczać począł urok tajemniczości. Pokazywano go podró-

żnym, jako jedną z ciekawości wyspy... »*Un misterioso uomo*«, mówiono o nim, a jeden z kompozytorów muzycznych, bawiący czas jakiś na Ischii, ułożył piosnkę znaną powszechnie we Włoszech, a rozpoczynającą się od słów zastosowanych do Lorenza:

Son un uomo, bruno, bruno,  
Misterioso...

Urok tajemniczości otaczający Lorenza podnosiła jeszcze i sama powierzchowność jego. Uderzał on od razu nie tyle pięknnością rysów twarzy, ogorzałej od promieni słonecznych i wichrów morskich, jak raczej szlachetnością całej postawy, zręcznością i niezwykłą w prostym rybaku elegancją ruchów, wyrazem oczu niewymownie pięknych, mieniących się jak toń morza rozmaitemi barwy, a błyszczących dziwnie przejmująco. Ciemny zarost twarzy i płeć bardzo śniada potęgowały jeszcze ten blask oczu, pociągający magnetycznie.

To też kobiety patrzyły na Lorenza z ciekawością i wielkiem zainteresowaniem; niejedna byłaby chętnie podjęła się rozproszyc mgłę smutku sposępniającą jego piękne wyniosłe czoło, okolone ciemnymi, bujnymi włosami; niejedna byłaby ofiarowała wiele,

bardzo wiele, aby zbadać tajemnicę biednego rybaka i przeszłość jego, która w wyobraźni podrażnionej ciekawością, przedstawiała się wielką, świetną a bardzo nieszczęśliwą, pełną zawodów, katastrof, rozczarowań serca...

Ale Lorenzo nie zwracał uwagi na spojrzenia kobiet i sam na nie nie patrzył nigdy. To znaczy — nie patrzył miłośniczo, bo zresztą okazywał wielką, niezwykłą cześć dla niewiast. Nie słyszano nigdy, aby się uniósł lub przykre powiedział słowo jakiegokolwiek kobiecie; nie słyszano z ust jego żadnego lekceważącego wyrazu lub płochego o kobietach żartu. Dziwiono się temu tem więcej, że Lorenzo był młody a do uniesień skłonny. Zachwycał się łatwo pięknnością natury; nieraz godzinami stał na wybrzeżu i przypatrywał się burzy szalejącej na morzu, nieraz wybiegał z rana patrzeć na wschód słońca, gdy różowemi promieniami oblewało lazuruwą otchłań morską; nieraz w letni, pogodny wieczór przechadzał się długo samotny po wybrzeżu, w zamyśleniu posepnem, to nucąc jakąś piosnkę dziwnie tęskną, to wymawiając jakby bezwiednie wyrazy, brzmiące nie swojsko dla Włochów, ale dobrze zrozumiałe nad Wisłą, Niemnem i Dnieprem.

Artystyczną miał duszę. Skąd się wziął ten zapach dla sztuki w sercu biednego rybaka? któż mógł odgadnąć? Nazywano go fantastykiem i dziwakiem a może i szaleńcem, bo miewał wybryki dziwne: czasem znikał z Casamiccioli na parę tygodni, a potem opowiadał sobie, iż widziano go we Florencyi, Neapolu, Rzymie, zwiedzającego muzea i zabytki. Mówiono, że raz we Florencyi, zwiedzając pałac Pittich, stał kilka godzin w zachwycie przed Rafaelowską Madonną *del Granduca*, aż wreszcie omdlał ze znużenia i głodu, podróże swe bowiem odbywał pieszo i bardzo oszczędnie, często o kawałku chleba na dzień cały. Po tym wypadku zachorował nawet ciężko, długo leżał w szpitalu florenckim, aż go ledwie wyleczonego odesłano do miejsca zamieszkania w Casamiccioli.

Od tej pory Lorenzo zaniechał podróży, ale stał się jeszcze bardziej posępnym i milczącym. Widywano go teraz coraz częściej przechadzającego się w noc księżycowe nad morzem i wyrzucającego z utęsknionej duszy jakieś dziwnie brzmiące wyrazy, których nikt z Włochów zrozumieć nie mógł, a które w ciszą nocną zapadały bez echa...

Wielkie zdziwienie ogarnęło wszystkich

mieszkańców Casamiccioli, gdy się rozniosła wieść niespodziewana, że Lorenzo się żeni. On chmurny, nieprzystępny, obojętnymi tylko względami darzący kobiety, żeni się! I z kim jeszcze! z córką równie jak sam ubogiego rybaka, nieodznaczającą się wcale wdziękami, najpospolitszą w świecie kobietą... Cóż go skłonić mogło do takiego związku? Rozmaite wysnuwano domysły, bo przecież miłości ze strony Lorenza przypuścić było niepodobna.

Ludzie wiedzą najlepiej, co się dzieje w sercu każdego z sąsiadów. Oni stanowczo zawsze i bez żadnych zastrzeżeń wydają wyroki o powodach i najtajniejszych nawet pobudkach czynów bliźniego. Świat ma pewne formułki, normy, zasady, od których nikomu odstąpić nie wolno; jeśli kto do tej nie przystaje miary, tem gorzej dla niego... Jeżeli komu przeszłość i życie goryczą napełniły serce, komu nie dane iść utartą drogą przepisanych z góry formułek, jeśli kto ma w piersi serce ognistsze, wyobraźnię bujniejszą, duszę do porywów skłonną, to może być pewnym, że powszechną zwróci na siebie uwagę i że każde jego słowo i czyn każdy poddane będą krytyce bezwzględnej. Jeżeli olśni świat wielkim czynem lub wiekopomnem dziełem, to



ocalony... już mu wszystko wolno. Inaczej fantastykiem i dziwakiem zostanie na zawsze... A jakimże czynem heroicznym, jakim nieśmiertelnem dziełem mógł Lorenzo przebłagać opinię swego otoczenia, które w nim widziało zwykłego rybaka, a burzę miotającą jego duszą nazywało po prostu szaleństwem?

Litowano się tedy powszechnie nad biedną Aminą, że losy swe związała niebacznie z dolą szaleńca. Litowali się zwłaszcza mężczyźni, którzy nie zbyt lubili Lorenza, czując w nim upokarzającą ich wyższość; kobiety wzdychały, kiwając głowami, ale w tajnikach sercach zazdrościły Aminie, bo Lorenzo był piękny i miał oczy błyszczące dziwnie, które magnetycznie pociągały ku sobie. Kobiety też opowiadały z przekąsem, że Amina od lat dawnych na Lorenza czyhała, rozkochawszy się w nim namiętnie; że go prześladowała miłością swoją, niezrażona jego obojętnem zachowaniem, że tę miłość gorącą, namiętną, okazywała mu ciągle, aż wreszcie rozkruszyła serce zimnego rybaka.

Rozmaite wersje krążyły mniej lub więcej dla Aminy pochlebne. Niektóre z nich podnosiły miłość Aminy do bohaterstwa; mówiono np. że raz w czasie burzy, gdy Lorenzo



niebacznie na swej łodzi puścił się na rozhu-  
kane fale, Amina sądząc, że ukochany jej to-  
nie, oszalała z bólu, rzuciła się w morze  
i byłaby zginęła, gdyby Lorenzo nie przy-  
szedł jej z ratunkiem. Opowiadano znowu, że  
było to w noc księżycową, kiedy Lorenzo  
przechadzał się nad morzem w napadzie sza-  
lonej tęsknoty... Amina przyszła wówczas do  
niego, rzuciła się przed nim na kolana i ofia-  
rowała mu miłość swoją na pociechę...

Czy było tak, lub inaczej — dość, że  
się Lorenzo ożenił. Ślub odbył się cicho,  
w obecności tylko rodziców Aminy i dwóch  
koniecznych świadków. Oczekiwano z gorą-  
czkową ciekawością, co dalej nastąpi, a przy-  
puszczano na pewno, że Lorenzo ucieknie od  
tej żony, której kochać nie mógł.

Przypuszczenia wszakże nie ziściły się wca-  
le. Młodzi małżonkowie zamieszkiwali mały, u-  
bogi dworek nad samem wybrzeżem, na wzgór-  
ku. Otaczało go kilka drzew cienistych i samo-  
tność, bo w pobliżu mieszkań nie było — i wiel-  
ka cisza, maćona tylko miarowym oddechem  
morza w czas pogody, lub gwałtownym rykiem  
fal, rozbijających się o wybrzeże w czasie burzy.

Czy Lorenzo kochał żonę?... Był dobrym  
dla niej; to wszystko co powiedzieć można;

pamiętał o jej potrzebach, był zadowolony, gdy ją widział uśmiechniętą; obchodził się z nią bardziej przyjaźnie niż miłośnie.

Miłość Aminy była za to wówczas w pełnym rozwoju. Przeczuwała intuicyjnie, tym dziwnym, niewytłumaczonym instynktem, który jest danym kobiecie, potrzeby duszy Lorenza. Sama bez wykształcenia żadnego, niemająca żadnych estetycznych wymagań, Amina czuła, że Lorenzo to natura wyższa i wykuintna. Nie umiała tego nazwać, ale czuła to i starała się o ile **możności** zadość uczynić upodobaniom ukochanego męża.

Toż ubogie wnętrze mieszkania rybaka przyozdabiała, czem mogła i jak umiała; sama starała się wyglądać schludnie i być ładną; w rozmowach swoich z Lorenzem odzywała się mało, w obawie, aby nieumiejętnem lub niewłaściwym słówkiem nie podrażnić męża; zato słuchała pilnie i długo, słuchała patrząc mu w oczy, jak pies wierny, nie tając zachwyków swoich...

I oto dlaczego Lorenzo zaniechał był zupełnie artystycznych podróży i samotnych przechadzek nad morzem. I jemu zaczynało się robić dobrze w tej atmosferze ciepłej a nieupalnej, pozbawionej burz, cichej i sa-

motnej. Dusza jego, przez długie lata szarpana walką wewnętrzną, odpoczywała.

Czasem wprawdzie zrywały się jeszcze w jego głowie myśli szalone... czasem wpa-trywał się błyszczącym okiem w kopię *Madonny del Granduca*, przywiezioną z Florencyi i mimowolnie wzdychał głęboko, **snąc** do dawnych marzeń... Ale to trwało krótko, a po każdym takim chwilowem zapomnieniu, wracał do Aminy tem czulszy i troskliwszy.

Ta kopia *Rafaelowskiej Madonny* miała szczególniejszy wpływ na Lorenza. Czy samo arcydzieło przemawiało tak silnie do jego artystycznej duszy, czy może podobieństwo cudownych rysów *Matki Bożej* do dawniej widzianej, a może kochanej kobiety? tego Lorenzo nie mówił nikomu.

Raz — było to w pierwszym roku po ślubie z Aminą — wzrok jego, prawie przymocą ku obrazowi temu pociągnięty, długo odeń oderwać się nie mógł; Lorenzo poczuł w swej duszy niewygasły ogień dawnych zapalów i szałów i postanowił natychmiast oddalić od siebie stanowczo to niebezpieczeństwo.

Noc całą spędził bezsennie. Zatrwożona Amina pytała go i wzrokiem i słowem, co

mu się stało, czy cierpi, czy chory? ale Lorenzo po raz pierwszy zbywał milczeniem pytania, a z rana wyprawił Aminę pod jakimś pozorem z domu. Postanowił zniszczyć obraz tak dziwnie nań oddziaływający i sądził, że po wyjściu Aminy uskuteczni to łatwo bez wahania.

Cóż bo łatwiejszego w istocie, jak taki niewielki obrazek rzucić w ogień lub w morze!

Usiadł przy stole, głowę wsparł na obu rękach i zwolna, jakby z lękiem podniósł wzrok ku obrazowi.

Cudowne oblicze Madonny jaśniało promiennie w rannych blaskach słonecznych... oczy jej zdawały się patrzeć na Lorenza długo, wymownie, jakby żałośnie; usta zdawały się mówić:

— Czy chcesz zniszczyć najdalsze nawet wspomnienie?...

— Zawsze ona! zawsze ona! — szepnął Lorenzo. — Zawsze równie piękna, jednako ukochana...

Szept skonał w łkaniu, które podniosło pierś biednego rybaka. Twarz ukrył w dłoniach, jakby sam przed sobą utaić chciał, że płakał jak dziecko... Nagle porwał się z miejsca, przystąpił do ściany i gwałtownym ru-

chem chciał zerwać obraz. Szarpnął raz i drugi ale nadaremnie; obraz bez ram zewnętrznych, zawieszony był niezręcznie ręką Aminy na dużym haku, który wszedł pomiędzy wewnętrzną drewnianą oprawę a płótno i nie puszczał obrazu. — Lorenzo szarpiąc ciągle, wbijał go tam jeszcze mocniej, aż nareszcie płótno pękło pod naciskiem i zerdzawiała głowa haka przeszła na zewnątrz, rozrywając na szmaty promienne czoło Madonny...

Lorenzo blady, osłupiały z przerażenia, puścił z rąk obraz, który kołysząc się na haku, rozdarł się jeszcze więcej, a w końcu przekrzywiony dziwacznie, nieruchomo zawisnął.

W tej chwili weszła Amina i zastała męża siedzącego na krześle, jakby w omłdieniu. Z krzykiem przypadła ku niemu, chcąc go cucić, ale Lorenzo po raz pierwszy odsunął ją od siebie stanowczo. Amina mocno zdziwiona spoglądała dokoła, nie pojmując co się stało. Rozumiała tylko, że Lorenzo chory; pragnęła go uleczyć co prędzej i nawet z apteki przyniosła dlań lekarstwo na ból głowy i bezsenność. Ale oto Lorenzo odsunął ją z widoczną niechęcią... Cóż mu zawiniła?

Łzy zakręciły się w oku Aminy; nie mówiąc nic usiadła w drugim końcu pokoju

i zadumała się boleśnie. Dlaczego Lorenzo gniewa się na nią?...

Długą chwilę trwało milczenie. Aż wreszcie Lorenzo podniósł oczy utkwione dotychczas w ziemię i spojrzał na żonę. Zobaczył jej twarz zasepioną, wzrok zamglony łzami i żalem ścisnęło mu się serce.

— Biedna kobieta! — szepnął — a cóż ona winna?

Powstał i zbliżył się do niej.

— Amino — rzekł — przebacz mi! Uniosłem się, nie wiedzieć dlaczego... Jestem chory, całą noc nie spałem, a na domiar zepsułem obraz, który lubiłem...

Amina rozpromienioną twarz podniosła na męża, schwyciła jego rękę i ucałowała mocno, a potem nagle powstawszy, oba ramiona zarzuciła mu na szyję.

— Biedny mój, drogi Lorenzo! — zawołała. — Tyś chory!

Ale rybak mimowolnym ruchem usunął usta od pocałunku żony i wyzwalając się łagodnie z jej objęć:

— Uspokój się, Amino — rzekł poważnie. — Nic mi nie jest; przemijające niezdrowie. Muszę wyjść teraz na powietrze...



przejsć się trochę. Ty tymczasem weź ten zepsuty obraz i... i...

Zawahał się chwilę, ale wreszcie głosem drżącym dodał:

— Zrób z nim, co zechcesz... spal lub w morzu zatop...

Amina, coraz bardziej zdziwiona, spojrzała teraz dopiero na obraz przedarty, bokiem wiszący na haku. Jakim sposobem stać się to mogło? Zresztą, nie wielka szkoda; obraz ten nigdy nie wydawał się jej ładnym.

— Ten obraz — przemówiła powolnie — najlepiej sprzedać; może kto da co za niego, chociaż przedarty i brzydki...

Lorenzo spojrzał na nią takim wzrokiem, że biedna Amina struchlała i nie dokończyła zdania.

— Może co złego powiedziałam — szepnęła i chciała ująć męża za rękę, ale rybak nie słuchał już, co mówiła. Wyrwał dłoń swą gwałtownie.

— Nie sprzedawaj! — zawołał podniesionym głosem — spal albo zatop!

To rzekłszy, drzwi otworzył i wybiegł z pokoju.

Po wyjściu męża, Amina długo jeszcze siedziała nieruchomo, pogrążona w posępnych

dumaniach. Niewymownie było jej przykro, że Lorenzo ją odsunął, pocałunku nie oddał, a wreszcie mówił do niej podniesionym głosem, jak nigdy. Co mu się stać mogło? Czyliż popsucie tego obrazu Madonny tak go rozjątrzyło? Doprawdy, nie było czego żałować! Stare jakieś, brzydkie malowanie, bez ram nawet... szpeciło ścianę, nic więcej. Obrazów świętych było u nich aż dwa, co nad łóżkiem wisiały; ten trzeci, najbrzydszy, wcale był zbyteczny... Nie darmo matka jej mówiła, że Lorenzo dziwak, fantastyk; najlepszy tego dowód złożył dzisiaj. Z powodu takiego obrazu taką scenę zrobić! I dlaczego nie chce tej starzynny sprzedać? zawsze lepiej choćby kilka bajoków wziąć za nią. Ano, z dziwakiem trudno poradzić!..

Zdjęła obraz ze ściany i przyglądała mu się uważnie.

— Co on w tem malowidle widzi, to chyba Bogu wiadomo! — myślała dalej. — Ot, tu zaraz niedaleko, sprzedają obrazy, nie takie jak ten... Stokroć piękniejsze. Święte, nie święte, w ramach złocistych... czasem wesołe, bardzo wesołe...

Uśmiechnęła się przez łzy... Wstała, zdjęła

obraz przedarty, otworzyła drzwi od kuchni i tam go za piec wrzuciła.

-- Niech tam leży tymczasem — szepnęła.

Myśli jej pobiegły znowu za Lorenzem. Gdzie on jest? gdzie poszedł? co robi? Taki był rozdrażniony i zmieniony widocznie. Boże! Boże! byle się nie rozchorował tylko. I coby tu zrobić, aby mu powetować poniesioną stratę, aby na miejscu uszkodzonego obrazu, inny zawiesić — piękniejszy.

Naraz aż klasnęła w ręce i podskoczyła z radości. Właśnie dzisiaj, gdy wracała z apteki, przechodząc koło sklepu z obrazami, widziała jeden mały, ale prześliczny. Przedstawiał piękną Włoszkę, tańczącą w stroju pozwalającym podziwiać pełne, okrągłe jej kształty. Amina zatrzymała się nawet na chwilę, bo jej się wydało, że w rysach tej tancerki jest wielkie do niej samej podobieństwo. Takie same usta koralowe i duże ciemne oczy i nosek niezbyt kształtny, ciekawie patrzący do góry i ciało białe, bardzo piękne. Byle tylko ten obrazek dużo nie kosztował! Ale przecie ona ma swoje oszczędności: dwadzieścia kilka lirów; to więcej kosztować nie może, a odda wszystko, byleby zadowolić męża...

Z gorączkową niecierpliwością Amina po-

biegła do sklepu. Chciała koniecznie wrócić przed Lorenzem do domu i zawiesić obraz, zanim on przyjdzie, aby miał niespodziankę.

W pół godziny potem, zdyszana, wracała do domu a raczej biegła, wołając wciąż na sklepowego sługę, który dźwigał zakupiony obraz. Kosztował tylko piętnaście lirów.... a gdzież to porównanie z tamtym! Amina usiadła na tem samym miejscu, które przed pół godziną zajmował Lorenzo i z nietajoną radością przypatrywała się obrazowi.

Na twarzy tancerki i na złocistych ramach odbijały się jaskrawo promienie południowego słońca.

Zegar duży, zawieszony na ścianie obok nowo zakupionego obrazu, wybijał godzinę po godzinie, a Lorenzo nie wracał. Amina czekała zrazu cierpliwie, cała oddana radości z powodu swego kupna ale gdy minęła godzina obiadu, gdy wreszcie i słońce poczęło ku zachodowi się zniżać, wielki niepokój ją ogarnął, wzrastając z każdą minutą, przemijającą na próżnem oczekiwaniu.

— Boże! Boże! co się z nim stało? — wołała, biegając szybkim krokiem po pokoju.

Usiłowała jeszcze wzbudzić w sobie nadzieję.

— Zapewne turyści jacyś wynajęli jego barkę i pojechał wraz z nimi...

Przecież to się często zdarzało... Czasem Lorenzo nie wracał z takiej wycieczki, aż późnym wieczorem, ale zwykle przysyłał jej chłopaka z zawiadomieniem, aby napróżno nie czekała i była spokojną. Dlaczegoż dziś nie przysłał? Był widocznie zagniewany na nią, gdy odszedł tak nagle. Ale dlaczego się gniewał?...

Amina usiadła, przypominając sobie każde swe słowo z dni ostatnich, aby odgadnąć, czem mogła Lorenza rozgniewać. Była taka, jak zawsze: cicha, dobra, kochająca. I przypominała sobie dalej wyraz twarzy Lorenza, dziwnie zmieniony. Piękne jego czoło pofałdowało się zmarszczkami, brwi nad oczami ściągnięte nadawały jego szlachetnej twarzy wyraz prawie ponury. A te oczy! te oczy! siały iskry gniewu tak płomieniste, że je Amina dotychczas czuła w swej duszy.

Prawdziwie szalony wzrok miał ten Lorenzo. Amina bała się jego oczu, a zarazem kochała je namiętnie; bo też jeśli czasem przerażały ponurą dzikością, umiały również spoglądać tak tkliwie i rzewnie, jak żadne inne na świecie, a czasem przebijała się w nich tak głęboka, niewysłowiona tęsknota, taki ból duszy



rozpaczny, że Aminie wówczas serce się krajało i byłaby gotowa ofiarą własnego życia okupić jedną, choćby jedną tylko szczęścia chwilę dla tego człowieka.

Amina nie próbowała nawet nigdy badać tajemnicy przeszłości Lorenza. Raz, w chwili rozrzewnienia powiedział jej tylko, że miał niegdyś dom własny i ognisko rodzinne, w którym mu było dobrze jak w raju; że to wszystko porzucić musiał i iść w świat daleki; że kochał raz w życiu kobietę, która go zawiodła; że odtąd tęsknota i żal szarpały jego duszę bezustannie; że pragnąłby jednak zapomnieć o wszystkim w czułym objęciu Aminy.

Amina na to zwierzenie odpowiedziała łzami i postanowiła sobie święcie nie zapytać nigdy męża o nic, co się do przeszłości odnosić mogło.

— »Byleby tylko zapomnieć o niej zdołał!«  
— myślała. I modliła się do Madonny, aby ją natchnąć raczyła i wskazać środki, któremi najłatwiej cel upragniony osiągnąćby mogła.

Niestety! modlitwa widocznie wysłuchaną nie była, bo oto Lorenzo stawał się znowu ponurym. Widocznie wracał myślą do tej przeszłości... Dziś jeszcze z rana Amina miała nadzieję, że ponure zamyślenie męża, to wynik



przemijającego niezdrovia; obecnie z każdą upływającą chwilą w tej okropnej samotności przychodziła do przekonania; że to nie fizyczne, ale raczej moralne cierpienie. Człowiek chory nie odsuwa dłoni żony, pragnącej mu ulgę przynieść, nie wybiega z domu tak gwałtownie, aby nie wrócić rychło... To ta przeszłość inna a niepowrotna, tęsknota i żal okrutny tak go gnębią... Mój Boże! a ona myślała, że on już o tem wszystkim zapominać począł; przed chwilą jeszcze miała nadzieję, że wróci spiesźnie, uspokojony i tkliwszy niż zwykle, że jej wynagrodzi czułością ranną przygodę, a ujrawszy nowy, piękny obraz, rozpromieni się radością, popatrzy na nią wdzięcznie i może... może... nawet pocałuje!

Spojrzała znowu na obraz i wzdrygnęła się; wydał się jej prawie brzydkim. Różowy odblask od chmur na zachodzie zniknął powoli ze ściany i płótna; obraz ściemniał nagle, wyglądał jak gdyby brudny. Tańcząca Włoszka była nadto tłusta, niezgrabna, a w ustach i oczach miała wyraz, który się Aminie nie podobał. Ramy wprawdzie były ładne, szerokie, pozłociste, niby rzeźbione, ale teraz w tym zmroku wieczornym dużo także straciły.

Ze smutkiem patrzyła Amina na obraz,

po którym tyle się spodziewała, a który teraz zdawał się jej dziwnie innym, niż z rana. Cały gmach jej nadziei rozpadał się w gruzy i znikał wraz z ostatnim dogasającym promieniem zachodzącego słońca... Zamyśliła się posepnie.

Syk zegara przenikliwy, przeciągły, zwiastujący bicie godziny, obudził ją z zadumy. »Boże mój! to już późno, bardzo późno, a Lorenza nie ma!«

Słońce zaszło zupełnie; zmrok nocny op nował już kąty pokoju, pełzał po ścianach i sprzętach dalszych, gasząc na nich ostatnie dnia błyski... Obrazu już i widać nie było. Amina zerwała się z miejsca. Zegar wydzwaniał powoli jakąś godzinę, ale ona dorachować się jej nie mogła; wzięła chusteczkę, zarzuciła ją na głowę, i nieprzytomna prawie wybiegła z domu.

Po skwarnym dniu letnim powietrze było parne, duszące. Najłżejszy nawet powiew wiatru nie poruszał gałęziami drzew otaczających domek Lorenza. Amina wybiegła na sam szczyt wzgóрка i spojrzała dokoła... Po prawej stronie uroczą Casamicciola tonęła już w cieniach nocy, promieniejąc tysiącem światła swych will i pałacyków; stamtąd dochodził stłumiony gwar głosów ludzkich, turkot wozów i pojazdów, tam wrzało życie. Po lewej stro-

nie, nie było ani jednego światełka; tu jeszcze blaski dzienne przeważały, a wielkie milczenie zalegało całą przestrzeń morza bezbrzeżną. Tylko szum jego miarowy, jakby ciężki oddech uśpionego olbrzyma, przerywał ciszę.

Amina wyteżyła wzrok swój, aby sięgnąć jak można najdalej w przestrzeń głuchą, ale nie dostrzegła nic zgoła. Na całym obszarze, jak tylko oko dopatrzeć mogło, ani jednej łodzi, ani śladu życia, znikąd nie dochodził jej uszu plusk wiosła, tylko ciągłe, miarowe oddychanie morza, a czasem głośniejsze odbicie się leniwej fali o wybrzeże.

Z głową wysuniętą naprzód, z okiem w dal wpatrzonem, stała tak Amina długą chwilę, tłumiąc oddech w piersi. Aby lepiej słyszeć, zerwała z głowy chusteczkę, a zerwała tak siłnie, że szarpnięte wraz z nią włosy, długie, ciemne, rozwinęły się, rozplotły i spadły jej na ramiona, okrywając jak płaszczem. I nasłuchiwała tak długo, bardzo długo... Napróżno! Straszne myśli poczęły krążyć w jej głowie.

Lorenzo był dzisiaj dziwnie, niezwykle wzburzony. On zresztą zawsze taki szalenie gwałtowny. Kto wie? może już w tej chwili spoczywa martwy na dnie morza, które spokojne, obojętne, jak gdyby uśpione, chłonęło

w swych nurtach całe szczęście Aminy, jej jedyną na świecie nadzieję, jej miłość gorącą, ukochanego Lorenza!... Zateśknił za przeszłością swoją, zadumał się o tej kobiecie, którą niegdyś... którą zawsze kochał, pojechał na morze... i — utonął!...

Jęk głuchy ozwał się w piersi zrozpaczonyj kobiety. Zadrżały i ugięły się pod nią nogi. Amina padła na kolana i oba ramiona wyciągnęła ku ściemnionemu niebu, które zdawało się uśmiechać do niej mrugającymi figlarnie gwiazdami, jakby urągać chciało jej rozpaczy...

— Wielki Boże! Madonno cudowna! ulituj się nademną! — wyjąkała Amina.

W tejże chwili, niedosłyszalne obojętnemu uchu, dalekie, stłumione, ozwało się pluśnięcie. Byłże to plusk fali, czy odgłos wiosła?... Amina pochyliła się naprzód, okiem, uchem, w pół otwartymi usty, całą duszą idąc w dal, w tę głuchą przestrzeń bezbrzeżną a tak dla niej w tej chwili okropną... Znowu wyraźniejszy odgłos i jakiś mały, malutki, jak czarna plamka, punkcik, ukazał się na szarem tle horyzontu...

Amina porwała się na równe nogi i pędem, jak strzała, zbiegła ze wzgórką, pod sam brzeg morza.

— To on! to Lorenzo wraca!

Dobrze jej znaną była ta łódź, która teraz z rozwiniętymi żaglami zbliżała się powoli ku wyspie. Była własnością Lorenza, który ją ochrzcił dziwnem dla niej mianem: »Iskierka«; wypisał je wielkimi literami na obu bokach łodzi i nauczył Aminę wyraz wymawiać.

— Iskierka! ukochana Iskierka! — powtarzała, z trudnością wykrztuszając tę nazwę i oba ramiona wyciągając ku łodzi.

Ale jeszcze nie odchodziła od brzegu. Pragnęła ujrzeć Lorenza i dostrzegła go niebawem stojącego u steru.

— Najdroższy mój! — szepnęła i nagle przechodząc z jednego uczucia w drugie, zaśmiała się radośnie, klasnęła w ręce i zwracając się, pobiegła pędem ku mieszkaniu. Potrzeba bowiem było przygotować wszystko na przyjęcie męża: zapalić lampę, zastawić jedzenie, pokazać nowo zakupiony obraz. A nie! ona mu nic o tym obrazie nie powie; czekać będzie, aż Lorenzo sam go zobaczy, a wówczas najlepiej będzie mogła ocenić wrażenie... Gdybyż mu się tylko podobał! Ale już o wszystko mniejsza... Bóg miłosierny, że jej wraca Lorenza, zresztą niech się dzieje co chce!



Wpół godziny potem, Amina, stojąc u zastawionego stołu, usłyszała ciężki chód zbliżającego się Lorenza. Szedł powoli, bardzo powoli, jakby strudzony. Każdy krok jego odbijał się żywym echem w sercu Aminy, które biło tak gwałtownie, jakby pęknąć miało. Nareszcie drzwi się otwarły i na progu stanął Lorenzo. Jednym rzutem oka objął wszystko: i pokój schludnie przybrany i stół obfitem zastawiony jadłem i Aminę stojącą opodal, ze spuszczołemi w dół oczami, jakby zawstydzoną. Na twarz jej padały blaski od lampy stojącej na stole: twarz ta z wyrazem ujmującej łagodności i dobroci, zarumieniona w tej chwili mocniej, wskutek wrażeń przebytych, wydała się Lorenzowi bardzo pospolitą.

— Czyliż tu, w tych czterech ścianach ubogiego dworku, przy tej kobiecie dobrej, ale tak bardzo prostej, miało upłynąć całe jego dalsze życie? Tu w tym zakątku miałyż znaleźć kres swój wszystkie jego pragnienia, marzenia, porywy?!

Ta myśl jak ostrze sztyletu przeszła mu serce.

Wracał z wycieczki na morze. Tam, wśród nieskończonej przestrzeni, myśli jego rozbijały się znowu; na chwilę zapomniał o



teraźniejszości i odżył dawnym życiem. A oto rzeczywistość z całą swą realną grozą stawiała mu znowu przed oczy, w postaci tej hożej kobiety, pozbawionej wszelkich aspiracyj wyższych i z całym jej otoczeniem więcej niż pospolitem: umiecioną podłogą, białymi ścianami domu, małżeńskim łóżem, zaścielonem kapą kraciastą, stołem zastawionym jadłem pożywnem, ale nie wykwintnem... Jedyne przedmiot, który w tem otoczeniu był mu drogim, Madonna florencka, już zniknął...

Lorenzo widział wszystko i wszystko odczuł, ale na ścianę gdzie przedtem wisiał obraz ukochany nie spojrział. Nie chciał widzieć tej pustki, która go przejmowała trwogą.

Po chwili posepnego milczenia zbliżył się powoli do Aminy. Ona stała drżąca, zmieszana, nie śmiejąc oczu podnieść na męża. Gorączkowe rumieńce znikły z jej twarzy pod wpływem wzruszenia i obawy.

— Co Lorenzo jej powie! Co on jej powie! — myślała. — Może przemówi do niej tkliwie, jakto już nieraz bywało przedtem, po każdym małym nieporozumieniu małżeńskim? Może ją przeprosi za swoje uniesienie... Chociaż ona przeprosin nie wymaga wcale! O, nie! obawia się nawet tego, bo czuje, że wów-

czas opuściłaby ją cała siła woli, że wybuchnęłaby spazmatycznym płaczem i upadła do nóg Lorenza. On ją przeproszać? mój Boże! i za co? Za to, że nieszczęśliwy, że zgnębiony, że smutny! Ależ to właśnie jej wina, że nie umiała smutku rozproszyć i goryczy z serca jego usunąć. Jej wina, że człowiekowi, który jej przyniósł z sobą niewymowne szczęście, nie umiała zapełnić życia i dać zapomnieć o przeszłości, za którą wciąż tęsknił. To ona raczej powinna go przeproszać...

Wzrok zamglony łzami podniosła na męża i wzdrygnęła się cała. Z włosami zburzonymi, blady, z zaciśniętymi usty, ze wzrokiem roziskrzonym dziko, Lorenzo stał przed nią jak sędzia, czy mściciel.

W głowie jego tłoczyły się szalone myśli.

— Gdyby nie ta kobieta! — myślał. — gdyby nie ta kobieta!... Po co mi ona narzucała swą miłość? po co skrepowała ręce? Poszedłbym w świat jak dawniej, zaczerpnął powietrza, odpoczął duchem, a umęczył fizycznie i znowu mógłbym żyć dalej. A dziś? muszę wracać tu, do tej chaty, w której wszystko przypomina mi, że m nędzarz... do tej kobiety, która nie daje mi zapomnieć, że m niewolnik na życie całe!...

Z oczu Aminy wybiegły łzy strumieniem i toczyły się z wolna po twarzy, bez jęku i łkania. Domyśliła się instynktem, co się w tej chwili działo w duszy Lorenza, czuła, że w tym momencie, po raz pierwszy, przeniknęła jego duszę myśl okropna: «Gdyby nie ta kobieta...» i poczuła także, jak strasznym ciężarem zaważyła na całym istnieniu ukochanego.

Widok cichych łez Aminy w dziwny sposób oddziaływał na Lorenza. Miał serce miękkie i tkliwe, uznawał zresztą całą niesprawiedliwość wewnętrznego buntu przeciw więzom, które sam dobrowolnie się skrępował. I znów jak z rana użalił się nad Aminą.

— Czego płaczesz? — rzekł z cicha, łagodnie. — Byłaś pewnie o mnie niespokojną: musiałem jechać na morze a nie znalazłem nikogo, aby cię zawiadomić... Nie płacz, Amينو, wszak wiesz, że łez nie lubię.

Prawda! mówił jej to kilkakrotnie przedtem, gdy dla błahej przyczyny rozpłakała się czasem. A ona niebaczna, zapomniała o tem! Gwałtem stłumiła cisnące się do oczu łzy, twarz co rychlej otarła i nieśmiało wzrok podniosła na męża, usiłując się uśmiechać.

— Przepraszam cię, Lorenzo! — szepnęła po chwili — już nie płaczę!

On ujęty pokorą i dziwną łagodnością tej kobiety, którą przed chwilą w sercu swem potępiał, zbliżył się ku niej, pochylił i pocałował w czoło...

Pocałunek był zimny, ale za dotknięciem ust ukochanych twarz Aminy rozpromieniła się niewymownem szczęściem. Nie śmiała już wprawdzie, jak bywało dawniej, obu rąk zarzucić na szyję mężowi, ale dłoń jego porwała z uniesieniem i namiętnie całować poczęła.

Lorenzo ręki nie usunął; rozrzewniony widocznie, drugą ręką pogładził śliczne, ciemne włosy Aminy i raz jeszcze w schyloną główkę pocałował.

— Uspokój się, — rzekł po chwili, — uspokój się, biedne dziecko! Jam zmęczony bardzo, daj mi wina szklanekę...

Amina zbliżyła się spieszenie do stołu, nałała wina i podała je mężowi. Wypił jednym tchem a potem usiadł przy stole, obracając się plecami do ściany, na której wisiała Madonna.

— Mój Boże! — myślała z żalem Amina — nie zobaczy mego obrazu... a może do reszty by

się rozchmurzył na widok niespodzianki.

Lorenzo jadł niewiele, za to wypił parę szklanek wina; poczem powstał i począł się przechadzać po pokoju. Milczeli oboje. Amina siedząc przy stole z głową, na obu rękach wsparta, śledziła każde poruszenie Lorenza i badała wyraz jego twarzy, ciągle bardzo posępnej. Czasem tylko odrywała wzrok od twarzy męża i spoglądała na obraz, a ten wydawał się jej teraz znowu niezmiernie pięknym. Od lampy padało światło na twarz tańczącej Włoszki, która uśmiechała się rozkosznie, podnosząc obnażone, okrągłe ramiona, chełpiąc się białem swem ciałem, przeglądającym przez lekką zasłonę gorsu i pięknymi kształtami zarysowującemi się wyraźnie. Na tej twarzy znać było upojenie zmysłowe, a pędzel malarza, jakkolwiek bardzo niezgrabny, umiał je wszakże oddać w całej pełni. Był to widocznie utwór początkującego artysty, który dla chleba sprzedawał podobne wyroby za bezcen handlarzom.

Amina z całą przyjemnością patrzyła teraz na obraz.

— To niemożliwe — myślała — aby się Lorenzowi nie podobał! Ta Włoszka zupełnie jak żywa; kolory piękne, świeże, wcale nie

takie jak na tem popsutem, spłowiałem małowidle. Gdybyż tylko co rychlej Lorenzo obraz zobaczył!

I coraz dłużej nań patrzyła, ciesząc się w duchu ze swej myśli, która Lorenzowi miała przynieść chwilowe przynajmniej zadowolenie. On tymczasem chodził zwolna po pokoju i nie zwracał na nic uwagi. Nagle się zatrzymał i spytał Aminę z cicha, jakby nieśmiało:

— Czy obraz Madonny... zniszczony?...

Amina rozpromieniony wzrok podniosła ku niemu. Serce jej zabiło gwałtownie; nadeszła nareszcie upragniona chwila. Nie mówiąc nic, z uśmiechem wskazała ręką na ścianę, gdzie wisiał nowy obraz w ramach złotych. W tej chwili lampa poruszona przypadkiem, zadrgała, a promienie światła zamigotały na płótnie, że się zdawało, iż rozkoszna Włoszka tańczy rzeczywiście.

Lorenzo spojrział, parę kroków postąpił i stanął jak wryty, osłupiały, nie wierząc oczom własnym.

To niepodobna, to musiało być chyba złudzenie! Na miejscu Rafaelowskiej Madonny, jakaś tańcząca Włoszka, jakieś niezgrabne małowidło w połączonych ramach!



Rzucił się naprzód jak oszalały.

— Co to jest? — krzyknął.

Amina pojąć nie mogła znaczenia tego okrzyku. Nie był to z pewnością okrzyk radości, lecz tej rozpacz, która go wywołała, biedna kobieta zgłębić nie była w stanie. Drżąc, powstała z miejsca:

— To ja... — szepnęła — kupiłam na miejsce...

Nie mogła dokończyć. W tej chwili Lorenzo zwrócił się ku niej, a jedno przelotne spojrzenie na twarz jego wystarczyło, by ją przeniknąć śmiertelną trwogą. Taką nie widziała jej Amina jeszcze nigdy. Spazmatycznie wykrzywiona, szarpana kurczowemi drganiem, patrzyła na nią oczyma ciskającemi płomienie gniewu. Gwałtownym ruchem Lorenzo pochwycił Aminę za ramię.

— To jakieś bezecne szyderstwo! — zawołał nieprzytomny prawie. — Gdzie tamten obraz? spaliłaś go? zniszczyłaś?

Amina pod naciskiem ręki Lorenza, który, powtarzając pytania, szarpał jej ramię z wściekłością, ugięła się ku ziemi i niezdolna słowa przemówić, padła przed nim na kolana.

Nie mogąc się doczekać odpowiedzi a

z milczenia wnosząc, że Madonna zniszczona, Lorenzo do reszty stracił przytomność.

Rzucił się znowu ku obrazowi nowemu, oderwał go wraz z hakiem ze ściany, cisnął na ziemię, nogami deptał, darł płótno rękami i druzgotał ramy... Nie mówiąc nic, dyszał chrypliwie — był pijany z gniewu.

— Lorenzo! Lorenzo! — szeptała błagalnie Amina, czołgając się u stóp męża, ale on nie słyszał tego błagania i nie widział twarzy biednej Aminy, trupio bladej z przerażenia i bólu. Poszarpawszy na szmaty nieszczęsne malowidło, Lorenzo jakby w obawie, aby się jeszcze bardziej nie uniósł, nie patrząc na żonę, która leżała bez ruchu, porwał czapkę i pędem wybiegł z domu... Ostatek sił zebrawszy, Amina powstała, i chciała podążyć za nim, ale u progu siły ją zawiodły... Zachwiała się i z jękiem upadła na ziemię w omdleniu.

Jak długo Lorenzo tej nocy błdził nad morzem, on sam powiedziećby nie umiał; chłodny powiew wiatru, zwiastujący brzask dzienny, otrzeźwił go dopiero. Teraz przypomniał sobie wszystkie szczegóły dnia wczorajszego; stanęła przed nim wybladła, zalekniona postać Aminy, tym lękiem i tą bladeścią skarżąc się bezmownie na niedolę i

opuszczenie swoje. Przypomniął sobie, że zostawił ją samą, w rozpaczy, niemal w omadleniu.

— Może umarła... — pomyślał.

Pod grozą przypuszczenia tego zaczął biedz co tchu ku domowi. Ale im bardziej się doń zbliżał, tem większa przejmowała go trwoga. Jak on ją zastanie?.. Co powie?.. jeśli Amina żyje, jak ją przebłaga za uniesienie szalone, którego się wstydził?.. Nie, on naprawdę jest szaleńcem! Cóż ona winna, ta nieszczęśliwa kobieta, że pojąć nie jest w stanie jego artystycznych pragnień? Co winna, że nie zrozumiała, iż do obrazu Mădonny przywiązywał nieocenioną wartość niezatartego w sercu wspomnienia? Wszak jej nigdy nie mówił, że ta Madonna była jakby żywym wizerunkiem kobiety, którą niegdyś kochał, którą kochał zawsze, pierwszą i niewygasłą miłością?

Stanął u progu domu, ale wejść się lękał. Przysunął się ostrożnie ku oknu i spojrzął do wnętrza.

Lampa dogasała, migocącym płomieniem od czasu do czasu oświetlając pokój. Na stole stało nietknięte jedzenie, wczoraj przygotowane i próżna butelka z wina, które wieczorem wypił; na ziemi walały się szczątki po-

dartego malowidła i leżało przewrócone krzesło. Ale gdzie była Amina? Wzrok jego nie dostrzegł jej nigdzie w pomroku, a gasnący płomień lampy wydobywał się coraz rzadziej i coraz słabszy, aż wreszcie zamigotał pospiesznie kilka razy i zagaśł zupełnie...

Przerażony, bez tchu prawie, Lorenzo wpadł do wnętrza domu. Potykając się o sprzęty, doszedł do łóża... było puste! Schylił się ku ziemi, ukląkł, wyciągniętymi rękami szukał wszędzie, w każdym zakątku, — daremnie!...

— Amino! Amino! — wołał stłumionym głosem, który się łamał w piersi, uciśnionej okropnem przeczuciem.

Naraz przypomniał sobie, że ma zapałki i latarkę. Powstał tedy z ziemi, latarkę zapalił i obejrzał się dokoła. Aminy w pokoju nie było... Ujrzał wszakże drzwi do kuchni otwarte — może się tam schroniła? Z nieopisaną trwogą rzucił się naprzód i stanawszy na progu, skierował światło latarki ku wnętrzu małej kuchenki.

Na ziemi, w półleżącej postawie, jedno ramię i głowę wsparłszy na krześle drewnianem, spoczywała Amina. Zdawała się uspioną — bez ruchu... Na jej kolanach leżał obraz,

dobrze Lorenzowi znany, przedarty dziś rano wizerunek Rafaelowskiej Madonny... Objęła go obiema rękami i tak nad nim usnęła, płacząc... Przeszedłszy snąc do siebie z pierwszego omdlenia, zaczęła się tutaj, aby wy dostać obraz Lorenzowi drogi i pokazać mu go zaraz, gdy przyjdzie... To wszystko w jednej chwili zrozumiał Lorenzo i ze łzami głębokiego rozrzewnienia w oczach, rzucił się ku Aminie, upadł przed nią na kolana, całował zimne jej ręce i usta, pocałunkami temi cucąc do życia...

Amina otworzyła oczy. Wzdrygnęła się, jak gdyby budząc się ze snu ciężkiego, lecz ujrawszy przed sobą klęczącego Lorenza, rozpromieniła się nagle uśmiechem szczęścia...

— To ty Lorenzo! o mój najdroższy ukochany, jedyny!

I oba ramiona zarzuciła mu na szyję, a on ją objął wpół, podniósł z ziemi, jak dziecko zaniósł do pokoju i do snu ułożył.

O tem zajściu nigdy już później mowy między małżonkami nie było. Naprawiony obraz Madonny wisiał na swem dawnem miejscu, a Lorenzo odtąd przez długi czas był bardzo dobrym i czułym dla żony.

W kilka miesięcy potem została ona po



raz pierwszy matką. Przyszła na świat córka, podnosząc szczęście Aminy do szczytu. Szczęście upiększając, to też żona Lorenza za czasów najpierwszej młodości, nie odznaczająca się urodą, nabrała teraz niezwykłego wdzięku; jaśniała zdrowiem i wewnętrzną duszy pogodą. Macierzyństwo, które dla pięknych Włosek bywa zwykle kresem urody, Amine nie odejęło ani świeżości płci, ani popsuło jej bujnych kształtów.

W atmosferze szczęścia piękniała dziwnie ta kobieta, ale też rychło zapomniała, że każde szczęście ma kres na tej ziemi, że mu nigdy zbyt ufać nie należy, lecz pracować nad niem i czuwać trzeba, jak nad wątłą, egzotyczną rośliną.

Lat parę przeszło wszakże spokojnie. Wszyscy nadziwić się nie mogli zmianie, jaka zaszła w usposobieniu Lorenza. Zdarzały się teraz nawet chwile, że był wesoły; dawnych artystycznych podróży nie odbywał wcale, a nawet przechadzek samotnych nad morzem zaniechał. Uspokoił się widocznie.

Czy był szczęśliwy? Mówiono o nim powszechnie, że miał już taką naturę, która nigdy szczęścia odczuć nie była zdolną.

W pierwszych czasach drażniły go namiętne uniesienia Aminy, ale córka rybaka



była to jedna z tych pospolitych natur, które w domowym pożyciu stygną rychło. Samo przekonanie, że ukochany jej Lorenzo należał do niej wyłącznie, że związany z nią jest podwójnym węzłem małżeństwa i ojcowstwa, że go nikt jej odebrać nie zdoła, że może być o niego zupełnie spokojną — samo to przekonanie ostudziło z czasem porywy Aminy.

Czułość jej przeniosła się teraz na córkę, a potem na syna, który w parę lat później na świat przyszedł. Amina oddała się dzieciom z całym poświęceniem, z całym zapalem macierzyńskiej miłości, nie zwracając uwagi, że mimowolnie zapomina nieraz o potrzebach męża. Dawna o niego troskliwość, dawne starania o swoją urodę, o schludność mieszkania, coraz bardziej ustępowały miejsca zajęciom około dzieci. Amina stała się wkrótce zupełnie podobną do innych kobiet tej samej sfery. Lorenzo znajdował ją nieraz brudną, w podartej bieliźnie, z nieumytemi rękami. Z początku starał się łagodnie zwracać na to jej uwagę, lecz gdy to nie skutkowało, mówić zaprzestał i z coraz większą niechęcią przychodził do domu, gdzie go witała niekochana żona dość obojętnem pozdrowieniem a dzieci piskliwym wrzaskiem.

To co dla Aminy było szczytem szczęścia, dla Lorenza stało się jednym więcej do zniechęcenia powodem.

On niestety, nie odczuwał w całej pełni rozkoszy ojcowstwa. Kochał dzieci, gdy już na świat przyszły, ale nie miał w sobie tego uczucia, które pragnie odrodzenia się w potomstwie i cieszy się niem gorąco. Nawet często z utęsknieniem wspominał o czasach, gdy był sam z Aminą, gdy mógł mówić swobodnie, gdy dom jego był taki cichy, samotny, spokojny. Krzyk dzieci go drażnił, a troska o ich los przyszły napełniała niepokojem. Zresztą w miarę jak Amina swoim zachowaniem się odsuwała go od siebie, w miarę jak stygło to jakieś wątle dla niej w jego sercu uczucie — i dzieci stawały mu się tem nieznośniejszemi. Dostrzegał w nich instynkta i pospolitą naturę matki i to go ostatecznie zrażało.

A jednak w duszy jego był nadmiar uczucia. Nie kochał żony i dzieci nie kochał, a czuł wielką potrzebę miłości. Bywały chwile, że refleksyą usiłował się zmusić do rodzinnego życia; zazdrościł innym, którzy w niem widzieli szczyt szczęścia, którzy potrafili w czterech ścianach domu znaleźć rozkosze zdolne całkowicie zapełnić serce. Widział in-

nych mężów i ojców, żyjących przykładnie, uśmiechniętych, swobodnych. Jak im dobrze być musiało w tej atmosferze spokoju! Dlaczego on nie mógł znaleźć zadowolenia w tych samych życia warunkach? dlaczego Amina stokroć lepsza od innych, wierna żona, pełna poświęcenia matka, wydawała mu się coraz pospolitszą? dlaczego uciekał już teraz od jej towarzystwa, nie wychodził z nią prawie nigdy razem? dlaczego dzieci jego, ładne i miłe, zdawały mu się tak uprzykrzone, i nieznośne?... Przecież czas już przytłumić burzę miotającą sercem... czas powiedzieć sobie młodość minęła, a z nią minąć powinny i szaleństwa. Siła wieku — lat czterdzieści — to pora obowiązków i pracy, pora rzeczywistości a nie marzeń złudnych. Siły najwięcej, toż najwięcej także zadań i trudów, a podjąć je trzeba i spełnić wszystkie, bez wahania i kompromisów z sumieniem...

Tak sobie mówił Lorenzo i zdawało mu się czasem, że siebie samego przekonał. Wówczas z zamkniętymi oczami wracał do codziennego życia, z gorączkowym jakimś zapalem dzieci pieścił, nosił na rękach, na przechadzki prowadził a zarabiał dużo, bardzo dużo, by Aminie na piękne suknie starczyło...

Ale Amina sukni tych nosić nie chciała; zrobiła się nad wyraz wygodną, lubiła suknie stare, bardzo wolne, chociażby nawet brudne i podarte. Była wszakże wdzięczną Lorenzowi za pamięć, dziękowała mu z wylaniem, a widząc go takim dobrym, łagodnym, pełnym miłości dla dzieci, nie umiała ukryć swego zachwyty i pierwsza zawsze zwracała uwagę na tę zmianę w usposobieniu męża, każąc go podziwiać innym.

— Co się tobie stało — pytała — żeś tak dzieci pokochał?

— Patrzcie — mówiła do matki — jaki z Lorenza ojciec przykładny, jak dzieci pieści, jaki dobry dla nich... na rękach je nosi!...

Taka jedna uwaga wystarczała zwykle, aby ostudzić sztuczny zapach Lorenza. Pieszczone dziecko odsuwał wnet od siebie, posepniał i wreszcie z domu uciekał.

Amina od dawna już straciła dar intuicyjnego odgadywania myśli i chęci męża. Nie rozumiała go teraz wcale, a cała dzieciom oddana, nie widziała, że każdym ruchem, każdym niemal słowem zraża i oddala go od siebie. Lorenzo nie mówił jej już nic, nie robił jej żadnych uwag lub przedstawień, — za-

milkł pochmurnie i znosił to życie z jakąś na pozór apatją, rezygnacją bezduszną.

— A gdy tak już mi sędzono — myślał — niech się stanie! Przewalczyłem przecież w życiu już wiele... wyrzec się musiałem domu, rodziny, dostatków, serca własnego zaprzeć się musiałem, czyżbym nie zdołał dalej unieść przyjętego na siebie ciężaru? Kończy się przecież wszystko na świecie i to życie mizerne się skończy!

Ale takie chwile apatyi krócej jeszcze trwały niż usiłowania powrotu do rodzinnego życia. Jedna myśl przelotna, chwilowe zapomnienie się w zadumie nad morzem burzyły ze szczętem cały gmach refleksyj. Jakieś dziwne przecucie mówiło mu w duszy, że to być nie może kres życia, że czeka go jeszcze wielka rozkosz i wielka walka, że przyszłość przyniesie mu jakąś zmianę dziwną, nieokreśloną, pełną upojeń i szału, pełną szczęścia i łez...

Do zmiany tej wyciągał oba ramiona, ognisty wzrok wyteżał w dal mglistą, która zdawała mu się tą przyszłością tajemniczą, kryjącą jego życia zagadkę — i czekał.

Raz — było to już późnym wieczorem — Lorenzo przechadzał się samotnie nad morzem. Zamyślony głęboko szedł pustą ścieżką



wiodącą ku Casamiccioli przez ogrody i pola. Wieczór był letni, cichy, pogodny; niebo wyiskrzzone gwiazdami odbijało się w morzu, które drżąc z lekka od powiewu wiatru, wzma gało jeszcze tę światłość niebieską, mnożąc gwiazdy w odbiciu promiennem na swej falistej powierzchni.

Od morza też płynął podmuch ciepły, łagodny, upajający..... i jakaś mgła srebrzysta podnosiła się nad niem, unosiła w powietrze i otaczała zwolna Lorenza odurzającym czarem.

On szedł ciągle dalej, w tej atmosferze blasków i mgły, szedł zwolna ale bezustannie, party niezwalczoną siłą naprzód — ku przeznaczeniu swemu...

Zapomniał, gdzie jest i co się z nim dzieje; zapomniał o Aminie i dzieciach, o całej rzeczywistości życia, którą tam za sobą, po za tą mgłą i blaskami zostawił i zdawało mu się, że jest innym, dawnym, wcale niepodobnym do tego, który był rybakiem w Casamiccioli, wożącym turystów barką na morze.

Zdało mu się, że ta bezbrzeżna przestrzeń morska, falująca w blaskach gwieździstych, to nie bezdenna a zimna otchłań wodna, ale żywy step ukraiński, pełen barw, woni i kwie-



cia, że te fale poruszające się zwolna, to pęki burzanów lub kłosa zboża kłaniające się za wiatru powiewem, że ten miarowy, stłumiony oddech morza, to dalekie echo głosów ludzkich i współsenna mowa skrzydlatych mieszkalców stepu, zrywających się do lotu w noc jasną....

I jego dusza także zerwała się do lotu.

Marzył jak dawniej, marzył o przeszłości swojej, a myślą zabiegał w przyszłość, która mu się zdawała opromienioną wszelkimi barwami niedoznanego szczęścia.

Nagle przystanął. Ścieżka, którą szedł dotychczas, kończyła się ogrodem, otaczającym jedną z najpiękniejszych will Casamiccioli..... Parterowe mieszkanie willi oświetlone było w tej chwili rześcicie; z otwartych na oścież drzwi szklanych padała smuga promieni jasnych na klomby, drzewa i krzewy -i przez nie dochodziła aż do Lorenza. Wnętrze saloniku widzieć mógł wybornie: naprzeciw stało otwarte pianino z porzrzućanemi nutami, obok stolik książkami założony i wygodna otomana, narzucona miękkim dywanem, który pokrywał całą posadzkę pokoju. Wielka lampa stojąca na stoliku, przyćmiona była pasową lekką osłoną, w skutek czego

całe wnętrze saloniku zdawało się jakąś ogni-  
stą otchłanią, pełną ciepła, odurzającej woni  
i czarów.

Na tem tle jaskrawem zarysowywała się  
wyraźnie stojąca na werandzie postać kobieca.  
W białą powiewną suknię ubrana, oparła  
ręce na balustradzie i nieruchomo w dal pa-  
trzyła.

Naprzeciw niej stał Lorenzo i ogniste swe  
spojrzenie utkwiał w tę kobietę, która mu się  
zdała niezmiernym zjawiskiem, taka biała i  
powiewna na tem tle purpurowem.

Rysów jej nie dostrzegając wcale, ale się do-  
myślał, że musiała być dziwnie piękną; było  
niepodobieństwem, aby tej smukłej, wyniosłej  
postaci nie odpowiadały rysy twarzy... Musiała  
być smutną, bo czemużby tak patrzyła w dal  
nieruchomo, w zadumie. Nagle odjęła ręce od  
balustrady i przycisnęła je do piersi, z której  
mimowolnie wyrwało się ciche westchnienie,  
a potem słowa szeptane:

Na dalszą mękę — z tych ziemskich katuszy —  
Żywej nie pragnę żadnej wynieść duszy  
Miłości nie ma w świecie — ni za światem,  
Wszędzie szyderstwo, w którą pójdziesz stronę,  
Jak nieskończoność takie nieskończone...

Byłóż to złudzenie, czy rzeczywistość?  
Od lat wielu Lorenzo nie słyszał tych wierszy

i nigdy jeszcze mowa jego rodzinna zasłysza-  
na czasem przypadkiem, nie wydała mu się  
tak harmonijnie piękną...

Przysunął się bliżej do furtki zamykającej  
ogród.....

Spróbował — była otwartą.... Z cicha,  
ostrożnie, próg przekroczył i osunął się na  
kolana wśród krzewów. Stąd będzie ją mógł  
lepiej widzieć... Jakaś nieprzemierzona siła  
ciągnęła go do tej ognistej otchłani, z której  
wynurzała się biała postać niewieścia.

Ale ta postać już zniknęła z werandy.  
Widział ją teraz w saloniku przechadzającą  
się wolnym krokiem. Wzięła książkę ze sto-  
lika i przystanąwszy, przerzucała kartki od  
niechcenia: ale wkrótce odrzuciła ją tak sil-  
nie, że spadła na otomanę, a z niej stoczyła  
się na ziemię. Usiadła przy pianinie i ude-  
rzyła w klawisze..... Ponure tony pogrzebo-  
wego marsza Chopina ozwały się i popłynęły  
rozpaczliwą skargą w dal...

Nagle tony urwały się i scichły. Młoda  
kobieta powstała, białe obnażone ramiona,  
wychodzące z szerokich rękawów sukni, pod-  
niosła do góry, jakby przeciągając się w znu-  
żeniu i stała tak chwilę zwrócona twarzą ku  
Lorenzowi, cudowna w tej postawie: poety-

czna i zmysłowo wabiąca swoim znużeniem, tęskna i rozkoszna zazadem.

I znowu wyszła na werandę, jakby przyciągana magnetycznem spojrzeniem Lorenza, który patrzył wciąż na nią, pragnąc rysy rozpoznać w jaskrawem, otaczającym ją półświetle. I zdało mu się, że te rysy dostrzeżga, że widzi oczy ciemne, które iskrzyły się jak gwiazdy i rozszerzoną źrenicą patrzyły przed siebie, że widzi usta w półotwarte uśmiechem promiennym, pociągające ku sobie, zmysłowe, pragnące pocałunku, aby go oddać namiętnie...

Powoli, młoda kobieta zeszła po marmurowych schodach z werandy; na głowę zarzuciwszy szal lekki, przeszła przez ogród i furtkę, kierując się ku morzu.

Lorenzo już biegł przed nią, domyślając się zamiaru pięknej nieznajomej. Biegł aż do miejsca, w którym obok innych łodzi, kołysała się także na łańcuchu do pomostu przyczepiona, łódź jego: »Iskierka«. Odpiął łańcuchy, rozwinął żagle i szybko puścił się na powrót na spotkanie nieznajomej. Zdala ją spostrzegł idącą już spieszniej — i nic nie mówiąc, jakby był pewnym tego, co nastąpić miało, przybił łódź do brzegu w miejscu, z którego łatwo na pokład dostać się było

można. Wyskoczył na brzeg i czekał. Czekał niedługo. Piękna nieznajoma zbliżyła się szybko ku niemu i rzekła tylko:

— *Al mare.*

*Si signora* — odparł Lorenzo.

Wskoczył napowrót do łodzi i wyciągnął ku niej rękę. Mała jak pięścidełko, miękka rączka spoczęła w jego dłoni i oparła się na niej mocno. Za chwilę nieznajoma była już w łodzi, która szybko z rozwiniętymi żaglami podążyła w nieskończoną przestrzeń mglistą.

Lorenzo siadł u steru naprzeciw nieznajomej i płomienistym wzrokiem patrzył na nią. Ona zdawała się go nie widzieć, cała zatopiona w swych dumaniach i zapatrzona w przestrzeń. Wkrótce Casamicciola znikła w oddaleniu; brzegu już nie widać w pomroku..... łódź chyżo leci naprzód w blaskach księżyca, który w tej chwili wypłynął na niebo.

Lorenzo widział teraz dobrze jej rysy. Były równie cudowne jak postać cała; może nie piękne klasycznie ale pełne dziwnego, czarującego wyrazu. W ciemnych oczach, w tej chwili ku niebu wzniesionych, był zachwyt anielski, czysty, upojenie nieziemskie: za to w nozdrzach, które rozszerzały się nieco pod



wpływem wzruszenia, w półotwartych ustach uśmiechniętych ku jakimś marzeniom czy złudzeniom wyobraźni, przejawiała się w całej potędze rozkosz zmysłowa. Zdawało się, że te usta jeszcze wilgotne od pocałunku, że rączka drobne, wyciągające się jakby mimowolnie w zachwycie ku czarownej przestrzeni, chcą chwycić w objęcia niewidzialne jakieś zjawisko...

Nagle odwróciła głowę i spotkała się z oczami Lorenza utkwionemi w nią bystro, jakby się od jej postaci oderwać nie mogły, a mieniaćemi się w cieniach fosforycznym blaskiem.

Lęk jakiś ją przejął. Przypomniała sobie, że ten rybak jakby czekał na nią, że łódź jego stała w niezwykłym miejscu i nagle przyszło jej na myśl, że wśród tej wodnej pustyni znajduje się w mocy tego człowieka, który szalonym, dziwnym swym wzrokiem, na wskrós ją przeszywał.

Powstała nagle z miejsca i głosem nieco drżącym ale stanowczo:

— Wracajmy! — rzekła.

Lorenzo wstał także. Żal mu się zrobiło tej chwili, która zapadała już w przeszłość. Kto wie, czy podobna powtórzy się jeszcze



w życiu?... Kto wie, czy to wrażenie, jakie w tym momencie odczuwa, wrażenie upajające, rozkoszne, nie zniknie do jutra? kto wie, czy spotkawszy nazajutrz tę kobietę, odnajdzie ją taką, jaką mu się teraz przedstawia, taką niezmierną a pociągającą, eteryczną a ponętą, taką świętą i taką zmysłową zarazem.

Stał i patrzył na nią, jakby nie słysząc rozkazu.

Och! jeszcze jedna, jedna chwila upojenia! To już niewątpliwie ostatnie w życiu, a zostanie po nim promienny ślad w duszy na resztę dni szarych, jesiennych. Gdyby z tych ust czarownych, co się przed chwilą uśmiechały tak upajająco, rozkosznie, gdyby wyszło choć jedno jeszcze słowo i to w tej mowie, jaką przed chwilą słyszał..

Szał wzięty w pospiechu i zarzucony na głowę, zsunął się na jej ramiona, i postać jej, obłana księżycowym blaskiem, wysoka, smukła, wyniosła, ukazała się Lorenzowi w całej świetności swych wdzięków.

Twarz jej zmieniła nagle wyraz. Białe, rozumne czoło, okolone ciemnymi włosami, zmarszczyło się groźnie, brwi się ściągnęły nad oczami, które już nie z zachwytem, ale jakby

z oburzeniem i trwogą patrzyły przed siebie; w półotwarte usta drżały..

— Wracajmy natychmiast! — powtórzyła po chwili raz jeszcze rozkazująco.

Lorenzo poskoczył ku rozwiniętym żaglom, aby zmienić kierunek, lecz ona nie zrozumiawszy intencji rybaka, nagłością jego ruchu zalekniona, zachwiała się i krzyknęła.

Silne ramię Lorenza objęło ją w pól i przycisnęło do piersi.

— Nie lękaj się, pani! — przemówił mimowolnie po polsku — nie lękaj się niczego... za pól godziny będziemy z powrotem.

Głos jego drżał ze wzruszenia, a wzrok płomienisty wciąż na nią patrzył. Pod siłą tego wzroku oczy jej przymknęły się, jakby olśnione magnetycznym blaskiem... nie miała siły wyrwać się z jego objęć, nie miała siły krzyknąć i odepchnąć zuchwałego rybaka..

Trwało to jedno mgnienie oka, jedną sekundę. Po chwili, oprzytomniawszy, wysunęła się zręcznie z ramion Lorenza i usiadła na dawnym miejscu.

Łódź skierowana ku Casamiccioli, mknęła chyżo z powrotem. Lorenzo usiadł znowu u steru i już nie patrzył na nią; ona za to kilkakrotnie spozierała nań ukradkiem.

Dziwna rzecz! ten rybak mówił po polsku... głos jego był jakiś miękki, melodyjny, rzewny; to nie głos prostego rybaka. I te oczy, takie piękne, wymowne, błyszczące... i cała postać niezwykła... Dziwna rzecz!

I nagle, nie zastanowiwszy się nad tem, co czyni, spytała:

— Jesteś Polakiem?... jak się nazywasz?

Lorenzo podniósł głowę i spojrzał chmurnie.

— Tak pani — odrzekł — jestem Polakiem... nazywam się Lorenzo.

— Lorenzo! to imię nie polskie, a nazwisko?

— Nazwisko rzuciłem daleko... za ciężkie było do noszenia, a ja pragnąłem swobody — rybaka....

Uśmiechnął się gorzko.

Ona spostrzegła uśmiech i odwróciła głowę... W niepojęty sposób zainteresował ją ten człowiek... Dlaczego nie chce wymienić swego nazwiska? Może to zwykły wybieg, aby tajemniczością podrażnić ciekawość, wywołać współczucie i hojniejszą uzyskać zapłatę... Ale nie! Cała postać i twarz rybaka przeczyły takiemu posądzeniu — zresztą głos jego był taki dziwnie rzewny, melodyjny, z głębi duszy płynący, a taki głos nie kłamie...

Długi czas milczeli oboje.

Tymczasem »Iskierka« przybiła do brzegu obok pomostu. Lorenzo pierwszy wyskoczył, podał jej rękę, a gdy wysiadła, rzekł:

— Już późno... odprowadzę panią do willi Aurora...

Skąd mógł wiedzieć, gdzie ona mieszka? Zdziwiło ją to wielce i znowu zaniepokoiło. Ale nie odpowiedziała przeczeniem, skinęła owszem głową, okryła się szalem, i poszła naprzód, milcząc. Obok niej postępował Lorenzo ani słowem nie przerywając tej ciszy. Tak doszli do willi. Przez drzwi parterowe, na oścież otwarte, biegła smuga czerwonego światła od lampy, wiła się wśród klombów i krzewów ogrodu i zbladłym cieniem padała na drogę, wiodącą ku willi. Naprzeciw tych drzwi, na tle purpurowem światła, ona się zatrzymała. W dłoni trzymała monetę dziesięciofrankową, którą chciała wynagrodzić Lorenza. Już wyciągała rękę — i wstrzymała się nagle.

On stał naprzeciw niej z głową spuszczoną na piersi. Dostrzegł tę monetę w jej ręku, zrozumiał ruch i struchlał... On by miał brać zapłatę od niej! to okropne... Wydała mu się potworną ta nagroda pieniężna, za tak wielką, a może i ostatnią w życiu chwilę upojenia... Czuł,

że dana i przyjęta zapłata, stworzy między nią a nim przepaść niezarównaną nigdy... Odtąd on swoich oczu na nią podnieśćby się nie ośmielił.

— Lorenzo... — prawie szeptem, nieśmiało przemówiła kobieta, i wyciągnęła rękę, w której trzymała pieniądz.

Rybak wzdrygnął się cały, podniósł głowę, zbliżył się ku niej, pochylił do ucha i rzekł cicho, bardzo cicho...

— Nazywam się Roger S...

Wymienił nazwisko dźwięczne, znane powszechnie i znane dobrze pięknej kobiecie. Wymienił je — i jakby zawstydzony zwrócił się nagle i prawie pędem oddalił.

Ona została tak, zadziwiona bardzo, z dłonią wyciągniętą, z której pieniądz wypadł na ziemię. Wyteżonym wzrokiem patrzyła za odchodzącym Lorenzem, aż zniknął w pomroce, poczem powolnie, z głową spuszczoną, w zamyśleniu głębokim, przeszła przez ogród i wszedłszy na werandę, oparła się znów jak przedtem na balustradzie obie-  
ma rękami.

Lekki powiew wiatru przynosił dalekie echa głosów ludzkich... Na drodze, w oddali, mknął chyżo cień jakiś — to Lorenzo. I nagle jej uszu doszła tęskna nuta piosnki ukraińskiej:



U susida chata bila  
 U susida žinka myła  
 A n mene ni chatynki,  
 Ani szczastia. . . .

Reszta słów i nuty zginęły w oddaleniu.

— *Ani žinki* — dokończyła. — Czy Lorenzo wolny, czy...

To niedokończone pytanie zabrzmiało w jej duszy jakimś bolesnym dysonansem.

A cóż ją to obchodzić mogło? Usta zaśmiały się na samą myśl pustą. Cóż ją w ogóle mógł obchodzić rybak jakiś, choćby się nazywał Roger S....? Nazwisko było dość znane; dla niej dziwnie sympatyczne. Słyszała nawet niegdyś o ruinie majątkowej tej rodziny i o zniknięciu nagłem jednego z jej członków. To zniknięcie połączone było z jakąś romantyczną historią, której nie pamięta... Cóż ją to wreszcie obchodzi!

Weszła do saloniku. Jaskrawe światło lampy ją raziło... zdjęła pasową osłonę i zarzuciła inną, ciemniejszą... W półcieniu będzie dobrze marzyć. Położyła się na otomanie, ramiona podniosła do góry i wyciągnęła się leniwie.

— Ach, to życie! to życie! jakie ono dziwnie nużące. Ta tęsknota, to wieczyste pragnienie czegoś nieokreślonego, co ludzie nazwali



»szczęściem«, a co istnieje tylko w bujnej wyobraźni... staje się prawdziwą torturą!

Nuta zasłyszanej dumki ukraińskiej zadźwięczała jej w uchu:

A u mene ni chatynki

Ani szczęścia . . . .

I u niej nie było szczęścia, to pewna. Przed laty kilku marzyła o niem. Życie śmiało się do niej jaskrawemi barwami tęczy; miała zdaje się wszystko, co stanowić może szczęście. Kochała pierwszą, czystą miłością, kochała bez wahania, bez obawy zdrady, z całą ufnością i szczerością dziewiczego serca. On był także młody, piękny, poetyczny... Ale złudzenie trwało krótką chwilę... Nagle zrobiła się w koło niej straszna pustka; znikło wszystko jak fata morgana; jego poezya — okazała się wyrachowaniem; jego miłość — spekulacją. Nadarzył się lepszy interes i... nastąpiło zerwanie... Nie umarła z miłości, ale zawód ten wyrzył się w jej duszy niezatartem piętnem.

Czyż można wierzyć uczuciom budzącym się w sercu? Wszystko jest tylko chwila, złudzeniem, które prędzej lub później przemija! Przebolawszy, wzięła się gorączkowo do pracy nad sobą, nad swoim umysłem, pełnym

niepospolitych zdolności, nad talentem do malarstwa, który rokował świetną przyszłość.

Wkrótce też imię jej — Stella — stało się znanem powszechnie. Młodość i uroda ułatwiały jej wiele; rzeczywisty talent zdobywał nawet niechętnych... Poszła tedy artystyczną drogą; poszła z musu, z konieczności, bez zapału. O, z jakąż rozkoszą wyrzekłaby się wszelkich tryumfów zdobywanych pędzlem, byle mieć ognisko własne, być żoną kochającą i kochaną, być matką!

A może to pragnienie, to także ułuda, która pierzchnęłaby rychło, gdyby rzecz pożądana zmieniała się w rzeczywistość?... Być może! — ale czyż życie całe nie jest daremnym gonieniem za niepochwytą marą szczęścia?

Westchnęła. Ten tylko znalazł spokój, kto sobie wcześniej powiedzieć umiał, że daremnie goni i zaniechał wyścigu.

Toż od pewnego czasu serce Stelli jakby zamarło; zadawała się chwilą, nie szuka wrażeń; myśl jej nie bieży w przyszłość, nie widzi w niej ani ogniska rodzinnego, ani uczuć i rozkoszy matki i żony. Pessimizm ją ogarnął i płynąca zeń apatya. To usposobienie cięży jej czasem jak zmora, ugniata pierś, oddech tłumi. O, gdyby ją kto z pessimizmu

uleczył, natchnął dawną wiarą, obudził zamarłe nadzieje!...

Ach, to życie! jakie ono nużące!... jak bardzo nużące!...

Wyciągnęła znowu ramiona do góry i z pewną przyjemnością spojrzała na nie. Były rzeczywiście prześliczne: jakby utoczone... a rączęta jak u dziecka, malutkie, różowe, dziwnie miękkie.

Powstała, zrzuciła ciemną osłonę z lampy, i zbliżyła się do wielkiego zwierciadła, które od stóp do głów jej piękną odbijało postać.

— Ta uroda — myślała — to może jedyna realna wartość w mojem życiu... Bądź co bądź idę z nią w świat śmiało, pewna, że wszędzie spotkam uśmiech przychylny i dłonie... bratnie.

Uśmiechnęła się.

— Och, tych bratnich dłoni, może mi aż nadto. Paluszek mię boli, tyle dziś listów pisać musiałam do »braci« w rozmaitych częściach świata. Ale to dla mnie nie straszne. Nie boję się złudzeń, bo mię od nich strzeże pancierz pesymizmu. Ciężki on, ale bezpieczny.

Odwróciła się od zwierciadła i znów zamysliła smutnie.

— Mój Boże, tyle w mem sercu było

czułości, tyle wiary, tyle uczucia i to wszystko poszło na marne.

Łzy zakręciły się w jej ślicznych oczętach. Załamała białe dłonie i jakby jej duszno było w ścianach pokoju, wyszła znów na werandę. Ciemność i cisza zalegały dokoła. Księżyc już zaszedł i ciszę przerywał tylko monotony szum morza. Stella stała tak długo, nieruchomo, ze wzrokiem wyteżonym w nieprzebitą ciemność nocy.

I znów w jej myśli przesunęła się postać rybaka o płomienistym wzroku; zdało się jej, że głos jego, rzewny, cichy, melodyjny, powtarza jej... dawno, w pierwszych dniach młodości słyszane wyrazy, które kołysały sercem rozkosznie.

Lorenzo późno w noc dopiero powrócił do domu i prawie do rana oka zmrużyć nie mógł. Gdy wreszcie zasnął zmęczony, obudził go wnet krzyk dzieci i krzątanie się Aminy około gospodarstwa... Wstał chmurny, na żonę i dzieci nie spojrział i uciekł co rychlej od tej rzeczywistości, która tak brutalnie rozpraszała jego marzenia. Gdybyż przynajmniej ją zobaczyć!... Napróżno wszakże krążył około willi Aurory. Dzień był skwarny; Stella siedziała w pokoju zaciemnionym zupełnie i nie wyszła

wcale. Wieczorem musiał się z nią rozminąć, bo nadaremnie także czekał do późna ze swą barką na wczorajszym miejscu. Od sąsiadów willi Aurory dowiedział się tylko jej imienia... i że piękna Stella jest malarką.

To go uradowało niezmiernie.

— Przeczujęm, że jest artystką — myślał — a musi mieć talent niepospolity, prawdziwą iskrę bożą.

Na trzeci dzień dopiero od pierwszego poznania spotkał ją wieczorem idącą spiesźnie drożyną nad morzem.

Uklonił się i przystanął.

— A to ty, Lorenzo! — zawołała Stella wesoło.

Mówiła do niego »ty« bez wahania. Wszak był tylko rybakiem! Pierwsze wrażenie minęło i zbladło; ledwie pamiętała w tej chwili o rzeczywistym jego nazwisku i nie przyszło jej na myśl, że ten człowiek był równy jej urodzeniem, tylko nieszczęśliwszy od niej.

— Idę — mówiła dalej — wyprawić list ważny. A gdy wrócę, może pojedziemy na morze!...

Lorenzo wskazał ręką na schmurzone nad zachodem niebo.

— Pogoda niepewna — rzekł. — Jeśli pani chcesz jechać na morze, to radzę uczynić to zaraz. Mamy pół godziny, godzinę może czasu przed sobą. Potem nadejdzie burza... Ja list oddam sam, dzisiaj, jeśli pani powierzyć mi go raczy...

Stella zawahała się, ale po chwili oddając list:

— Dobrze — odrzekła — jedźmy zaraz!...  
I pojechali.

Słońce już zaszło. Nad zachodem kłębiły się czarne chmury, zajmując coraz większą przestrzeń. Morze było spokojne, ale jak gdyby drżące; małe, drobne fale podnosiły się i wnet znikały, białą rozpływając się pianą.

Lorenzo siedział milczący u steru, trzymając w ręku zaadresowaną kopertę. Wyczytał na niej nazwisko dobrze znane znakomitego malarza, które mimowolną, niewytłumaczoną przejęło go trwogą. Każda litera tego nazwiska wpijała się jakby żądłem w jego serce, paliła mu duszę jakimś fatalnem przecuciem.

Stella spojrzała na zbladłą twarz rybaka i nie umiejąc sobie wytłumaczyć jego nagłego a widocznego wzruszenia na widok listu, spytała:



— Czy znasz może tego malarza?...

Lorenzo drgnął.

— Nie, nie znam osobiście — odrzekł. — Widziałem go parę razy tutaj, gdy przyjeżdżał z Rzymu; znam jego obrazy. Malowane świetnie, ale martwe, bez życia.

Stella uśmiechnęła się ironicznie.

— Bez życia! — zawołała. — Nie pojmujesz chyba, co mówisz! A znaszże jego »Bachantkę«, jego »Niewolnicę«, jego »Gładyatorów«, albo »Wnętrze haremu!«... Czyż jaki inny malarz podnieść się zdołał do równej doskonałości kolorytu, do takiej prawdy w oddaniu kształtów i ciała kobiety?...

— A tak! — przerwał Lorenzo... — Piękne ciało kobiety, to szczyt sztuki tego malarza! Dla ducha nic, dla zmysłów wszystko; nic dla rozkoszy myśli, wszystko dla upojenia zmysłowych. Wszystko miękkie, wypieszczone, jasne; nęcące oko tłumów, zdumiewające profanów... Ale siły twórczej, ale potęgi pędzla, ale ducha, iskry bożej tam nie ma!

Stella chciała przerwać, ale Lorenzo w uniesieniu mówił ciągle. Jemu tak dawno nie zdarzyło się mówić o sztuce przezeń ukochanej, on tak dawno łaknął podziału myśli, pragnął wypowiedzieć to, co na duszy mu ciążyło.

Mówił z zapałem, wymownie. W śmiałym, oryginalnym poglądzie na sztukę w ogóle, rzucił kilka świetnych myśli; to co w dawnych jego artystycznych po Włoszech podróżach zrodziło się w jego umyśle i dojrzewało tam w długich dumaniach, to się teraz przelało w słowa jasne i dobitne. Obserwacye i studia, leżące dotychczas odłogiem, nie skryształizowane w zdania, ujawniły się teraz w świetnym przemówieniu.

Stella, zrazu z uśmiechem niedowierzania, potem z zaciekawieniem widocznem, a wreszcie z zachwytem słuchała, patrząc w twarz Lorenza jak w tęczę.

Był niewymownie pięknym. Oczy siały iskry zapału, twarz pałała szlachetnem uniesieniem, a z ust niewstrzymanym potokiem płynęły słowa przejmujące silnem, wewnętrznem przekonaniem.

Nagle urwał i zamilkł, jakby zawstydzony.

— A, przepraszam panią! — zawołał. — Uniosłem się zbyt mocno... zapomniałem...

Stella wyciągnęła ku niemu drobną swą rączkę.

— Mów pan, o, mów, proszę!... — rzekła, nie śmiejąc już nazywać go jak przedtem, — pan tak ślicznie mówisz... z takim zapałem...

i tak rozumiesz sztukę..... że doprawdy pojąć trudno....

Lorenzo ujął dłoń sobie podaną i z wolna do ust podniósł.

Stella nie bronila swej ręki. gdy on całował ją długo, przeciągle, namiętnie.

Usiadł przy niej.

— Pojąć trudno — powtórzył głucho. — To prawda. Powiedziałem pani przed parą dniami moje nazwisko, zapewne ci nie obce, którego od lat wielu nie noszę, dziś powiem ci w kilku słowach resztę moich dziejów. Niech będzie przynajmniej jedna istota na świecie, któraby mnie zrozumiała....

— Słyszałaś pani może — mówił dalej po chwili — o katastrofie, jaka niespodziewanie moją rodzinę spotkała. Zastała mię ona bezradnym. Od dzieciństwa zdradzałem artystyczne popedy i zachcenia, w rodzinie też zwano mię fantastykiem i dziwakiem, chciano, abym się jął realnej, produkcyjnej pracy i stawiano rozliczne przeszkody w kształceniu się artystycznym. I skończyło się na tem, na czem zwykle w takich razach się kończy. Gdy nadeszła katastrofa pozbawiająca mię materialnego bytu, nie posiadałem tego, o czem marzyłem, i z czego w ostatecznym razie mogłem

mieć chleba kawałek, a grunt, który mi był przeznaczony, usunął się nagle z pod stóp wydziedziczonego. Kochałem muzykę, grałem biegle, w salonach mogłem poklask wywołać, ale pierwszy lepszy nauczyciel, znał lepiej odemnie to, co w każdej sztuce jest niejako rzemieślniczą jej stroną i bez czego przy zarobkowaniu obejść się niepodobna. Namiętnie kochałem malarstwo i sam próbowałem sił swoich w akwarelli i rysunku, ale i tu było tak samo jak z muzyką: zdolności pewne bez fachowej wiedzy. I ze wszystkim innym tak było..... Mogłem wszakże zostać nauczycielem prywatnym i sposobić innych do walki z życiem w taki sposób, w jaki mnie do niej przygotowano. Mogłem osiąść w mieście, zostać od biedy dziennikarzem: pisać teatralne recenzje lub uczone artykuły o wystawie sztuk pięknych; mogłem wreszcie na łasce krewnych pozostać lub nawet ożenić się bogato... Wszystkie te drogi otwierały się przedemną, alem nie wybrał z nich żadnej. Dlaczego?....

Lorenzo zamilkł nagle i głowę opuścił na piersi.

Niebo pokrywało się coraz czarniejszemi chmurami. Wiatr zrywał się gwałtowny, szar-

piąc rozwiniętym żaglem... Od zachodu ukazywały się błyskawice, coraz jaskrawsze i częstsze. Powietrze przesycone elektrycznością było duszące.

— Dlaczego?... — powtórzyła Stella z cicha, nachylając się ku Lorenzowi.

On podniósł głowę i spojrzał w jej oczy długo, przeciągle... Dusze ich połączyły się w tem spojrzeniu.

— Chcesz pani wiedzieć — rzekł słumionym głosem — czego nikt z ust moich nie słyszał. Dobrze; powiem ci, bo tak jak w tej chwili na ciebie patrzę, zdajesz mi się do tamtej — mniejsza o jej nazwisko — podobną. Ona także miała takie oczy, pełne niebiańskich zachwyków, i takie usta wpółotwierające się promiennym uśmiechem. I noc była taka sama jak dzisiaj duszna i parna, i niebo takie schmurzone, pełne błyskawic i gromów, a ja jechałem z nią i jej ojcem przez bezgraniczny step ukraiński, jak dziś z tobą przez to morze..... W świetle błyskawic ujrzałem ją tak piękną, jak teraz ciebie widzę, i tak samo ona pochyliła się ku mnie i dusze nasze połączyły się spojrzeniem....

Zaczerpnął powietrza, odetchnął z głę-

bi piersi i po chwili mówił dalej głosem stłumionym, urywanemi słowy :

— Przed wielu laty opuszczałem strony rodzinne na zawsze. Chciałem iść w świat i pracować na życie tak, aby się utrzymać bądź co bądź na właściwym stanowisku. Pełną głowę miałem projektów i planów, a po raz ostatni objeżdżałem dalszą i bliższą rodzinę, aby ją pożegnać. Ojciec jej był mi krewnym dalekim; majątny bardzo, marzył dla swej jedynaczki o świetnem małżeństwie i rzeczywiście mógł marzyć. Ona zdawała się posiadać wszystko, co tylko życie dać może, co tylko w świecie zapewnia powodzenie i tryumfy: majątek, imię dobre, urodę i rozum niepospolity w jasnowłosej główce. Znałem ją prawie od dzieciństwa, widywałem dość rzadko i nigdy nie przesunęła mi się przez głowę myśl starania się o jej rękę. Wiedziałem, że były tam inne projekta, bardzo świetne; wiedziałem, że jej młode serduszko zajęte było czas dłuższy, wbrew woli ojca, jednym z moich bliskich krewnych i wiedziałem także, że związek ten, bardzo przez nią upragniony, nie doszedł do skutku z powodu sprzeciwienia się ojca, który miał żelazną wolę i nie znosił oporu. Ojciec ten, nieubłagany despota w do-



mu, miał wszelkie pozory dobroduszości w obejściu się z obcymi. Nie lubiłem go, zwłaszcza od czasu, gdym się dowiedział, że pomimo wyraźnej niechęci córki zniewala ją do oddania ręki człowiekowi, który wysokie stanowisko zawdzięczał tylko głośnemu nazwisku swemu i niem pokrywał wielką pustkę w głowie i gorszą jeszcze pustkę w sercu. Byłbym się nawet może z nim i córką jego nie widział już nigdy, gdyby nie fatalizm, który nas razem do jednego z domów pokrewnych sprowadził. Na uprzejme zaproszenie jej ojca, przyrzekłem, że z nimi razem pojedę do ich majątku o kilka mil ztamtąd odległego. Pojechaliśmy też w letni wieczór, po dniu niesłychanie upalnym. Zmierzch zapadał wczesnie, bo ostatnie dnia błyski rychło zgasiły czarne i gęste chmury, grożące burzą...

— Wjechaliśmy w step nieskończony; po-  
zółkłe burzany i kwiaty polne wyciągały ku  
niebu suche, kolczaste swe łodygi i kielichy,  
jakby się dopraszały po długiej posusze kro-  
pli orzeźwiającego deszczu. Nagle wiatr za-  
dał silny i zakołysał tem morzem traw i  
burzanów, które wydały szum głuchy i tę-  
skny. A potem ozwał się grzmot zrazu daleki,

potem coraz częstszy i silniejszy; schmurzone niebo przebiegały połamane strzały piorunowe i naraz cały horyzont zajaśniał jaskrawą łuną. Sklepienie niebios otworzyło się jak otchłań płonącego ognia i zawarło się równie nagle, pogrążając nas w nieprzebitych ciemnościach. Zaledwie oko oswoić się mogło z tą nocą, aliści znów błyskawica olbrzymia rozdarła niebo z krańca w kraniec. Od zachodu dął wiatr silny, ale duszący, jak oddech piekielnych czeluści, morze burzanów kołysało się ciągle z głuchym monotonnym chrzęstem, a my staliśmy wśród stepu, który raz ukazywał się nam w całej swej przestrzeni, jakby obłany lawą płomienistą, to znikał z przed oczu naszych w ponurych cieniach nocy.

— Staliśmy, bo konie przerażone, oślepte nagle od błyskawicznych blasków, dalej iść nie chciały. Ojciec, jej, wyszedłszy z powozu, gniewał się nie wiedzieć dlaczego na stan-greta i wymyślał koniom, głosem, laską, ręką własną próbując napróżno skłonić je do dalszej podróży. Ja siedziałem naprzeciw niej w powozie, milczący, ponury, ulegając mimowoli i bezwiednie wpływowi duszącej atmosfery tego wieczoru. Krew mi biła nieustannie do głowy, skronie pały, serce młotem

uderzało w piersi. Chciałem wysiąść także, ale gdym kładł rękę na drzwiczkach powozu, aby je otworzyć, poczułem na niej aksamitną, dłoń miękką, którą mię wstrzymała.

Zwróciłem się ku niej i nagle w jaskrawem świetle błyskawicznej łuny ujrzałem twarz jej bladą, zmienioną, pełną lęku w rozszerzonej źrenicy.

— Nie odchódź pan! nie odchódź... — szepnęła — Ta burza taka straszna...

Nigdy nie widziałem jej tak piękną. Znałem ją od lat tylu, podziwiałem jej rysy, jej smukłą kibić, włosy prześliczne, ale podziwiałem chłodno, obojętnie. Cała jej postać wydawała mi się nieco sztywną, zimną, jakby zmartwiała bez pieszczot matki, która odumarła ją dzieckiem, a pod okiem despotycznego ojca. Teraz dopiero, w chwili obawy, po raz pierwszy przedstawiła mi się ona pod wpływem silnego wzruszenia. Pierś jej wznosiła się gwałtownie, a małe rączki wyciągały ku mnie. Powtarzała ciągle:

— Nie odchódź! nie odchódź! i patrzyła na mnie błagalnie.

— »Cóżby to była za rozkosz, gdyby te oczy spojrzały miłośnie«... pomyślałem w tej chwili. Ująłem ją za obie rączki i uspokajając

zacząłem. Ona pochyliła się jeszcze bardziej ku mnie, tak że czułem jej oddech na mojej twarzy, a ilekroć błyskawica rozjaśniła wnętrze powozu, tyle razy widziałem jej oczy duże, ciemne, pełne blasku ku mnie skierowane. Rączki jej drżały w mojej dłoni.

Nagle rzuciła się w głąb' powozu i wyrwała mi rękę. Ojciec po długiej dyskusyi ze stangretem powracał, a wsiadając oznajmił nam, że do celu nie dojedziemy, bośmy drogę zmylili i noc spędzić musimy w pobliskiej karczemce.

Konie prowadzone przez stangreta zaczęły iść noga za nogą, co chwila stając, oślepione błyskawicami. Siedzieliśmy milcząc — ona główkę oparła na poduszkach powozu, oczy przymknęła i oddychała ciężko. Co chwila widziałem ją w blaskach elektrycznych, jakby magnetycznie uśpioną, odczuwającą wyraźnie mój wzrok w nią utkwiony i to samo wrażenie, jakie mnie ku niej pociągało.

Byłem pewny, że myśl jej w owej chwili była ze mną, że ona mnie widzi pomimo powiek przymkniętych, że jej małe rączęta wyciągnięte na kolanach, zaciskają się chwilami pod wpływem tego samego uczucia, które i mnie opanowało...

Jechaliśmy tak długo, może godzinę całą, coraz bardziej gnębieni atmosferą dusząca, upalną i upajającą zmysły, coraz więcej ku sobie zbliżeni i zbliżający się mimowiednie... Była chwila, że ręka moja, dotknąwszy przypadkiem jej białej dłoni, cofnęła się nagle, jakby pod wpływem elektrycznego prądu, który przeniknął mnie całego, a potem bezwiednie pochwyciła rączkę małą, miękką i trzymała długo w gorącym uścisku...

Dojechaliśmy wreszcie. W karczmie była jedna wielka izba, w której noc mieliśmy przebyć. Ojciec jej, znużony nad wyraz i rozdrażniony, kazał sobie natychmiast urządzić legowisko na sianie i w pół godziny zasnął mocno, świadcząc przeciągłym chrapaniem, że nerwy jego, chwilowo rozstrojone, do równowagi i spokoju wróciły. Ja usiadłem na ławie przy dużym stole, oparłem się na nim i gotowałem się tak noc całą przepędzić, nie myśląc o spoczynku. Ona zajęła miejsce naprzeciw mnie, odgradzając się odemnie całą długością stołu; pomiędzy nami stała jedna świeczka łożowa w glinianym lichtarzu, na bok przekrzywiona, a płomień coraz większy, coraz jednak mniej rzucał światła, tłumiony olbrzymim knotem, który wśród niego jak grzyb



wyrastał. Patrzyliśmy oboje na tę świecę, na knot rosnący nam w oczach i na łój spadający coraz obficie i stygnący na stole. Ona machinalnie podjęła z ziemi jakieś drewnienko i poprawiała przekrzywioną świecę, ale ani razu nie spojrzała na mnie. Może się wstydiła wrażenia, jakiemu uległa mimowolnie w czasie burzy, w powozie. Nie mówiliśmy do siebie ani słowa.

Tymczasem burza szalała ciągle. Wiatr dał coraz gwałtowniejszy, lecz błyskawice się zmniejszyły, a natomiast z chmur czarnych unął deszcz rześisty, wśród nieustającego huku grzmotów. Trwało to już wszakże krótką chwilę. Odgłos grzmotu stawał się coraz dalszym, deszcz nawalny uspokajać się zaczynał i wkrótce słyszałem już tylko monotonne brzęczenie szyb w oknach, uderzanych dużemi kroplami spadającemi z dachu. Ona teraz wstała od stołu i zbliżyła się do okna ukrytego w głębokiej framudze. Tam usiadła na krześle i zniknęła mi z oczu...

Płomień świecy coraz bardziej tłumiony narosłym knotem, począł migotać, tworząc fantastycznie tańczące cienie na brudnych ścianach izby. Wpatrzyłem się machinalnie w ten migocący płomień i słuchałem monotonnego



brzęczenia okien, nie myśląc o niczem. W głowie zaczęło mi szumieć, jakieś znużenie opanowywało mię mimowolnie i nie wiem, kiedy usnąłem.

Gdym się obudził, izbę zalegała ciemność. Świeca wypaliła się, a raczej stopiła do szczytu i zgasła; deszcz już wcale nie padał, tylko jeszcze od czasu do czasu krople ściekające z dachu uderzały w szyby; przez okna wnikała do wnętrza wielka błękitna smuga promieni księżycowych i łamała się na nierównej, ceglanej podłodze.

Ojciec jej spał ciągle, chrapiąc głośno... Czy też ona usnęła?... Wstałem i na palcach zbliżyłem się do okna...

Z głową opartą o ścianę framugi, z twarzą ku mnie zwróconą a tonącą w świetle księżycowem, spoczywała w śnie głębokim. Jedną ręką wspierała się na wystającym od okna przymurku, a drugą opuściła bezwładnie; oddech jej był równy, miarowy, spokojny. Spała... a w tym śnie była czarownicie piękną. Z zachwytem uwielbienia patrzyłem na tę postać, która w blaskach błękitnych jakąś dziwnie powiewną, eteryczną, jakby nieziemską się zdawała... A jak przytem ponętą! pociągającą! Obudzić ją z tego snu martwego, roz-

grzać pocałunkiem, rozplómić miłością, kazać otworzyć się tym zamkniętym powiekom i wywołać w spojrzeniu ogień uczucia, kazać tym ramionom, w tej chwili bezwładnym, spleść się w uścisku namiętym — o, cóż to za rozkosz !...

Ta myśl przeniknęła nagle mą duszę jak iskra piekielna. Jednym krokiem byłem tuż koło niej.... Ona spała, cicha, spokojna, bezbronna.

Lorenzo urwał nagle. Głos jego stawał się coraz cichszym, aż stłumił się w piersi i zламаł.

Ręką tarł czoło, a wreszcie oczy zakrył i milczał.

Stella obie ręce na kolanach wsparłszy, przysunęła się ku niemu, chłonąc niejako w półotwartymi usty każde jego słowo i patrząc nań błyszczącym gorączkowo wzrokiem. Serce jej biło gwałtownie i zapierało oddech w piersi. Słowa i obecność Lorenza, jego oczy ciskające fosforyczne blaski upajały ją, działały na nią fascynacyjnie.

Chmury pokrywały już całe niebo, które od czasu do czasu rozpromieniało się błyskawicą; wiatr coraz silniejszy kołysał łódką, która lotem ptaka mknęła naprzód.

Długą chwilę trwało milczenie, którego Stella przerywać nie śmiała. Wreszcie Lorenzo podniósł na nią oczy i głosem cichym a głębokim :

— Czy mam mówić dalej?... — zapytał.

— O, mów, mów! — szepnęła Stella.

On westchnął, zaciągnął powietrza w głąb' piersi i tak kończył :

— Dziwną potęgę obronną ma taki sen spokojny, anielski... Naraz, gdym tak stał pochylony nad tą cudowną uśpioną postacią, przejął mi serce jakiś lęk niewytłumaczony i wielka cześć dla bezbronności dziewiczej. O, czemuż nie uciekłem wówczas! Ale nie miałem siły oderwać się od tego widoku. Mimowiednie upadłem na kolana, ująłem jej dłoń zimną i przycisnąłem do ust moich pałających gorączką. Jakby tknięta iskrą magnetyczną, drgnęła ona całym ciałem; nie obudziła się, ale oddech jej stawał się z każdą chwilą szybszy i głębszy... Poruszyła się niespokojnie i nagłym ruchem, wyzwalając dłoń swoją z moich uścisków, wyprężyła obie ręce przed siebie, a potem opuściła je bezwładnie na moje ramiona. W tem niespodziewanem objęciu straciłem przytomność. Podniosłem oczy na twarz jej i ujrzałem ją promieniejącą szczę-

ściem... Oczy miała zawsze zamknięte... spała widocznie, ale usta otwierały się rozkosznie, pociągając niezwalczoną siłą... Oszołomiony, bezprzytomny, podniosłem się z klęczek, pochyliłem nad nią i pocałunek długi, upajający, namiętny, połączył nasze usta... Nagle ona otworzyła oczy... wzdrygnęła się, powstała i gwałtownym ruchem odtrącając mię od siebie — krzyknęła... Struchlały, upadłem na ławkę, kryjąc twarz w dłoniach...

Ojciec jej przebudził się na krzyk ten i zaleknionym głosem zapytał, co się stało?

— Nic, ojcze — odrzekła — zasnęłam przy oknie w promieniach księżyca i sny jakieś miałam dziwaczne.

— To bardzo niezdrowo — zauważył ojciec — usiądź gdzieindziej.

— A Roger? — dodał, już znowu usypiając.

Pytanie to zostało bez odpowiedzi. Ja bez ruchu, zapałszy dech w piersiach, siedziałem na ławie, jakby w martwym odrętwieniu. I ona już także nie spała: słyszałem jej ciche westchnienia i coś jakby łkanie, jakby płacz tłumiony.

Lorenzo znów przerwał, ale po krótkim milczeniu, mówił dalej, coraz szybciej, jakby mu spieszno było do końca.

— Ta noc i ten pocałunek wywarły wpływ stanowczy na całe moje życie. Odtąd spada ono stanowczo w przepaść i nareszcie kończy się tu, nad tem morzem, w tej łodzi...

Nazajutrz ona nie patrzyła na mnie, odwracała się umyślnie z niechęcią, a gdy podrażniony tem jej zachowaniem, zapytałem ją z cicha o sen jej dziwaczny, który krzyk wywołał.. spojrzała na mnie z oburzeniem i powiedziała, że mnie nienawidzi... Ale nienawiść ta była dziwną w swoich objawach. Tegoż wieczora, gdyśmy już przybyli na miejsce, przechadzając się w cienistych aleach ogrodu, spotkałem ją niespodziewanie. Rzuciła mi się na szyję i wyznała, że mię kocha... Miłość to była niezwykła, gwałtowna, która na nas oboje spadła jak grom i odrazu wszelką siłę refleksyi stłumiła. Poddaliśmy się temu uczuciu bez walki, nie śmiejąc patrzeć w przyszłość. Ona przysięgała mi miłość wieczystą, co bądź się stanie... a ja wówczas w przysięgi wierzyłem !...

Cóż więcej mam dodać?... Stało się, co się stać musiało... Jednego wieczora pożegnałem ją, musiałem pożegnać. Podejrzliwość ojca została obudzona; jakim sposobem? — ja nie wiem. Wyprawił córce gwałtowną scenę, któ-

rej się domyśliłem z jej zapłakanych oczu, mnie zaś dał do poznania, że pora, bym pomyślał o przyszłości mojej, którą ciężką pracą zdobywać należy...

Pożegnałem ją tedy, żegnany ze łzami. Odjechałem w noc chmurną i dżdżystą, uwożąc z sobą niepokonaną już nigdy tęsknotę i jej przysięgę, że będzie mi wierna, że czekać będzie... dopóki nie wrócę.

Przebywałem jeszcze czas jakiś w kraju, nie mając siły oddalić się od niej. Ale wkrótce dochodzić poczęły mnie wieści, które zmusiły do wyjazdu. Nie wiem, czy ojciec sam, czy też łaskawi sąsiedzi rozpuścili wieści w najwyższym stopniu mi ubliżające; mówiono, iż chciałem podstępem zdobyć rękę bogatej dziewcziczki, aby móżdżek prowadzić dalej próżniacze życie... Na tem tle najhaniebniejsze rozpowiadano rzeczy. Zrazu chciałem wystąpić i bronić czci mojej, ale ona w listach błagała mię, abym dla jej spokoju przeniósł cierpliwie tę próbę i... wyjechał z kraju. Wyjechałem tedy za granicę szukać pracy i byłbym ją znalazł; dla niej czułem się zdolny do wszystkiego, dla jej miłości umiałbym i potrafił walczyć. W tej walce zagrzewały mię jej listy czułe, namiętne, pełne obietnic i przyrzeczeń...



Aż nagle, w chwili najwyższego rozteknienia, gdy serce moje rozpływało się całe we wspomnieniach o niej... przyniesiono mi list, a raczej trzy listy w jednej kopercie... Rozpieczętowałem je i zrozumiałem tylko te wyrazy: »Przeceniłam własne siły... Nie jestem stworzoną do walki... Woli ojca nie złamię, a tobie kłamać nie chcę... kłamać nie umiem... Mówiłam Kocham, gdym kochała, a teraz... teraz... zamarło we mnie, co żyło!...«

Lorenzo wstał — jakiś jęk głuchy rozdarł mu piersi — mówić dalej nie mógł. Zbliżył się do steru, zwinął żagle, bo wiatr był coraz gwałtowniejszy i skierował łódź z powrotem.

Stella pałającym zwrokiem śledziła każde jego poruszenie. Na twarzy jej widoczne było wzruszenie głębokie, a gdy Lorenzo znów zbliżył się ku niej, wyciągnęła ku niemu obie dłonie:

— Biedny! biedny! — szepnęła.

On usiadł przy niej i trzymając jej drobne rączęta, rzekł:

— Otóż wiesz wszystko. Co nastąpiło potem, było nieuchronnem. I we mnie zamarło ale nie uczucie, lecz to wszystko, co stanowi dźwignię w życiu: wiara w własne siły, wiara w przyszłość, w serca ludzkie, w stałość uczuć

i niezłomność przysięgi... Ona od tej chwili umarła dla mnie a ja żyję — trupem. Nie miałem już siły walczyć i dobijać się stanowiska, a lękałem się tej nędzy, która żyje pożyczanym blichtrzem, która jest wieczystym, mordującym kłamstwem, zmuszającym twarz do obłudnego uśmiechu, gdy ją krzywi kurcz głodu. Zresztą z kraju, przez podróżujących ziomków, dochodziły wszędzie wieści, ubliżające czci mojej i utrudniające mi walkę. Wolałem zatem zejść do sfery prostaczków, zarabiać na życie pracą, która nuży fizycznie, zatrzeć wszelki ślad dawnego życia, które mi tyle dało goryczy...

I oto dlaczego jestem rybakiem w Casamiccioli...

Lorenzo skończył, pochylił głowę i zamilkł pochmurnie, obracając machinalnie w rękę kopertę zaadresowaną do znakomitego malarza.

Stella stała teraz przed nim, wysoka, wspaniała, patrząc nań śmiało rozpromienionym wzrokiem, w którym jakieś silne widniało postanowienie.

Położyła rękę na jego ramieniu.

— Ale ty tu zostać nie możesz!... — zawołała — nie powinieneś tu zostać! Ja ci nie dam marnieć w ten sposób... Czas już

przeboleć... wszak są jeszcze serca wierne i dusze *zaczne*, które cię ocenić potrafią.

Lorenzo wstał także. Był blady bardzo, patrzył w rozpromienioną zapałem, cudowną twarz Stelli i w oczach jego, przed chwilą łzami zamglonych, zapalały się znowu fosfo-ryczne błyski.

— Czyż są serca wierne? — zapytał głucho.

Łódź w tej chwili przybijała do brzegu.

Stella nie odpowiedziała nic na ostatnie pytanie Lorenza, ale nagłym ruchem wyrwała mu z ręki list do artysty, podarła go w kawałki i wrzuciła w morze... Drobne papierki, uniesione wichrem, zamigotały jak białe mewy wśród cieniów...

Lorenzo objął ją całą ognistem spojrzeniem, jakby przeniknąć chciał do głębi jej najskrytsze myśli. Ona uśmiechnęła się doń promiennie i wyskakując z łodzi, szepnęła:

— Wszak mnie odprowadzisz do willi Aurory?...

W tej chwili burza, która w ciągu wieczora groziła, wybuchnęła z całą gwałtownością. Wśród huku grzmotów i błysku piorunów Lorenzo i Stella szli dobrze znaną sobie drogą, spiesząc się zdyszani. I znowu stanęli

tam u furtki, gdzie z drzwi parterowych na oścież otwartych, padała na klomby i krzewy smuga czerwonego światła od lampy.

Stella wyciągnęła doń rękę:

— Ty nie możesz tu zostać Lorenzo! — powtórzyła z mocą.

— Ja zostać tu muszę... — odparł rybak głucho... — Odgrodziłem przepaścią życie moje dawne od terażniejszości... Ożeniłem się z córką rybaka i mam dwoje dzieci...

A! — krzyknęła Stella i zwróciła się nagle ku willi, jakby uciekać chciała.

Lorenzo zaśmiał się ironicznie.

— A widzisz pani — rzekł — że dla mnie ratunku nie ma... Serca wierne i dusze zacne nie dla takich jak ja niewolników.

Ale już Stella zbliżyła się znów ku niemu.

— Nie! — zawołała gwałtownie — ja cię ocalić muszę! ja ducha twego ocalić powinnam... Co bądź się stanie, nie opuszczę cię, boś mi serce poruszył swoją opowieścią, bo... ja cię kocham, Lorenzo!...

Przerażający huk piorunu zagłuszył ostatnie słowa Stelli, która jakby przerażona tem co wyrzekła, zwróciła się nagle ku domowi i znikła wkrótce w drzwiach willi.

Lorenzo został sam, na drodze, wśród bu-

rzy, która szalała... ale w duszy jego zaczynało rozpromieniać się pogodnie... Czyż to być mogło złudzenie?

\*     \*     \*

— Więc ty przypuszczać możesz, Lorenzo, że cofnęłabym się dlatego, żeś biedny, żeś nieszczęśliwy, żeś skrępowany i rozgoryczony życiem? Więc sądzisz, że kochałabym cię więcej dla wolności twojej lub szczęścia? O, jakże mnie nie znasz! Kochaj mię tylko stale, bądź mi wiernym a zobaczysz, że cię nie opuszczę nigdy... I nie myśl, że mi w czemkolwiek na przeszkodzie stajesz, że ja kiedykolwiek żałować mogę tego, com dla ciebie uczyniła. Ja w życiu nie mam już zgoła żadnej nadziei, moją duszę gnębi pesymizm i gorycz zawodu... Gdyby mi twoja miłość nic więcej nie przyniosła, tylko lekarstwo na niewiarę, która mię zabija, jużbym cię wielbiła do śmierci.

Tak mówiła Stella, patrząc w błyszczące oczy Lorenza, i tuląc się w jego objęciach.

On jeszcze wątpił.. To upojenie, ta rozkosz, to szczęście tak go niespodziewanie spotkały, że w duszy jego po chwili uniesień rodziło się mimowolne pytanie: »Być-że to

może, żeby kobieta tak piękna, z taką przy-  
szłością przed sobą, z takim sercem, pełnem  
zapału i wyobraźnią ognistą, mogła o wszy-  
stkiem zapomnieć i wszystko poświęcić dla  
biednego rybaka w Casamiccioli?... To nie-  
podobna... to tylko obłąd wyobraźni i zmysłów  
igraszka«...

Ale refleksye te i przecucia tłumił sam  
rychło wobec gorących zapewnień i przyrzeczeń  
Stelli. Ona przecież nie wymaga nic,  
tylko miłości wiernej, a uczucie takie to je-  
dyna dźwignia w życiu bezbarwnem. Przyjdą  
zapewne srogie chwile tęsknoty, rozłączenia,  
lecz wówczas żyć się będzie myślą ponownego  
spotkania, a w spotkaniu takim ileż szczęścia,  
ileż rozkoszy?...

— Nie wymagajmy zbyt wiele od życia —  
mówiła ona, uspakajając obawy i złowieszcze  
przecucia Lorenza — bierzmy to, eo nam  
daje, co tylko dać może: chwile promienne...  
a kto wie, co nam przyszłość przyniesie!

Przyszłość! ona Lorenzowi wydawała się  
zawsze nierozstrzygniętą stanowczo... W jaki  
sposób pęknąć miały te więzy, jakie na sie-  
bie w chwili rozgoryczenia nałożył, nie zasta-  
nawiał się nad tem... ale zdawało mu się nie-  
podobieństwem, aby nie pękły... Przysięgi



i zapewnienia Stelli, wybiegającej naprzeciw niemu z otwartymi rękami, jej miłość zdradzająca się nieustannie w każdym słowie i kroku, rozkołysały serce jego zupełnie.

Stella wydała mu się wielką, bohaterską, wspaniałą.

— Kocha bez nadziei... — myślał — poświęca się dla nieszczęśliwego rozbitka losu, to szczytne! Cóż wobec takiego uczucia, miłość innych kobiet, które w zamian za nią otrzymują wszystko, co daje życie rodzinne: stanowisko żony i matki, imię i opiekę męża. Moja miłość cóż jej przynieść może? tylko gorycz, klątwę świata, może wyrzut sumienia... nic więcej.

I wszystkie te myśli wypowiadał Stelli, wykazując ogrom jej ofiary i swoją nędzę.

Ale Stella wzruszała ramionami i uśmiechała się gorzko:

— A! cóż mi świat! — mówiła — znam jego rozkosze i nie pragnę ich wcale; gardzę wyrokami ludzi, którzy uczucia serca chcieliby poddać pewnym nieugiętym formom.

A gdy Lorenzo jeszcze się wahał i w ofiar-  
nem uniesieniu przedstawiał, że przed nią życie długie, że może za mąż wyjść i być szczę-

śliwą... ona rączką białą zamykała mu usta, szepcząc miłośnie:

— Dręczysz siebie i mnie napróżno, Lorenzo. Nie umiesz korzystać z chwili, trwożąc się przewidywaniami przyszłości. Ależ ja za mąż iść nie chcę... nie pójdę!.. Nie znam półśrodków, półuśmiechów i połowicznych uczuć. Oddałam tobie serce moje na zawsze i bez żadnych zastrzeżeń...

I jakby w obawie, aby się nie cofnął i nie odszedł od niej, poświęcając miłość swoje dla jej przyszłości, dodała z mocą:

— Pamiętaj sobie, Lorenzo... Czuję to głęboko, że gdybyś mię opuścił, gdybyś mię kochać przestał... czekałby mię chyba jakiś okropny upadek fizyczny i moralny!..

Lorenzo aż się wzdrygnął na tę groźbę. Nie! wahanie było niemożliwe. Ona go kocha i kochać będzie na zawsze, a on jej odstąpić nie może, nie powinien, bo zawód taki dla jej rozgoryczonego serca byłby śmiertelnym ciosem.

A dzieci? Amina?

Stella unikała o tem wzmianki. Przedstawiała tylko czasem Lorenzowi, że z życiem dotychczasowem zerwać musi, że niepodobna, aby taki umysł jak jego, marnieć miał w tak

strasznem upośledzeniu. Jemu zaś coraz częściej przypominały się obowiązki, które mu zawsze ciążyły, a dziś na drodze do szczęścia stawały zaporą. Ale on przecież obowiązków gwałcić nie chce. Serce jego nie należało nigdy do Aminy, która zresztą zobojętniała dlań zupełnie, żadnej w jego mniemaniu nie ponosiła krzywdy. Miała dom, opiekę, dzieci, które całą duszą kochała. Cóż on mógł dać jej więcej? Serca zniewolić niepodobna!

I tak wzajemnie pociągając się ku sobie brnęli dalej w tę miłość, pełną rozkoszy, szału i upojeń...

Stella nie badała nawet dotychczas własnego uczucia i nie zastanawiała się nad niem. Bez żadnych rzeczywiście zastrzeżeń serce jej oddało się tej miłości, która opanowała je gwałtownie, nie dając czasu do zastanowienia. W walce z wątpliwościami, jakie się podnosiły w duszy Lorenza, przytaczając argumenta, podyktowane jej wrażeniem chwili, umacniała się sama we własnym uczuciu, potęgowanym ciągle obecnością ukochanego, która działała na nią jak narkotyk. I tak minął czas długi bez żadnego z jej strony wahania.

Lorenzo przychodził codziennie wieczorem do willi Aurory. Zrazu przybywał tam roz-

promieniony i szczęśliwy. Rozmawiali długo, a w tych rozmowach dusza jego spragniona podziału myśli i uczuć, rozszerzała się i wznosiła na skrzydłach zapachu.

Mówili najczęściej o sztuce; on udzielał jej swoich uwag, ona wypowiadała swoje zdania i opinie, nieraz zupełnie z jego przekonaniami sprzeczne. Lorenzo był idealistą, ona skłaniała się ku realistycznym kierunkom, a stąd nieraz żywa wywiązywała się dyskusja. Rozchodzili się nieprzekonani wzajemnie, ale zawsze zgodni w uczuciu, które ich łączyło.

Od pewnego jednak czasu, Lorenzo przychodził smutny. Zdarzało się, że całymi godzinami milczał, a wówczas niepodobna było ożywić go i rozruszać. Stella używała wszelkich sposobów, uśmiechała się doń wdzięcznie, białe rączęta wyciągała ku niemu, próbowała rozmaitych tematów w rozmowie — ale napróżno. Lorenzo odchodził w chmurnem zamyśleniu, na czułe spojrzenia Stelli zdawał się nie zwracać uwagi, albo ich wyraźnie unikał, na zapytanie: czy ją kocha? odpowiadał wprawdzie potakująco, ale jakby z przymusem.

— Co mu się stało? co mu się stało? — mówiła Stella, gdy pozostawszy sama, wśród nocy, dręczona bezsennością i okropnem ja-

kiemś przecuciem, łzawe swe oczy wznosiła ku niebu i drobne załamywała rączki. — Czyliżby miało już gasnąć w jego sercu to uczucie, które się zdawało tak potężnem, ognistem? Czyliżby chciał ją opuścić?... A! to byłoby okropne!

Z początku żal jej było niewymownie samego uczucia, żal jej było chwil pełnych upojenia, które zniknąć miały w niepowrotnej przeszłości, ale potem, zwolna, zaczęły jej przychodzić inne myśli...

Och, myśl ludzka! ta nieuchwytna, lotna jak iskra, i jak iskra paląca, nieodłączna towarzysza człowieka... jakże wielka, jak nieograniczona jej potęga! Częstokroć czyn dokonany doraźnie, pod wpływem silnego wrażenia lub uczucia, nie skazi tak duszy, nie przepali tak serca, nie sprowadzi takiego zamętu w całym moralnym organizmie ludzkim, jak myśl przelotna, która zrazu na chwilę zabłyśnie a potem znów wraca, wraca ciągle, coraz uporczywszą się staje, dopóki nie opanuje zupełnie wyobraźni, serca i duszy... W jednym mgnieniu oka, w jednej sekundzie zarysuje się w myśli ludzkiej całkowity, skończony obraz, którego już potem żadną siłą nie zatrzeć.

W żalu za stygnącym, jak jak jej się zda-



wało, uczuciem Lorenza, opanowała najprzód sercem Stelli chęć nieprzemierzona powstrzymania go koniecznie, bądź co bądź, wszelkimi siłami. Ona nie może wyrzec się tej miłości, która się jej objawiła w tak niezwykłym kształcie, w tak wyjątkowych warunkach!

Z całą przeto namiętnością, z całą natarczywością kochającej do szaleństwa kobiety, poczęła mu robić wymówki, wyrzuty, kruszyć jego serce łzami, podbijać je zalotnością. Ale wymówki drażniły go niepomiernie, że stawał się nieraz ironicznym i szyderczym; drażniły go także łzy, wobec których przybierał maskę chłodu i obojętności, a zalotność oburzała go do tego stopnia, że nie oszczędzał nawet próżności kobiecej i ranił ją nieraz boleśnie.

Oczy Stelli, wielkie, rozszerzone zdziwieniem i lękiem, zwracały się wówczas ku Lorenzowi... i długo, długo patrzyły nań, gdy on w ponurej zadumie milczał.

— Jaki to dziwny, jaki to straszny człowiek! — myślała — Taki rzewny, taki tkliwy przedtem, naraz jak gdyby skamieniał. Jego miłość była widocznie fantazją tylko, obłędem wyobraźni, który przeminął... Na mnie dziś nie zwraca najmniejszej uwagi; miłość moja mu ciąży i chciałby się może z jej



więzów wyzwolić.... O, jakiż to egoista, ten człowiek!....

I nagle, gdy po odejściu Lorenza, stała na werandzie, zapatrzona w dal ciemną, z oczu jej popłynęły łzy strumieniem.

— A!... miłość jej, taką ognistą i ofiarną, jakże on podeptał haniebnie!

Żal tych zapałów dla takiego człowieka, żal zmarnowanego uczucia, które się poniża, aby wywołać choć jeden objaw wzajemności; żal marzeń pierwotnych i tego wrażenia, które Lorenzo chłodem swym z każdym dniem coraz bardziej w jej duszy zacierał!

Jakaś rozpaczliwa pustka ogarnęła ją nagle. Całe przeszłe życie stanęło jej przed oczami i cała gorycz doznanych zawodów spłynęła do serca.

Po pierwszym rozczarowaniu, doznaniem przed laty, Stella sądziła, że serce jej zmartwiało zupełnie. Béz lęku rzuciła się w świat szeroki, śmiało szła przeciw niebezpieczeństwom, pewna, że ocaleje tam nawet, gdzie inne kobiety ginęły. Ileż to razy zuchwałem spojrzeniem lub słowem wyzwalała do walki uczucie, na które patrzyła czasem z obojętnym uśmiechem, czasem z lekceważeniem lub niechęcią, a czasem, bardzo rzadko, z siostrza-

nem współczuciem. Artystyczna jej dusza szukała wrażeń, chłoneła je i spożytkowywała na korzyść swego talentu, bez żadnego zresztą uszczerbku. Wrażenie przemijało i Stella pozostawała na miejscu taką samą jak przedtem; zimną, obojętną, nieczułą.

Kochało się w niej wielu Indzi; znakomite umysły składały jej hołdy; za jej wpływem zrodziło się wiele myśli pięknych i niejeden czyn szlachetny.... Mogła być dumną z tego wpływu i z tych hołdów.... a przecież to wszystko przyjmowała obojętnie, co najwięcej płacąc życzliwością za miłość. Miała nawet sobie właściwy sposób oddalania uczuć, których nie podzielała i zjednywania sobie wielbicieli, jako braci-przyjaciół. Aksamitna jej, malutka rączka odpychała nie drażniąc; odepchnięty konkurent, odchodził może z żalem, ale bez gniewu i powracał jako przyjaciel; wzdychał wprawdzie lecz malutką rączkę okrywał pocałunkami, czego mu nie broniono, a gdy odjechał, pisał listy długie, serdeczne i otrzymywał uprzejmą odpowiedź.

Aż nagle ten Lorenzo!... Samą wyjątkowością swojej sytuacji podzielał na nią w sposób tak gwałtowny, iż Stella nie miała czasu wejść w siebie, gdy już serce jej ognistą za-

pałało miłością. I do czegoż doprowadziło ją to uczucie, które w zaślepieniu pierwszych uniesień, wydało się jej zbawczą deską ratunku wśród apatyi, w jakiej jej dusza tonęła? Do nowych rozczarowań i zawodów... — Lorenzo okazał się egoistą i gorszym fantastykiem od innych.

Żaden z dotychczasowych jej wielbicieli nie zapomniał ani na chwilę, co się należy pięknej, młodej i takiej jak ona, niepospolitej kobiecie... Każdy z nich otaczał ją szczególnymi względami, rodzajem kultu, który jej pochlebiał i ujmował jej serce. Zwłaszcza jeden... ów znakomity malarz — którego list uległ tak nagłemu zniszczeniu pod wpływem słów i ognistych oczu Lorenza — jaki był zawsze czuły, jaki delikatny i uprzedzający! On, którego imię było na ustach wszystkich, on znany i sławiony powszechnie, klęczał przed nią, ofiarując jej swą miłość. I ona go odepchnęła!...

Jakiś nieprzezwyyczajony żal opanował jej serce... a myśl powtarzała ciągle imię znakomitego artysty, kreśląc w wyobraźni postać jego klęczącą przed nią z wyrazem miłości na ustach... Stella wzdrygnęła się cała, jakby iskrą elektryczną tknięta...

Dlaczego jej Lorenzo tak skąpił słów miłości, któremi ona poiła się jak nektarem. Jej pieszczotliwa, miękka natura potrzebowała koniecznie czułości wielkiej — a on ciągle chmurny, opryskliwy, niegrzeczny nawet, nieustannie ją odpychał i zrażał.

Dlaczegoż budził jej serce z uśpienia, gdy było zupełnie jak martwe, spokojne... A dziś?... Obudzona raz uczuciem dla Lorenza wrażliwość, nie tak łatwo stepieje... A ona tak go kochała! jego, który był niczem w porównaniu z innymi... Ona dla niego zaniedbała wszystko, nawet na listy nie odpowiada... Dwa listy od malarza leżą zaledwie przeczytane, bez odpowiedzi. A, odpowiedzieć trzeba! i to zaraz, długo, serdecznie.

Pośpiesznie weszła do saloniku, przysunęła stolik z lampą do biurka i wzięła listy do ręki... Jakie pocziwe, serdeczne te listy! W jednym z nich zapowiedź przyjazdu do Casaniccioli i prośba pokorna o złożenie hołdu w willi Aurora...

Z gorączkowym pośpiechem biegło pióro po wykwintnym papierze, zdobnym w liście jesienne, kreśląc małe, malutkie literki, z których wiązały się słowa i frazesy więcej niż kiedykolwiek serdeczne. Ach! ta nieustanna

ponurość Lorenza tak jej zaciężyła na duszy, że rozmowa z kimś przyjaznym a pogodnie uśmiechniętym, wydała się Stelli odpoczynkiem prawdziwym.

Zapisała cztery stronnice, złożyła list w kopertę i zaadresowała: jutro rano musi go sama wyprawić w drogę.

Wstała od biurka, wyciągnęła ze znużenia ramiona i westchnęła głęboko. W głowie jej panował jakiś dziwny zamęt... Usiadła na otomanie i pochyliwszy główkę na miękkie poduszki, przymknęła powieki. Rozpierzchłe myśli stwarzały jakieś nieprawdopodobne obrazy, łącząc dziwacznie wypadki i ludzi. Zdawało się jej ciągle, że widzi przed sobą klęczącego malarza, ale malarz miał twarz i oczy Lorenza i mówił jego głosem... tym głosem z pierwszych czasów, miękkim, pieczołliwym, upajającym. Stella z uśmiechem promiennym na otwierających się rozkosznie ustach słuchała tego głosu, słuchała ciągle... aż ścichł zupełnie... rozplynął się dźwiękiem dumki ukraińskiej, którą śpiewał Lorenzo... Stella usnęła.

A Lorenzo?... On nie spał tej nocy. Błądził samotny po wybrzeżu i głowa pękała mu od tłoczących się nawałem myśli. Czuł, że

jest niesprawiedliwym dla Stelli, że za jej miłość taką rzewną i tkliwą, za dobroć jej bez granic, za jej łagodność anielską, z jaką znosiła jego porywy dziwaczne,, odpłaca jej najniesłuszniej chłodem, ironią, szyderstwem. A jednak gdyby wiedziała, gdyby przeczuć mogła, ile on cierpiał, zadając gwałt własnemu uczuciu, walcząc z niem zawzięcie, tłumiąc przemocą jego objawy! Gdyby wiedziała, że właśnie wówczas, kiedy usta jego uśmiechały się ironicznie, kiedy chłodem odpowiadał na jej czułe wyrazy, unikając jej wzroku, że wówczas właśnie dusza jego cała rwała się ku niej w uniesieniu namiętne, że wówczas jedno słowo tkliwsze, niepowstrzymane gwałtem, byłoby wywołało cały potok wynurzeń, że padłby do stóp jej oszalały z miłości i już na wieki przykułby ją do siebie!... A mógłże to uczynić? On, skrępowany niewolnik, obarczony obowiązkami, on ubogi rybak z Casamiccioli; mógłże wzięć przy sobie tę cudowną istotę, stworzoną dla blasków słonecznych? Czyba wówczas, gdyby jej miłość była rzeczywiście tak wierną i stałą jak jego uczucie, czyba wówczas gdyby Stella wolała przenieść wszystko, niż tę miłość utracić, gdyby ona



mogła jej zastąpić i świat i jego rozkosze, i jego hołdy, i jego pokusy...

Lorenzo wierzył jej uczuciu, a przecież czasem wątpliwości przenikały jego serce zatrutym swym jadem... Wątpił zwłaszcza wtedy, gdy Stella zaczęła mu opowiadać o swoich tryumfach artystycznych lub światowych, gdy mówiła o hołdach jej składanych — a mówiła o tem zawsze z pewnem zadowoleniem, rzucając co chwila nazwiska brzmiące i znane, szcząc się przyjaźnią z wielu znakomitościami.

Lecz żadne nazwisko nie wywierało na nim takiego wrażenia jak nazwisko malarza, wyczytane niegdyś na kopercie, w łodzi, w ów wieczór, gdy po raz pierwszy słowo miłości z ust Stelli usłyszał. Już samo zniszczenie tego listu w tej chwili, dało mu wiele do myślenia; toż ilekroć Stella wspomniała o malarzu, tyle razy Lorenzo pochmurniał i wpadał w zadumę. Gdzież jemu stawać do walki z takim współzawodnikiem! Ale Stella śmiała się z jego zazdrości, zapewniając, że z malarzem łączy ją tylko stosunek zażyłej przyjaźni, wspólność zawodu i artystycznych aspiracji. Lorenzo nie zawsze jednak dawał się przekonać i najczęściej, sposępniawszy

jak chmura gradowa dręczył ją i siebie... A, siebie stokroć więcej!...

Nieraz wyszedłszy od niej, czując, że ją zmroził swym chłodem, uznając, że mówił jej rzeczy przykre i niesprawiedliwemi zarzutami obarczał, wybiegał na wybrzeże i jęczał z rozpacz szalonej, daremnie szukając wyjścia z sytuacji, jaką ta miłość stworzyła. Stella umiała się zadowolić chwilą; on ciągle dręczył się przewidywaniem przyszłości, przecuciem rozłąki i tracił całe godziny, dni i tygodnie rozkoszy... A czas niepowstrzymany w swym biegu, kradł te wszystkie chwile stracone i rzucał je w niezgłębioną przepaść przeszłości.

— Co zrobić? — myślał Lorenzo. — Niepodobna, aby prędzej czy później nie przeraziła ją ta miłość dla prostego rybaka.. Gdybyż wyzwolić się z tych więzów i wrócić do dawnego życia! — ale w jaki sposób?...

Tyle lat minęło, a on się do rodziny swojej nie odzywał wcale; niedawno przypadkiem doszła go wiadomość o jakiejś niewielkiej sukcesyi; zgłosił się wprawdzie po nią, przedstawiając dowody, ale dotychczas nie zajmowała go ta sprawa tak mocno; miał tak małe potrzeby; Amina czuła się zupełnie za-

dowoloną; a dla dzieci jego może i lepiej było pozostać w sferze, w jakiej na świat przyszły... Ale teraz w tym spadku była cała jego nadzieja! Zapewnićby mógł przyszłość Aminie i dzieciom, przyszłość daleko lepszą od terażniejszości — a sam, zrzuciwszy z siebie rybacką skórę, poszedłby w świat za Stellą.

Postanowił pojechać co rychlej do Neapolu, gdzie mieszkał adwokat, któremu powierzył tę sprawę, aby go przynaglić. Postanowienie to uspokoiło go nieco; od dawnego czasu po raz pierwszy spojrzął z większą otuchą w przyszłość.

Nazajutrz z rana biegł do willi Aurory, chcąc z planami swymi podzielić się ze Stellą. Zastał ją w saloniku, przygotowaną do wyjścia, w kapeluszu na głowie. Była dziś strojniejszą i piękniejszą niż zwykle — cała zarumieniona i uśmiechnięta.

Przywitała Lorenza swobodnie,

On, widząc ją wychodzącą i taką strojną, zmieszał się dziwnie. Strój jego rybacki wydał mu się dzisiaj bardziej pospolitym niż kiedykolwiek. Stanął przed nią, nie śmiejąc słowa przemówić; zdawało mu się, że ona patrzy nań badawczym, krytycznym wzrokiem i — wstydzi się go.

Nagle rzucił okiem na biurko i dostrzegł porozrzucane papiery, spojrział na jej rękę i zobaczył list.

— Ten list... — przemówił z trudnością do kogo?...

Ona zdziwiona, jakby podrażniona tem pytaniem, zawahała się nieco, ale po chwili z uśmiechem już zupełnie swobodnym:

— List do malarza... — odrzekła.

Wymówiła nazwisko ciszej, z mimowolnym drzeniem i spojrzawszy w tej chwili na Lorenza, przeraziła się.

Stał przed nią blady, z zaciśniętymi ustami.

— Nie wysyłaj tego listu! — przemówił głosem stłumionym, widocznie siląc się na spokój.

— Rozkaz ten, wygłoszony stanowczo, dotknął Stellę do żywego. Jakto, on śmiał jej zabraniać?... I byłaby od razu wybuchnęła, buntując się przeciw naciskowi, jaki chciał wywierać, gdyby nie lęk, jakim ją przejmowała gwałtowność charakteru Lorenza i jego wzrok płomienisty.

On w tej chwili patrzył na nią tak, jakby ją przeszyć chciał tym wzrokiem.

— O! jak ja się go boję!... jak on mię teroryzuje! — pomyślała i wzdrygnęła się cała.

Ale chwila oburzenia przeminęła rychło. Stella miała w swym charakterze niewyczerpane skarby dobroci; łagodność jej pokonywała zwykle szalone porywy Lorenza, toż i teraz spróbowała tej broni.

Rzuciła list od niechcenia na biurko.

— Dobrze — odrzekła spokojnie — nie chcesz, to nie wyślę. Ale pozwól sobie powiedzieć, żem nie zasłużyła na tę dziwną, niewytłumaczoną nieufność. Zapewniałam ci nieraz i jeszcze powtarzam, że z tym człowiekiem łączy mnie tylko przyjaźń szczerą... Cenię go wysoko, bardzo wysoko i nie mam zupełnie powodu zrywać z nim stosunków, czegobym nawet wytłumaczyć nie zdołała. On jest moim prawdziwym przyjacielem — dodała z naciskiem — a za przyjaźń trudno, abym płaciła niegrzecznością.

— Prawdziwym przyjacielem! — powtórzył Lorenzo — nie pojmuję tych rozmaitych odcieni uczuć, które w twojem sercu razem się łączą... Przyjaźń dla malarza, przyjaźń dla poety, przyjaźń dla muzyka, i jeszcze ze dwadzieścia przyjaźni; a wreszcie w Casamiccioli przyjaźń dla... rybaka!

Mówił to z ironią piekącą, która spadała żarem na serce Stelli.

Ona milczała.

— Więc nareszcie powiedz mi prawdę! — zawołał znowu po chwili z zapałem. — Ja nie znoszę podziału; kocham cię miłością szaloną, wyłączną i zazdrosczącą każdej twej myśli, która nie jest moją, każdego poruszenia serca, które nie należy do mnie. Kocham cię Stello, jak cię nikt kochać nie będzie; nie ma ofiary, jakiejbym dla ciebie nie poniósł; tyś mi duszę moją wzięła!... więc mię nie łudź i nie dręcz, a powiedz prawdę!...

Głos jego złagodniał nagle; ostatnie słowa wypowiedział prawie błagalnie... Echo tego głosu odbiło się w sercu Stelli, budząc w niem wspomnienia pierwszych chwil tej miłości, gdy Lorenzo był zawsze taki czuły i rzewny.

Łzy zakręciły się w jej oczach... Wyraz jego twarzy tak bardzo był smutny; on taki nieszczęśliwy, taki samotny w życiu! Cóż dziwnego, że dziwaczył.

Zbliżyła się do niego z rzewnem współczuciem.

— Ależ, Lorenzo, ja ciebie tylko jednego kocham!... przemówiła, tuląc swą główkę do jego piersi.

Za chwilę Lorenzo wybiegł z willi Aurory,



rozpromieniony nadzieją, roztkliwiony, szczęśliwy. Stella stała na werandzie, żegnając go ruchem ręki i słowami:

— Do widzenia!

Lorenzo odwrócił się z drogi, aby ją raz jeszcze zobaczyć i zdało mu się, że na jej ustach dostrzega uśmiech inny niż zwykle, jakby przymuszony. O! nie tak uśmiechały się te usta do niego w pierwszych dniach miłości!...

— Do widzenia, Lorenzo! — wołała Stella — a wracaj rychło!

Rybaka już widać nie było, a Stella stała jeszcze na werandzie, patrząc ciągle za nim. Dziwna tęsknota opanowała jej duszę; tęsknota nie tak za człowiekiem, który zniknął z jej oczu, jak za uczuciem, które w sposób niepojęty łamało się w jej sercu. Uczucie było zrazu silne, upajające, lecz człowiek, który je obudził, zbyt rychło rozczarował ją swymi porywami. Ona znieść nie mogła presji moralnej, a on ją teroryzował, żądał zerwania wszelkich stosunków, domagał się wyłączności w sposób prawdziwie despotyczny. Jeszcze odchodząc, powiedział jej, aby pamiętała, iż sercem swem rozporządziła już na zawsze... A! szkoda, szkoda, że Lorenzo nie okazał się

innym!... szkoda tych uniesień i ofiary, jaką uczyniła dla niego... Co świat na to powie? potępi ją i gorzej niż potępi, bo szydzić będzie z tej miłości dla rybaka. Któż wie, że ten rybak równy jej urodzeniem, kto zna jego prawdziwe nazwisko?... I cóż za przyszłość!... Sytuacja anormalna — a ona nie czuje się na siłach podjąć walki z opinią, ze światem, z rodziną własną, która i tak te jej ekscentryczne, samotne podróże potępia... Więc trzeba zerwać!...

Wyraz »zerwanie«, jak ostrze sztyletu przeniknął jej serce. Nagle przyszła jej na myśl pierwsza wycieczka na morze z Lorenzem... jego opowieść, która na nią tak dziwne wywarła wrażenie, jego słowa przejmujące rzewnością.. Dusza jej cała napełniła się łzami. Uciekła do pokoju, rzuciła się na łóżko i ukrywszy twarz w poduszki, wybuchnęła spazmatycznym płaczem. Coś rwało się i pękało w jej sercu — jakieś nagłe, niepojęte przeobrażenie dokonywało się w jej organizmie moralnym... Zdawało się jej, że z temi łzami ucieka z jej duszy cała dawna, promienna miłość dla biednego rybaka...

Kilka dni minęło, a Lorenzo nie wracał. Dnia pierwszego Stella oswoić się nie mogła

z jego nieobecnością; tęsknota nie dawała jej chwili spoczynku, ani grać ani malować nie była w stanie; czytając książkę, nie rozumiała wyrazów i odrzucała ją z niechęcią; myśl jej biegła za Lorenzem.

Ale to trwało niedługo; w tej ciszy i osamotnieniu, jakie ją otoczyło nagle, zaczęła niebawem doznawać błęgiego uczucia spokoju... serce jej, dręczone nieustannie ponurą zadumą Lorenza i szukaniem przyczyn jego zubożenia — wypoczywało. Na drugi dzień wzięła się gorączkowo do roboty i malowała długo z dawno niedoznanym zapałem. Nie było Lorenza i smutek jego ponury nie ciążył jej na duszy... Codziennie odtąd było jej swobodniej i milej.

Wieczorem dnia jednego wyszła na przechadzkę. Czas był prześliczny; po ulicach Casamiccioli snuły się tłumy; Stella, szukając samotności, zeszła aż na samo wybrzeże i poszła daleko małą ścieżyną, nie patrząc przed siebie w zamyśleniu. Gdy podniosła głowę, ujrzała na wzgórku dworek ocieniony drzewami, nędzny bardzo, z małymi oknami i ganczkiem, przed którym w tej chwili stała młoda jeszcze kobieta. To dworek Lorenza... pokazywał on go jej kiedyś zdaleka, ale nigdy

nie przysłała jej chęć zobaczenia go bliżej — czuła, że wrażenie mogłoby być fatalne i chciała tego uniknąć.

I teraz wielkim bolem ścisnęło się jej serce. Mój Boże, ten człowiek przywykły do innego otoczenia, z duszą taką poetyczną, z umysłem tak szerokim, mógł wytrzymać tyle lat w tem nędznem mieszkaniu!... A ta kobieta, cóż to za pospolita istota!

Promienie zachodzącego słońca padały na rumianą twarz Aminy i pozwalały Stelli rozeznać doskonale jej rysy... Zbliżyła się jeszcze bardziej; jakaś nieprzemierzona ciekawość kazała jej pomimo woli przypatrzeć się tej kobiecie, krępującej wolność człowieka, którego ona — Stella — kochała.

I to jest owa kobieta, którą Lorenzo żoną nazywał! To byłoby śmieszne, gdyby tragicznem nie było... W pół tylko ubrana, z rękawami od koszuli wysoko założonemi, Amina zajęta była widocznie porządkiem domowym; w tej chwili myła stół drewniany, wysunięty na dziedziniec przed dworkiem. Ręce jej żyłaste, czerwone, posuwając się wzdłuż i wszerz stołu, migały przed oczami Stelli, a do jej uszu dochodził donośny głos żony rybaka, karcący dzieci za swawolę. Dzieci bose,

w bieliźnie brudnej, krzycząc biegały przed domem.

Wzrokiem sztywnym, jakby przerażonym, patrzyła Stella na ten obraz domowego szczęścia Lorenza i z miejsca ruszyć się nie mogła. Pragnęła uciec co rychlej, ale sił jej nagle zbrakło. Stała tak długo, wpatrzona w tę kobietę o rysach pospolitych, tłustych, czerwonych, z głową zawiązaną chustką kraciastą, z pod której wymykały się włosy w nieładzie, myjącą żylastemi rękami stół drewniany.

Więc to Amina, żona Lorenza? – a te brudne, krzyczące dzieci, to jego potomstwo?.. I ona — Stella — mogła się do tego stopnia poniżyć, aby stanąć jako współzawodniczka tej kobiety w sercu jej męża!.. Lorenzo jej mężem! To zdawało się Stelli tak potwornem, iż własnym oczom wierzyć nie chciała... Jak on mógł wytrzymać lat tyle w takim upośledzeniu? przecież w gruncie, natura tego człowieka musi być bardzo pospolita, skoro mógł przyjąć i znosić życie w takim otoczeniu. To co dawniej wydawało się jej szczytną rezygnacją, zaparciem się samego siebie, to oburzyło ją teraz. A może mu wygodnie wśród takiego życia, w którym brak wszelkich wyższych aspiracyj usuwa wiele trosk, zawodów,



kłopotów?... może to wszystko, co Lorenzo mówił, na co się skarżył, nad czem ubolewał — to wszystko było tylko dobrze odegraną komedią?...

W tej chwili Amina, skończywszy mycie stołu, wyprostowała się, podparła obu rękami i tak chwilę odpoczywając, stała o kilkanaście kroków od Stelli, jakby się jej przedstawić chciała w całym blasku swej pospolitości. Potem ziewnęła głośno, podgarnęła pod chustkę wymykające się włosy i porwawszy stół w silne swe ramiona, wniosła go do wnętrza dworku.

Przyśpieszonym krokiem, z głową w dół spuszczoną, z sercem boleśnie ściśniętem, wracała Stella do domu. Ona o tej Aminie i tych dzieciach Lorenza nie myślała prawie nigdy; w jego obecności, słuchając słów jego, zapominała zupełnie, że on nie jest wolnym. Pamiętała tylko o tem, że jest nieszczęśliwym, że w chwili rozgoryczenia nałożył na siebie więzy, które go odgradzały od życia, do jakiego był stworzonym, że należało go natchnąć odwagą, pobudzić do czynu i właściwej mu pracy, nie dać zmarnieć na nieodpowiedniem, mizernem stanowisku. O tem tylko myślała Stellá, idąc za głosem uczucia, którem rozgo-



rzało jej serce. A dziś, jakże inaczej przedstawia się jej rzeczywistość! Miłość, która zrazu zdawała się tak promienna, nie przyniosła ani jej ani Lorenzowi szczęścia; on był posepny i ponury, a ona płakała jak jeszcze nigdy w życiu, i czuła się upokorzona nad wyraz.

Teraz, wróciwszy do siebie, nawet płakać nie mogła... Chodziła po pokoju, łamiąc ręce z rozpaczy. Obraz Aminy stół myjącej stał przed jej oczami... Przypomniawszy sobie także Lorenzo, jak odchodził od niej po raz ostatni, — w stroju rybackim wydał się jej niezgrabnym, prawie równie jak Amina pospolitym; przypomniawszy sobie także ów wieczór, gdy chciała mu zapłacić za przejażdżkę po morzu... Wzdrygnęła się.

— Brrr! jakież to wszystko niesmaczne!... I ten człowiek rościł sobie jakieś prawa, dopominał się wyłączności uczuć i myśli! Nie, to niepodobna! Ona musi się wyzwolić z pod władzy tego człowieka, który ją przeraża. Trzeba raz z tem skończyć... napisać do Lorenza.

Zbliżyła się do biurka, gdy w tem wzrok jej padł na drzwi od werandy otwarte. Spojrzała i krzyknęła radośnie. W drzwiach stał z czułym uśmiechem na ustach — malarz-artysta...

— Nachodzę panią znienacka — rzekł.  
— Nie otrzymawszy na dwa listy odpowiedzi, byłem prawdziwie niespokojny, co się z naszą gwiazdą stało i tylko co przybywszy, pośpieszyłem...

Stella zarumieniona podbiegła ku niemu i podała mu obie rączki, które on natychmiast do ust poniósł.

— Ach, jakaż ja szczęśliwa, że pana tu widzę! — zawołała.

I potoczyła się rozmowa żywa, swobodna wesółą. Stella zapomniała nagle o wszystkim, co ją przed chwilą gnębiło, zapomniała o Lorenzu i Aminie, a oddała się całkowicie radości, jaką przybycie przyjaciela ją napełniało. Przy nim uczuła się bezpieczniejszą, pewniejszą siebie.

Malarz poznał odrazu, że trafił na chwilę dla siebie pomyślną; jeszcze mu się nigdy nie zdarzyło, aby Stella była dlań tak serdeczną. Zapytał o dalsze projekta.

— A! — odrzekła Stella zmięszana nieco — trzeba wracać do kraju. Rodzina moja, która raz na pół roku cierpi na czułość dla mnie, domaga się gwałtownie mego powrotu, niespokojna, co też robić mogę tyle miesięcy w Casamiccioli.

— Przyznam się pani — odrzekł malarz — że to niejednego dziwi.

— Dlaczego? — przerwała żywo Stella. — Potrzebowałam ciszy, spokoju, wytchnienia.. i znalazłam wszystko tutaj.... Nie zmarnowałam zresztą czasu wcale. Pokażę panu jutro, ile nowych powstało szkiców, a nawet jeden obraz prawie już skończyłam... Wszakże już mam dosyć tej ciszy... chciałabym jeszcze zatrzymać się we Florencyi, gdzie studia moje przerwałam, a potem może jaka mała wycieczka dla wytchnienia... a potem już wracać trzeba.

— Ależ to się doskonale składa! — zawołał artysta — bo i ja także mam zamiar do Florencyi się skierować.... Jeśli mię pani raczy przyjąć za towarzysza podróży...

— Czy pan potrzebujesz pytać o to? — odrzekła Stella, patrząc nań wymownie. Malarz ujął rączkę, której nie broniono i pieścił ją pocałunkami. Paluszki wyginały się pod naciskiem ust jego i rozszerzały rozkosznie.

Za chwilę żegnał Stellę, która go wyprowadzała aż na schody werandy.

— Zatem do widzenia, jutro! — mówiła — a pojutrze wyjeżdżamy.

Po tej swobodnej chwili, która tak rychło

minęła, gnębiące myśli z tem większą natarczywością opanowały jej sercem. Ale wahania już żadnego nie było. Wyrok na Lorenza zapadł stanowczo i nieodwołalnie. Stella usiadła przy biurku, aby list do niego napisać. Ale co ona mu powie, co napisze? Wzdrygała się przed kłamstwem i obłudą; pragnęła mu wypowiedzieć prawdę, całą prawdę, ale zarazem lęk dziwny opanowywał ją całą. Uznawała się winną w sumieniu; on by się był nigdy nie poważył zbliżyć do niej. gdyby nie jej wyznanie, które mu sama uczyniła z wolnej i nieprzymuszonej woli. Ale czyż i ona winna temu, co się stało w jej sercu? Coś się w niem przeobraziło po tych łzach wylanych w dzień wyjazdu Lorenza, w skutek jego porywów i tej ponurej zadumy w którą zapadał, a która ją drażniła, w skutek zwłaszcza jego despotyzmu i wymagań.

Pióro biegło szybko po papierze, ubierając w najłagodniejszą formę okropną prawdę. Łzy kręciły się w oczach Stelli. Bądź co bądź, to nie tak łatwo zerwać tę nić, którą serce w chwili uniesienia wyprzedzie. A gdyby on po otrzymaniu tego listu jaki krok szalony zrobił?... Ona by umarła z rozpacz.

Twarz Stelli pałała gorączką, ręce drżały,

rozboleła ją głowa szalenie. Nie skończywszy listu, chora, położyła się do łóżka, ale gnębiona trapiącymi myślami, zaledwie dopiero nad ranem usnęła.

Nazajutrz wieczorem Lorenzo powrócił, a powrócił rozpromieniony i szczęśliwy jak nigdy. Sprawa sukcesyi w bardzo krótkim przeciągu czasu ukończoną być mogła. Bez wielkich zachodów i kosztów otrzymać miał skromną sumę pieniężną, wystarczającą do zapewnienia utrzymania żonie i dzieciom. Mógł przeto wrócić do dawnego życia, które mu teraz znowu uśmiechać się počęło.

On dla siebie nic nie wymaga.... odda wszystko Aminie i dzieciom, a sam zacznie pracować na innem, odpowiedniem polu. Tam, gdzie Stella osiadzie, gdzie założy swoją artystyczną pracownię, o której mu mówiła, czy to we Florencyi, czy Neapolu, lub Rzymie, tam i on się umieści, chociażby na najskromniejszym stanowisku. Ale będzie odtąd żył duchem, będzie się kształcił, wynagrodzi czas stracony i stanie się jeszcze pożytecznym w społeczeństwie. Przecież w swej duszy czuje zapał młodzieńczy, w umyśle powstają myśli jasne, piękne, które przemocą tłumiał dotych-

czas, a które za dobroczynnym wpływem Stelli rozbudziły się i rozwinęły.

O! jakże on jej jest wdzięcznym, jak ją kocha czci, uwielbia!...

Wszystko, co piękne, co szlachetne było w jego sercu, to wszystko ona ożywiła swem tchnieniem. On teraz wszystkie obowiązki swe spełni z rozkoszą; zajmie się z rozkoszą starannem wychowaniem dzieci, Aminie także krzywdy nie robi, będzie się nią opiekował zawsze, będzie dla niej dobrym i wyrozumiałym.

Z bijącym sercem zbliżał się do willi Aurory, a tak był w myślach zatopiony, że nie uważał nawet, iż cały dziedziniec zajęty był drewnianymi skrzynkami i kuframi, w które służba pakowała obrazy i rzeczy. Stelli nie było w domu...

Wszedłszy do saloniku, gdzie tyle rozkosznych miał wspomnień, Lorenzo zwrócił dopiero ze zdziwieniem uwagę na pewien niezwykły w nim nieład. Na stoliku, otomanie i biurku leżały pootwierane kuferki i torby podróżne.... Czyżby Stella wyjeżdżać miała? Jakieś okropne przeczucie przeniknęło mu duszę. Zbliżył się do biurka i na samem wie-



rzchu spostrzegł list niedokończony... jego imię wpadło mu w oko.

»Siły moje okazały się zbyt słabemi, Lorenzo!«... mimowolnie przeczytał.

Było to, jakby powtórzenie słów dawniej, bardzo dawno słyszanych, a krwawo wypisanych w jego sercu... Niezdolny już zapanować nad sobą, czytał dalej:

»Bądź dobrym dla mnie, jak ja byłam dla ciebie. Obudziłam twą duszę z uśpienia, ale ty mojej nie rozumiałeś. Dałeś mi gorycz i lzy, gdy ja pragnęłam czułości i wyrozumienia. Nie potępiaj mię, zrozumiej i — przebacz... Jam nie winna temu, co się w mej duszy dzieje... Teraźniejszość mię gnębi, a przestrzeń nęci; ku niej wyciągam ramiona, bo w niej widzę wszystko, co memu rozgoryczonemu sercu dać jeszcze może promienniejsze chwile w życiu...«

Już nie czytał dalej... nie mógł czytać. Wszak to dlań było zupełnie wystarczającym — te pakunki i list ten wyjaśniały wszystko! Ale co się stało, co się stać mogło w tak krótkim przeciągu czasu? Pożegnał ją czułą, kochającą — zastaje zmienioną zupełnie.

Nieopisany zamęt powstał w jego głowie; myśli plątały się i rozpierzchały jak spłoszone

ptaki, serce bić przestawało, pot zimny wystąpił na czoło.

— Ratuj mnie, Boże! — krzyknął i wybiegł z willi Aurory ku morzu.

Nagle, gdy tak nieprzytomny pędził, usłyszał w oddali dwa głosy i śmiech szczery, serdeczny, który znał dobrze.

Odwrócił się, spojrzął i poznał odrazu. Drogą ku willi szła Stella, wsparta na ramieniu malarza, który pochylony ku niej, mówił coś z ożywieniem wielkim.

∧ ona się śmiała, śmiała się tak serdecznie, gdy on cierpiał jak potępieniec!...

Uciekł, aby nie słyszeć tego głosu i śmiechu tego, uciekł nad morze... Było niezwykle dnia tego wzburzone... olbrzymie fale, groźne, spiętrzone dążyły ku brzegom na wyścigi i z hukiem a szumem rozbijały się o wybrzeże. Ryk fal morskich odpowiadał burzy, jaka w jego duszy szalała... Wsłuchiwał się w tę walkę wichrów, poił się harmonią dziką rozszalałego żywiołu i dziwił się sobie, że stoi taki milczący i na pozór spokojny, gdy dusza jego stokroć bardziej wzburzona niż toń tego olbrzymiego morza.

Z początku rozpacz tak go przytłoczyła swoim ciężarem, że nie był w stanie rozpo-

znać, jakie uczucie w jego sercu przeważało. Czy żal? czy nienawiść? czy chęć zemsty wyjdzie z tego zamętu? O tak! żal wieczysty i nienawiść do tej kobiety, która tak zadrwiła z jego uczuć gorących a szlachetnych... on jej ciśnie w oczy pogardą albo może ukarze ją lekceważącym milczeniem... Och! nienawiść, żądza zemsty, jakież to okropne, jakie przygnębiające uczucia! Stokroć lepiej przebaczyć.

I nagle myśl Lorenza pobiegła za Stellą... Co się z nią stanie po tem zerwaniu? W co się obróci ten wypieszczony w jego sercu ideał? Ona była zawsze taka dla niego dobra, taka anielska i szlachetna, pogarda lub zemsta z jego strony popchnęłyby ją w przepaść.... Ona chyba sama nie wie, co czyni... Z niewygasłym uczuciem w sercu, z żądzą nowych wrażeń, ze wspomnieniami tej ostatniej a tak gorącej miłości, pójdzie w przestrzeń. A czyż się oprzeć tam zdoła pokuszeniom i obłędowi wyobraźni?... Któż ją tak ukocha, jak on ją kochał, kto ją taką czcią i uwielbieniem otoczy? A! nie, on ją musi ocalić! chociażby kosztem krwi własnej, choćby wbrew jej woli!..

I z chaosu jego myśli wydobywało się jasno mocne postanowienie:

— On musi się z nią widzieć i raz jeszcze

rozmówić! A potem — niech się co chce stanie!...

Ściemniło się już zupełnie; burza szalała coraz gwałtowniej — Lorenzo skierował się ku willi Aurory. Drzwi parterowe były zamknięte, ale przez wielką szybę szklaną padała smuga czerwonego światła od lampy na klomby i krzewy, i zbladłym promieniem rzucała się pod nogi Lorenza. On stał właśnie na tem samem miejscu, jak wówczas, gdy raz pierwszy odprowadzał Stellę z wycieczki na morze... Jakaż to przepaść oddzielała go od tej chwili! cały raj upojenia i niezgłębiona otchłań rozpaczy... Wnętrze saloniku dostrzegał wybornie: dwa cienie przechadzały się zwolna i zatrzymały, u drzwi samych; ten wysmukły, wiotki cień — to ona! Wyciąga obie ręczki... pochyla się czule!...

Czołgając się na klęczkach, przysunął się Lorenzo tak blisko ku drzwiom, że mógł widzieć wszystko dokładnie... Jaka ona piękna w białej sukni z kwiatami we włosach!... jak uśmiecha się rozkosznie!...

Ach, ten uśmiech! ten uśmiech! on pozostał w duszy Lorenza niezatartem wspomnieniem...

Jeszcze jeden uścisk dłoni, długi, serdeczny,

jeszcze jeden uśmiech... i malarz już odchodził. Lorenzo ukrył się w cieniu; drzwi się otwały i zamknęły, nagle zatrzaśnięte wichrem. Malarz zbiegł szybko po schodach i zniknął w ciemnościach.

Lorenzo powstał z ziemi, zbliżył się do drzwi i spojrział.

Stella stała przy biurku odwrócona. On pchnął drzwi silnie i wraz z gwałtownym podmuchem wichru wpadł do wnętrza.

Stella zwróciła się szybko, spojrzała i krzyk zamarł w jej piersi. Pochyliła się wstecz, obiema rękami opierając się o biurko.

Lorenzo stał przed nią, drżący, cały obryzganym błotem... Wzrok jego ciskał iskry.

Ona w niemem przerażeniu, rozszerzoną łęką żrenicą patrzyła na rybaka, który obłąkanym się zdawał.

— Stello! — wyszeptał Lorenzo przez zaciśnięte zęby. — Stello, cóżeś ty uczyniła!.. Jest-że to prawdą.. powiedz... że opuszczasz mnie, że wyjeżdżasz?...

Ona czuła, że mówić potrzeba, że należy łagodnym słowem uspokoić rozpacz tego człowieka, ale ze ściśniętej krtani żaden dźwięk wydobyć się nie mógł.

Długą chwilę trwało okropne milczenie.



— Lorenzo — wyjąkała nareszcie — uspokój się na miłość boską!... chciej mnie zrozumieć.

— O, ja cię rozumiem dobrze! — zawołał — rozumiem cię lepiej niż ty sama siebie... i słuchaj, ja cię pomimo twej woli ocalę! Ukochałem twoją duszę i nie dam jej na stracenie; wolę sam przepaść marnie, niżby ona zginąć miała!...

Zbliżył się do niej i ujął za rękę.

— Stello! — rzekł — nie bój się mnie, nie lękaj. Rozpacz na chwilę obłąkała mię, ale otom spokojny... Jeszcze dwa słowa tylko ci powiem. Chcesz iść z tym malarzem, którego zwiesz przyjacielem swoim; nęci cię nowe wrażenie i ta przestrzeń mglista, niepewna, którą ci on wskazuje w artystycznych wędrówkach... Otóż nie pójdziesz z nim i nie pójdziesz z nikim... Ja cię ocalę! i takim wspomnieniem rozścielę się na drodze twojej, że chyba przez nie... nie przejdiesz!

Puścił jej rękę, która opadła bezwładnie i odszedł ku drzwiom; raz jeszcze odwrócił się, spojrzął na bezmowną Stellę i wybiegł.

— Dlaczego głos jego był taki dziwnie spokojny, a taki przerażający, stanowczy? O jakim wspomnieniu on mówił, które ma



na mej drodze stanąć?... Boże, Boże! coś okropnego chce uczynić ten człowiek!...

Stella nieprzytomna, oszalała z trwogi, rzuciła się do drzwi i wybiegła na werandę. Wichur szalał z coraz większą gwałtownością; nieprzebite ciemności zalegały dokoła.

— Lorenzo! Lorenzo! — wołała Stella.

Ale głos jej niknął wśród burzy, ryku fal i wichru.

Lorenzo tymczasem biegł ku domowi. W oknach dworku świeciło się jeszcze, ale wszyscy już spali. On wszedł i u progu przystanął. Patrzył chwilę na uśpioną Aminę i zbliżył się do łóżeczek dzieci. Młodszy synek obudził się i zobaczywszy ojca krzyknął z przerażenia. On go tak rzadko widywał, a zawsze lękał się go tak bardzo!

Lorenzo dłoń swą położył na jego czole i z wolna pogładził.

— Spij, dziecino biedna! — przemówił rzewnym głosem.

Głuche łkanie pierś mu podniosło... Ale nie chcąc się snać roztkliwiać, szybko się odwrócił i zbliżył do stołu. Wyjął z zanadrza dokumenta, zapewniające spadek, które mu adwokat doręczył i wsunął je pod poduszkę żony, poczem pochylił się nad Aminą, uca-

łował ją w czoło i jeszcze chwilę dumał, rozglądając się po kątach tego dworku, w którym tyle lat życia jego upłynęło.

Chciał już wychodzić, gdy wzrok jego padł na kopię Madonny del Granduca... Oczy mu nagle zabłyśły; zbliżył się szybko do ściany, zdjął obraz, ujął silnie pod ramię i wybiegł nie zwlekając dłużej.

Biegł w stronę, gdzie u pomostu, przyczepiona na łańcuchu, kołysała się „Iskierka”. Gorączkowo odpiął łańcuchy i wskoczył do łodzi, która, porwana falami, wnet oddaliła się od brzegu. Lorenzo uchwycił się żaglowego pala i stanął, trzymając w ręku obraz Madonny.... Łódź, jak łupina orzecha kołysała się na falach, to wznosząc się do góry, to zapadając w otchłań.

Jakieś głosy przechodzących rybaków ozwały się u brzegu... jeden z nich dostrzegł łódkę walczącą z falami i krzyknął.... Wnet zbiegli się inni... naradzano się, w jaki sposób ratować jadących tą łodzią, która to zbliżała się do brzegu, to znów niknęła w ciemnościach.

Nagle na schmurzonym tle horyzontu zamigotał jakby sztandar biały... Szaleniec prawdziwy wioślarz, co tą łodzią steruje!....

Oba żagle rozpiął i wyzywa wichry do walki  
zuchwale... zginie nieochybnie!...

Stella długo stała na werandzie, wołając  
napróżno Lorenza.

Wróciła do pokoju, usiłowała uspokoić  
okropne przeczucia, które ją dreczyły, lecz  
napróżno... Zdawało się jej ciągle, że Lorenzo  
wszedł do salonu, że słyszy głos jego.... to  
znowu jakieś krzyki przeraziły ją nagle.

Wstała z łóżka, ubrała się, szal narzuciła  
na siebie i wyszła na werandę.... Krzyki nie  
były złudzeniem. Jacyś ludzie, których w cie-  
niach nocy dostrzedz nie można było, biegli  
brzegiem i wołali rozpaczliwemi głosy — a  
w oddali na czarnej przestrzeni morza i po-  
chmurnem tle horyzontu migotał czasem jakby  
jakiś sztandar biały, niesiony wichrem gwał-  
townie...

I naraz — wszak to było złudzenie? —  
wydało się Stelli, że wicher przynosi jej stłu-  
mioną, przerywaną jak łkanie nutę dumki ukra-  
ińskiej, którą spiewał Lorenzo :

U susida chata bila  
U susida żinka myła  
A u mene ni chatynki,  
Ani szczastia. . . .

Łuna byskawicy rozdarła w tej chwili

niebo i oczom Stelli ukazała się wyraźnie łódź z rozpuszczonemi żaglami białemi, kołysząca się na wzburzonych falach.

Żagle zachwiały się gwałtownie, złamały i znikły..

Gdy druga błyskawica rozjaśniła niebo, na całej przestrzeni morza nie było już nic widać, prócz fal spiętrzonych...

Stella z głuchym jękiem upadła zemdłona na ziemię...

\*                      \*                      \*

Nazajutrz rano martwe zwłoki Lorenza leżały na piasku, opodał willi Aurory. U zwłok tych klęczała we łzach Amina, a zdala stała nieruchomo w nie wpatrzone Stella, z załamaniem rękami.

Okropne wspomnienie rozeszło się już przed nią...

Białe czoło Lorenza, okryte bujnemi włosami, było rozpogodzone dziwnie; oczy otwarte, zamglone, nie siały już iskier; w skrępej dłoni trzymał kurczowo zaciśnięty ukochany swój obraz: kopię Rafaelowskiej Madonny. Stella stała tak długo, bez łez i jęku a potem odeszła z wolna. W godzinę opuściła Casamicciolę. Wróciła do kraju, zaniechała eks-

centrycznych wędrówek.... i w przestrzeń nie poszła.

Gdy malarz przybył w umówionym czasie do willi Aurory, zastał ją pustą... Z ogromnem zdziwieniem dowiedział się o nagłym wyjeździe Stelli, który po dziś dzień pozostał dlań zagadką. A on tyle sobie obiecywał po wspólnej z nią podróży!

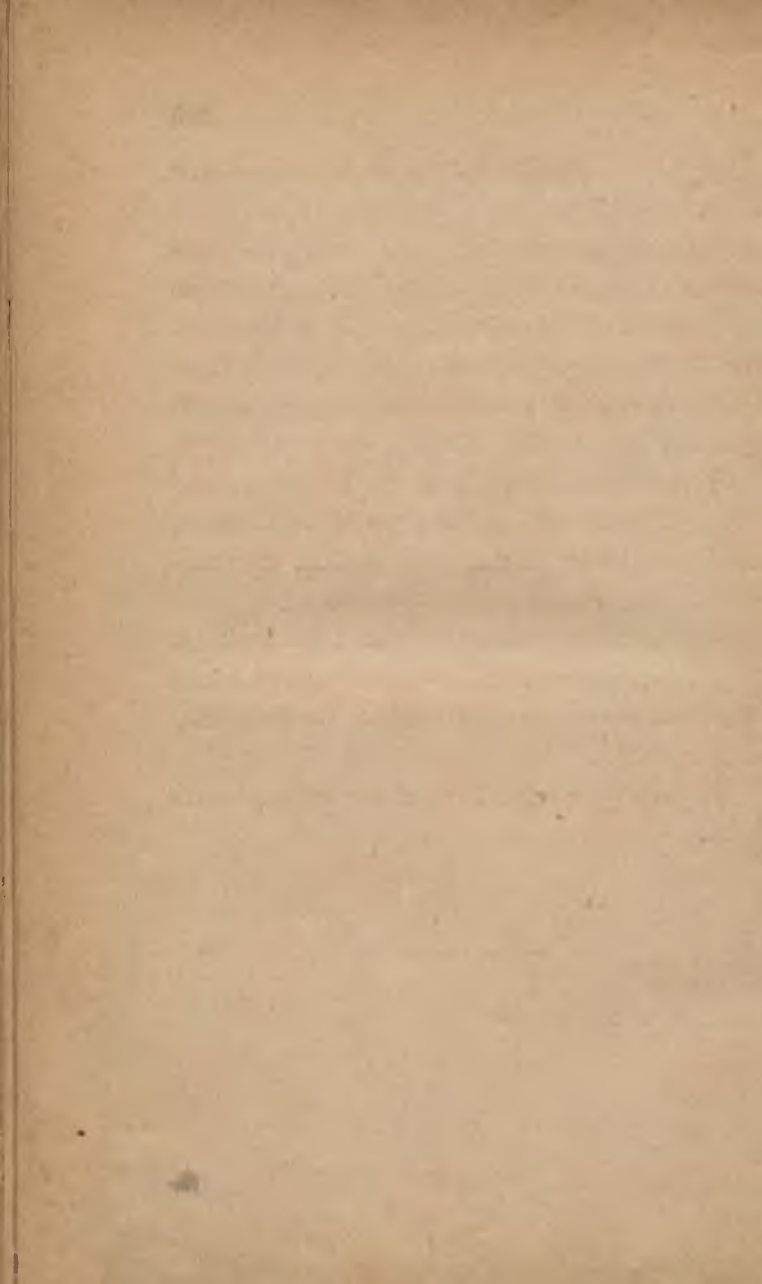
Wracając do siebie w bardzo złym humorze, ujrzał zbiegowisko ludzi na brzegu. Zbliżył się i dowiedział o wypadku. Z ciekawością przypatrywał się zwłokom.

— Piękna twarz tego rybaka — mruknał.

I wzięwszy ołówek do ręki, zrobił szkic, z którego potem powstał słynny obraz, znany na wystawach.

Kupiła go Stella i nie rozłącza się z nim nigdy.

---





P O S A G



**P**racownia rzeźbiarza tonęła już w mrokach wieczornych.

Ostatni odblask słonecznego promienia padał jeszcze, zbladły, na wielki posąg kobiety, stojący na środku pracowni. Rysy posągu, klasycznie piękne, dłuto artysty oddało z całą prawdą. Zdawało się, że usta przemówią, że oczy zabłysną żywym spojrzeniem, że pierś się westchnieniem podnosi; zdawało się, że to czoło piękne, białe, okolone bujnemi włosów splotami, zadumane jest jakąś myślą tęskną, że te kształty pełne, urocze, okryte lekką, przejrzystą osłoną, drgają życiem, że to być nie może posąg nieruchomy, ale kobieta z krwi i ciała — arcydzieło Stworzenia...

Odblask różowy zachodzącego słońca pieścił jeszcze to ciało i pełzał po niem rozkosznie, aż znikł u stóp niewiasty, która, podtrzymując jedną ręką fałdy osłony, drugą okrywała pierś wstydliwie, patrząc zalotnie przed siebie.

Obok tego posągu naturalnej wielkości, stał drugi mniejszy, — przedstawiający rozjuszonego lwa, który śnać wyrwał się z klatki i, stargawszy krępujące go więzy, rzucił się na dozorczynię swoją, czy też może obojętną spektatorkę. Kobieta leżała na wznak, z wyrazem niewymownego przerażenia i boleści na twarzy. Lew pazurami szarpał jej pierś odkrytą, a otwartą paszczę zbliżał do ust i poił się widokiem męczarni swojej ofiary.

Z drugiej strony widniał trzeci, mniejszych rozmiarów posąg skrepowanej niewolnicy, czy też może zbrodniarki prowadzonej do więzienia. W wyrazie twarzy tej kobiety była dzikość i gniew niepohamowany. Z rękami związanymi na plecach, naprzód nieco pochylona, patrzyła przed siebie z nienawiścią a półotwartymi usty zdawała się wypowiadać słowa bluźnierstwa lub złorzeczeń.

Obok, bachantka wpół naga wyginała się całą postacią rozkosznie, wabiąc spojrzeniem, uśmiechem i odkrytą pierśią...

Ale rzecz dziwna! Wszystkie te postacie kobiece były do siebie zupełnie podobne. Zalotność i wdzięk dziewiczy pierwszej postaci, przerażenie i ból wyryty na twarzy drugiej, gniew i nienawiść piętnujące oblicze niewol-

nicy, a wreszcie wyuzdanie zmysłowe bachan-  
tki, — wszystkie te uczucia dłuto artysty ka-  
zało wyrażać jednym i tym samym rysom,  
oddanym z drobiazgową dokładnością.

Naprzeciw pierwszego posągu, w wielkiem  
krześle poręczowem, siedział rzeźbiarz, wspie-  
rając głowę na rękę; przygasłym wzrokiem  
patrzył sztywnie przed siebie, i sam mógłby  
się zdawać posągiem martwego już człowieka,  
gdyby nie oddech ciężki, chrypliwy, który  
piers jego podnosił.

Twarz artysty nacechowana była niewy-  
mownem cierpieniem; wychudłe rysy, powle-  
czone trupią już niemal bladością, nosiły zna-  
mię ciężkiej choroby.

Już zmierzch zupełnie zaległ pracownię,  
gdy drzwi się otwarły i na progu stała po-  
stać młodzieńca. Był to najukochańszy uczeń  
artysty, który miał być duchowym spadko-  
biercą jego talentu, myśli i dążeń, a z bole-  
ścią patrzeć musiał na przedwczesne zanika-  
nie uwielbianego mistrza, dręczonego moral-  
nem cierpieniem, które i fizyczne siły stargało...  
Z żywym współczuciem zbliżył się do chorego  
i, kładąc dłoń swą na jego rękę, przemówił  
łagodnie:

— Zawsze tu... zawsze przed tym posą-

giem... Czyż już nigdy, mistrzu, nie pozbedziesz się tych myśli?...

— Ze śmiercią... — odparł stłumionym głosem artysta — a to już niedługo...

— Gdybyś wszakże chciał, mistrzu — ozwał się znów młodzieniec — gdybyś chciał zapanować nad sobą... zapomnieć... przebaczyć! I zdrowie fizyczne wróciłoby wówczas...

Chory poruszył się z trudem na krześle i niecierpliwie ręką rzucił.

— Wiecznie jedno i to samo! — rzekł. — Mówiłem ci już... nie przychodź. Rzecz daremna. Nie chcę cię prowadzić w otchłanie rozpacz, w jakich pogrążony jestem, ja, który wskazywać ci miałem promienne drogi natchnienia, zapalać twe młode serce czystą miłością dla sztuki... Ja sam dziś zatraciłem poczucie piękna, które jest w sobie niewyczerpaną rozmaitością kształtów i wyrazu... moje zaś dłuto, tak samo jak myśl moja, tak samo jak serce, niewolniczo powtarza ciągle jedno i to samo... Przestałem być artystą!

Młodzieniec przykląkł przy chorym i dłoń jego ujął w obie ręce.

— Duch twój zawsze potężny mistrzu, — przemówił głosem rozrzewnienia pełnym, — on zwalczy chorobę ciała i wydzwignie się



wielki i śmiały, i stworzy jeszcze owo nowe, wspaniałe dzieło, które zadziwi świat... o którym tyle razy mówiłeś mi dawniej.

Oczy rzeźbiarza zabłyśły gorączkowym ogniem.

— Daj pokój! — przerwał. — Daremne złudzenie... cała dusza moja przesiąkła goryczą, wszystkie myśli i uczucia zlały się w przekleństwo. Nienawiść, niewiara, zwątpienie, żli to doradcy tak w życiu jak w sztuce.. dodatniego nie stworzą nic i nowych nie utoryją dróg... Aby stworzyć rzecz wielką, trzeba mieć wielki spokój w duszy, który pozwala nawet na uczucia własne spoglądać krytycznym okiem i miarkować je stosownie do wymagań sztuki, aby w dziele tworzonym nie wygórowały za nadto...

Młodzieniec nie przerywając, słuchał słów mistrza, który po chwili mówił dalej w uniesieniu gorączkowym:

- Pragnąłem oddać w posagu rozpacz zdradzonego mężczyzny... Uprzytomniłem sobie tę chwilę, kiedy Casamicciola rozpadła się w gruzy, wstrząśnięta podziemną potęgą, i znikła pod strumieniami lawy ognistej. W przeddzień katastrofy młode małżeństwo żegnało się czule. On wyjeżdżał na dni kilka, ona zo-

stała, aby zginać wraz z innymi. Mąż, dowiedziawszy się o nieszczęściu, powrócił z drogi... własnymi rękami, szalejąc z rozpaczy, rozkopywał gruzy, z pod których, zdawało mu się, iż słyszy dobywające się jęki ukochanej żony. I wołał ku niej miłośnie, zaklinając, aby żyła, zanim nie rozkopie gruzów... Rozkopał je nareszcie i padł szalony u stóp żony, która martwa, wpół naga, leżała — w objęciach kochanka!... Widziałem twarz tego męża, przerażenia i rozpaczy pełną, widziałem, jak się na niej odbijały wszystkie uczucia duszy: miłość, boleść, a potem lęk wobec zbrodni, niewiara, aby to rzeczywistością być mogło, rozpacz nienawiści, a wreszcie chaos tych uczuć wszystkich — szaleństwo!... Widziałem go, tego szaleńca, i zdawało mi się, że pod moim dłutem wyrasta postać jego żywa... Tworzyłem gorączkowo i — całość stała się ohydną... Szaleńcem byłem *ja*... a niewierną — *ona*! Gdym ujrzał z pod mego dłuta wychodzące te rysy, które nieustannie widzę przed sobą, napadła mnie wściekłość... i skruszyłem rozpoczęte dzieło...

Zamilkł i pochylił głowę na piersi, dysząc gwałtownie... Młody artysta rzewnymi słowami uspakając go począł, błagając ze łzami,

aby chciał żyć dla sztuki, aby się oderwał od rozpaczycy swojej, zapomniał — przebaczył.

— Puste słowa! — przerwał z uniesieniem chory. — Powtarzasz je, boś dziecko, bo idziesz jeszcze z zamkniętymi oczyma przez świat, obcy namiętnościom jego i żądom. Ty nie wiesz jeszcze, co znaczy burza szału, namiętności, pożądań...

— Słuchaj! — mówił dalej głosem coraz bardziej urywanym i głuchym, — powiem ci dla przestrogi twej, chociaż wiem, że będzie daremną, bo szkoła życia, to taka dziwna szkoła, w której najlepsi najbardziej bywają smagani, a rezultaty tej nauki nie przestrzegają nikogo, bo w całej pełni widne są dopiero za grobem, gdzie ludzkie oko nie sięga. Ale słuchaj... Lat dziesięć temu powiedziała, że mnie kocha... Odtąd codziennie upajała duszę moją słowami miłości, kołysała marzeniem szczęścia, cały raj upojeń otworzyła przedemną... A miała tysiące sposobów drażnienia namiętności... To się przebiegała jak wiejska dziewczyna i przychodziła do mnie cała różnokolorowemi wstążkami okryta, z wieńcem kłosów na czarownej główce, śpiewając lub śmiejąc się głosem srebrzystym; to zjawiała

się przedemną jak królowa, strojna, wspaniała, majestatyczna; to znów cała w bieli, wynurzała się z cieniów jak syrena z fal wodnych i wabiła rozkosznem swem ciałem... A gdy już przykuła mnie do siebie na wieki, gdy oszalały z miłości u jej stóp się tarzał, ofiarując jej wszystko: talent mój, imię, przyszłość... wówczas ona zaśmiała się szydersko, mówiąc, że pocałunki moje na jej ustach żadnego nie pozostawiły śladu... i poszła w świat po inne wrażenia i uściski... Ty mnie mówisz, abym zapomniał, a ja ci powiadam: jeżeli spotkasz w życiu taką kobietę, uciekaj od jej uścisku, bo nie zdołasz zapomnieć... I myśl twoja błąkać się będzie ustawicznie około jednej postaci... myśl ta zaklnie twój talent w jeden kształt, w jeden wyraz. Staniesz się biernym wykonawcą jednego tylko pojęcia, wpadniesz jak ja w maniery, zginiesz jako artysta... a cierpieć będziesz jak potępieniec...

Coraz gwałtowniejsze wzburzenie opanowywało chorego; mówił, urywając, z trudnością, ale szybko i już nie zwracał zgoła uwagi na słowa ucznia swego, który go błagał, aby się mówieniem nie męczył i spoczął.

— Spocznię wkrótce... — wołał rzeźbiarz — ale jeszcze jedno mam do spełnienia!...

To mówiąc, odepchnął gorączkowym ruchem klęczącego przy nim młodzieńca, dźwignął się z fotelu i chwiejnym krokiem postąpił ku posagowi, który w zmierzchu widniał jeszcze białością swoją.

Zbliżył się ku niemu i wzrok iskrzący utkwiał w posagową twarz kobiety.

— Przyszłaś do mnie sama — szeptał przez zaciśnięte zęby — ze słowem miłości, aby mi odebrać spokój, skrepować myśl, uściśkiem przepalić duszę... Byłaś moją kochanką, aby mnie zdradzić i kazać spodlonej myśli mojej iść za tobą w ślad, w tę otchłań hańby, zdrady i kłamanych uczuć, w jaką się pograżałaś sama... Daj mi przynajmniej umrzeć spokojnie, maro mojego życia!... Oby cię los tak zgruchotał, i nędzną, opuszczoną rzucił pod nogi, jak ja twój obraz druzgoczę!...

Z temi słowami porwał młot leżący na ziemi i w obie ręce go ująwszy, zanim młody artysta zdołał temu przeszkodzić, podniósł do góry i całym ciężarem opuścił na głowę posagu... Łoskot rozpadającego się w drzazgi dzieła artysty połączył się z rozpaczliwym jękiem nieszczęśliwego, który tem wzruszeniem do reszty zgnębiony, osunął się na ziemię, do stóp posagu, obejmując go drżącymi rękami,



Młodzieniec rzucił się ratować, wołając na służbę, która wnet wbiegła ze światłem z przyległych pokoi; podniesiono rzeźbiarza, który drżał na całym ciele i konwulsyjnie czepiał się rękami nóg zniszczonego posągu.

— Nie odrywajcie mnie od niej... — wołał. — Co ja uczyniłem? co uczyniłem?...

Cała głowa posągu była zniszczona i leżała w drzazgach na ziemi... Szyja i piersi pękły, a czarne, puste wnętrze przeglądało przez wielką, nieforemną szczerbę...

Rzeźbiarz osłupiałym wzrokiem patrzył na to zniszczenie; patrzył długo, nieruchomo, aż nagle z przygasłych jego oczu dwa łez strumienie wytrysły... łzy pierwsze od lat wielu, w których zdawała się tajać i rozplýwać w rzewność dawna serca nienawiść.

W tejże chwili w pobliskim kościele zadzwoniono na modlitwę wieczorną; odgłos dzwonu rozlegał się przeciągłym echem wśród ciszy i w duszy umierającego artysty budził snąc słodkie wspomnienia, bo usta jego zbladły, rozpromieniły się uśmiechem.

— Pamiętam — wyszeptał — jak małym chłopięciem, biegłem do kościoła przy odgłosie tego dzwonu... Biegłem radosny a niebo miliardami gwiazd uśmiechało się



ku mnie, ścieląc mi brylantową drogę na śniegu, co się iskrzył... I dziś taka sama noc być musi, takie same gwiazdy i tak samo brylantami iskrzy się śnieg biały... Szkoda, że już tego nigdy nie zobaczę...

Zamilkł i znów po chwili mówił bardzo cicho, urywając co słowo:

— Zdaje mi się, że zapadam w niezamąconą ciszę... Ze zniszczeniem tego posagu... pękło coś w mojem sercu... wszystko milknie i zanika.

Drżące ramiona podniósł do góry.

— Boże mój — rzekł — męczarnia nienawiści skończona... z dźwiękiem tego dzwonu rozkosz przebaczenia wnikła do mej duszy!...

-- Mistrzu mój ukochany! — przerwał ze łzami młodzieniec — ty żyć będziesz teraz uspokojony, szczęśliwy...

— Zapóźno! — odrzekł rzeźbiarz — szkoła życia skończona... Idę po rezultat nauki...

Pochylił głowę na piersi i oddychał z trudnością — a potem coraz wolniej i spokojniej...

Zanim ścichł odgłos dzwonu, wzywający na modlitwę, dusza artysty uleciała ze świata.

A nad martwemi zwłokami stał, równie jak one nieruchomy i zimny, posąg kobiety, ze zdruzgotaną twarzą, szyją i piersią pękniętą. Na nieforemną szczerbę padał promień świecy gromnicznej, i ukazywał puste, czarne wnętrze.

---

WIECZÓR WIGILIJNY.



Nie widzieli się lat wiele. Rozstali się młodymi, dziećmi prawie; a po wielu burzach zeszli się w dzień chmurny i śnieżny na obcej ziemi, w obcym mieście, i milcząc długo, stali naprzeciw siebie, patrząc sobie w oczy, w których płomień młodości wygasł już dawno, czytając wzajemnie na twarzach swoich dzieje lat minionych, przebytych kolei, przeżytych zapałów i szarów...

Starszy nieco, dobrze już przyprószony siwizną mężczyzna, z twarzą zwiędłą i steraną, na której martwy spokój rezygnacyi wyrył swoje piętno, pierwszy przerwał milczenie:

— Edwardzie — rzekł z cicha — nie uwierzysz, z jaką radością dowiedziałem się, że tu jesteś. Alem cię zaledwie odnaleść zdołał. Tyle lat, mój Boże, tyle lat minęło od ostatniego widzenia się naszego, a ja, prócz niepewnych czasem pogłosek, żadnej od ciebie wieści nie miałem...

Edward uśmiechnął się gorzko za całą odpowiedź.

Uśmiech ten wykrzywił chwilowo blade usta i zniknął w fałdach pomarszczonej twarzy, wyschłej i zwiędłej. Był to mężczyzna lat może czterdziestu, ale zgarbiony, jak starzec. Ubo-  
gie, prawie nędzne ubranie zwisało na nim niedbale, zszarzone i poplamione. Chudy był jak szkielet; na twarzy sterczały kości policzków, zaczerwienionych gorączkowo, a oczy także gorączką się paliły lub się zasuwwały mgłą jakby omdlenia...

— Nie miałeś wieści! powtórzył z wolna głosem ochrypłym, stłumionym. A cóż ci miałem donosić? Żem wierzył, ufał, kochał, żem był szalony i za szaleństwo pokutuję od lat wielu? Że mię wszystko zdradziło, odstąpiło wszystko, tylko nędzne życie porzucić nie chce... Żem zrazu wyrzekał, potem szukał ratunku, a wreszcie walczyć przestał i czekam końca z uśmiechem szyderstwa na ustach, a z przekleństwem w duszy... Na cóż ci miałem o tem donosić, Gustawie, skoro w twarzy twej czytam, żeś przechodził to samo, i tak samo kończysz...

— Straszne dzieje! straszne dzieje! przerwał Gustaw — ciężko nas doświadczył los —



ale to już minęło. Burza życia szalała i przeszła. Dziś spokój martwy w sercu, spokój śmierci...

— Do takiego więc rezultatu doprowadziły cię ideały twoje, które pieściłeś w duszy, ongi.... w dniach młodości... rzekł Edward.

— Ideały pierzchnęły dawno — smutnie odparł Gustaw. Zbyt wierzyłem ludziom, zbyt przywiązywałem się do pewnych marzeń i pewnych idei, aby nie doznać zawodu. Dłużej jak ty siedziałem w kraju, brałem udział we wszystkich zabiegach, usiłowaniach i pracach, zdawało mi się, że buduję, ale to, com ja budował przez lat wiele, to inni zburzyli za jedną chwilę. Pracę moją wyśmiano, okryto szyderstwem, a nie tylko moją, ale wszelką pracę obywatelską obrzucono ironią. Widziałem, jak rozumne słowo ginęło niesłuchane, przepadało bez echa, a słyszałem, jak szyderstwo, skierowane do pracowitych i zacnych, pełzało powtarzane z ust do ust i rosło olbrzymio, przenikało tłumy, by ciężarem swym przywalić każdy uczciwy trud, każde usiłowanie zacne. Napróżno broniłem się zniechęceniu i rozpacz. Uciekłem, aby nie widzieć, jak podłość i głupota wyrosły w potęgę...

— Cha! cha! cha! zaśmiał się Edward.

Uciekłeś z kraju i szedłeś szukać za granicą cnoty!... I cóżeś znalazł?

— Znalazłem to samo, a może jeszcze gorszą podłość i nicość... i już dziś nie wierzę w nic — prócz w Boga...

Edward wielkimi, zdziwionemi oczami spojrział na mówiącego, jakby na szaleńca.

— Ty wierzysz w Boga? — przemówił zwolna. — I nie słuchając odpowiedzi, w gorączkowem wzburzeniu szybkim krokiem chodzić zaczął po ciasnej izdebce.

Zmrok już wieczorny zapadał. W pokoju zrobiło się ciemno, a puste jego ściany, o które odgłos kroków Edwarda głośnem odbijał się echem, poczerniałe od dymu i wilgoci, jeszcze bardziej czarne i ponure wydawały się o tej szarej godzinie.

— Rzecz dziwna, przemówił wreszcie Edward jakby sam do siebie, ta wiara, dziecinna wiara, trzyma się najdłużej człowieka, trzyma się tak uparcie, że gdy już, zda się, wszystkie zamarły uczucia, ona jedna zostaje. Tyś walczył w imię jakichś idei — straciłeś wszystkie złudzenia, boś spotkał pogardę, szanderstwo, egoizm, o które się rozbiły twe szlachetne żądania, ale powiadasz, że w Boga wierzysz jeszcze!... Jam walczył bezmyślnie.

Chciałem używać i używałem do syta. Ale miałem być za mało egoistą, aby mi to wystarczyć mogło; więc się ludzkich uczuć czepiałem tak, jak ty idei — i tak jak ty straciłem wszystkie złudzenia — i więcej niż ty straciłem, bo nawet — w Boga nie wierzę!

— Edwardzie! zawołał Gustaw — chwytając go, jakby z trwogą, za rękę.

— Tak! nie wierzę! powtórzył gwałtownie Edward. Słuchaj. Dzieje moje krótkie. Wśród szalu zabaw i rozkoszy światowych, spotkałem kobietę, której oddałem duszę. Nie wiem, czy kochał kto kiedy tak, jak ja kochałem, ale w uczuciu mojem nie znałem miary żadnej. Poświęciłem jej wszystko bez pamięci, bez żalu, bez wahania: majątek, imię, całe życie moje oddałem jej na usługi. A gdy już wszystkiego było za mało, gdy wszystkiego zabrakło, gdy przeszedł wszystkie upokorzenia nędzy i wszystkie zniewagi, — wówczas ona wśród szyderczego śmiechu wyznała mi, że to wszystko było nadaremne, że przez lat tyle wspólnego życia, nie było ani dnia jednego, ani jednej chwili, w której by ona prawdziwą płaciła mi miłością... Wszystko było fałszem, wszystko obłudą i zdradą... Jeśli takie szatany istnieć mogą na świecie,

powiedz - że mi Gustawie, być-że może Bóg, który karcić ma złe i sprawiedliwość wymierzać?...

Gustaw odpowiedzieć chciał, ale Edward, nie dając mu przyjść do słowa, gorączkowo mówił dalej...

— Nie ma tam nic, po za tem szarem, zimnem niebem, które jeśli rozjaśnia się kiedy, to na to tylko, aby słonecznym promieniem oświetlić szydlerczo nasze łąchmany... Podarliśmy sobie serca na szmaty, przyjacielu, podarliśmy je, każdy na swój sposób; ty w obro- nie zasad, ja przez szal miłości. I każdy z nas na swój sposób je leczy: ty wiarą i rezygna- cyą bezduszną — ja, wiesz czem?

Zaśmiał się, zbliżył do szafki, ukrytej w murze, i stamtąd wyjął białą flaszkę płynu...

— Patrz, rzekł, nie stać mię na wino, piję więc wódkę i -- zapominam...

Ponura cisza zaległa w izdebce. Słysząc tylko było przyspieszony oddech Edwarda i ciężkie westchnienia przyjaciela jego, który z załamaniem rękami, rozszerzoną z przeraże- nia źrenicą, patrzył na tę ruinę człowieka, którego pożegnał młodym, pełnym nadziei i pragnień...

Sciemniło się zupełnie; z przeciwległej

tylko kamienicy, z poddasza, padały blaski niepewne na zczerniałe ściany izdebki Edwarda, pełzały po nich i nikły, jak błędne ogniki.

Edward zbliżył się ku oknu i zrazu bezmyślnie wpatrzył się w przeciwległe, rześcicie oświetlone okna.

— Patrz, rzekł po chwili do przyjaciela, na tem poddaszu mieszka szewc, rodak nasz, zabłąkany tu przypadkiem. Znam go i lubię. Ten prosty człowiek dziwnie mię ujmuje pogodą swego umysłu. Nędzarz taki, że zaledwie wyżyć potrafi, a wziął do siebie sierotkę jeszcze biedniejszą, kilkuletniego synka przyjaciela, który zmarł niedawno i wychowuje tę sierotę jakby własne dziecko.

Często mrze głodem, a mówi zawsze tak jak ty: że wierzy w Boga...

Dziwna rzecz, jak ta wiara trzyma się duszy człowieka...

Zamilkł znowu. Coraz silniejsze biło światło z małego okienka mieszkania szewca, opromieniając bladą twarz Edwarda i niemniej zwiędłe oblicze Gustawa, który również zbliżył się ku oknu i patrzył z ciekawością na tę jakąś niezwykłą iluminację poddasza.

Wpatrzywszy się, można było rozpoznać przedmioty i osoby w mieszkaniu szewca. Na



drewnianym, białym stole stała niewielka choinka, do gałązek której szewc przyczepiał małe różnokolorowe świeczki. W tej chwili zapalił je wszystkie: wewnątrz poddasza rozjaśniło się nagle; oblicze uśmiechnięte starca widać było wybornie a obok rozkosznie promieniejącą twarz dziecka, które chude rączęta wyciągało pożądliwie ku gałązkom choinki, i zawieszonym na nich łakociom... Słysząc było śmiech srebrny dziecka i szczebiot jego rozkoszny, widać było, jak starzec pochylał się ku niemu miłośnie, wziął je wreszcie w objęcia i podniósł ku oświetlonemu drzewku...

— Wszak to dziś wigilijny wieczór!... przemówił z cicha Gustaw...

— Prawda... wyszeptały drżące wargi Edwarda. Jaki on szczęśliwy... ten nędzarz!

— Szczęśliwy, bo wierzy... odrzekł równie cicho Gustaw.

I cisza zaległa. Na ulicach ruch ustał; ani dorożek, ani powozów, ani pieszych przechodniów; wszyscy mieszkańcy zasiedli do wigilijnej wieczerzy: dzielono się opłatkiem i składano sobie życzenia.

Tylko w izdebce Edwarda nie było światła, nie było wieczerzy; dwie zranione dusze nie mogły się zdobyć na żadne życzenia. Pa-



trząc w oświetlone okna poddasza, przyjaciele stali w milczeniu, tonąc we wspomnieniach dawnych, szukając myślą domowego ogniska, które już dawno wygasło... I serce ich zalewała wielka rzewność, która po tylu latach odrętwienia martwego, zdawała się im prawdziwą rozkoszą. Ale Edward chciał się bronić przed tą rzewnością, która mu zdawała się próżnym złudzeniem, chciał się bronić przed wspomnieniami, które krwawiły mu serce, nawykłe już do martwej obojętności na wszystko... Gwałtem prawie oderwał się od okna i odszedł w głąb' pokoju. Ale w tejże chwili, wśród ciszy tego wigilijnego wieczora, dał się słyszeć śpiew: cichy, drżący, stłumiony, dochodził z poddasza. To starzec śpiewał nad łóżeczkiem dziecka, które wśród śmiechu i radości zasnęło. Śpiewał pieśń znaną:

W żłobie leży, któż pobieży  
Kolędować małemu . . . . .

I cicha nuta tej pieśni naiwnej dochodziła do izdebki Edwarda tak wyraźnie, a brzmiała tak przejmująco, że obaj przyjaciele tłumiąc oddech, słuchali jej jak harmonii nieziemskiej, chłonęli ją uszami i wpółotwartymi usty, całą duszą nią się poili, aż serce roztajało we łzach...

Pierwszy Edward padł na kolana..

Brzask zaranny odbił się czerwonym blaskiem na oknach izdebki, gdy Edward wstał z klęczek. Całe dzieje nieszczęśliwego życia wypowiedział on w tej długiej modlitwie. I rozpromienionem okiem spojrzął na przyjaciela, który ku niemu ramiona wyciągnął i spytał:

— Ty wierzysz?...

— Wierzę — odrzekł Edward. — Wierzę w Narodzenie Prawdy, Sprawiedliwości i Miłosierdzia...

— Więc wyjdźmy stąd! — zawołał Gustaw — idźmy czem rychlej do pracy, która nas zbawi, idźmy za przewodem tej gwiazdy wigilijnej, która nam zabłysła, zwiastując Narodzenie Pańskie...









